

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 3/185

1963



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

DZIESIĘĆ LAT PO ŚMIERCI STALINA

AL. KAWAŁKOWSKI :

POTWIERDZONA ALTERNATYWA

W. JEDLICKI :

GLOSSA AUTORA DO „CHAMÓW I ŻYDÓW”

SPIS RZECZY

Julian Ursyn Niemcewicz:	<i>Śmierć władcy</i>	5
Paweł Hostowicz:	<i>Notatnik nieśpiesznego przechod- nia</i>	8
Józef Czapski:	<i>Jak nie krzyczeć?</i>	22
Borys Lewickij:	<i>10 lat po śmierci Stalina</i>	27
Józef Berger:	<i>Jemielianow</i>	37
Feliks Mantel:	<i>Rozmyślenia w karczerze</i>	45
Jan Rojewski:	<i>On</i>	58

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski:	<i>Dramat Europy</i>	77
Aleksander Kawalkowski:	<i>Potwierdzona alternatywa</i>	86
Londyńczyk:	<i>Kronika angielska</i>	99

KRAJ

Witold Jedlicki:	<i>Glossa autorska do „Chamów i Żydów”</i>	107
—	<i>Zastępcze plenum</i>	119
Józef Czapski:	<i>Rafał Glücksman</i>	122
Janina Miedzińska:	<i>Jeszcze jedna nieudana próba</i>	123
R.K.:	<i>Czerny-Stejańska w Australii</i>	128
—	<i>Odmowa wizy do Polski</i>	131

KRONIKA KULTURALNA

Marian Bohusz-Szyszko:	<i>Malarstwo Turkwiewicza</i>	132
Pierre Rouve:	<i>O Turkwiewiczu</i>	134
—	<i>Nagrody i konkursy</i>	136

KSIĄŻKI

Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Jegor i Iwan Denisowicz</i>	138
Stanisław Mackiewicz:	<i>Poprawki</i>	143
Tymon Terlecki:	<i>Autoreferat o „Literaturze”</i>	149
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i> ..	154

◆

K. Bauer-Czarnomski, Ph. Ben, H.J. Dende, J. Kowalik, W. Iwaniuk, W. Kinastowski, H. Z. Komar, Sz. Konarski, A. Nasielski, M.K. Pawlikowski, M. Rudnicka, J.B. Rudnyćkyj, P. Starzeński, Wł. Zeleński:	<i>Listy do Redakcji</i>	157
—	<i>Sprostowanie</i>	175

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Marzec – Mars

1963

INSTYTUT



LITERACKI

NOTY BIOGRAFICZNE

Józef BERGER, ur. w r. 1904 w Krakowie, wyemigrował w 1920 r. do Palestyny, gdzie w 1921 r. przyłączył się do ruchu komunistycznego i brał czynny udział w pracy kom. partii na Bliskim Wschodzie do 1932 r., kiedy został wezwany do Kominternu w Moskwie. W styczniu 1935 r. został aresztowany i znajdował się około 22 lat, bez przerwy, w więzieniach i obozach sowieckich.

W lutym 1956 r. otrzymał od władz sowieckich, pełną rehabilitację, po czym został przywrócony w prawach członka komunistycznej partii Z.S. W sierpniu 1957 r. wyjechał zagranicę.

Fragment „Jemelianow” napisany został w 1957 r. w Polsce, jako część wspomnień autora.

Feliks MANTEL, ur. 10.III.1906 r., skończył studia prawnicze na Uniwersytecie Jagiellońskim, praktyka w Prokuraturze Generalnej w Wilnie i w Warszawie, adwokat warszawski do 6.III.1939, więzień sowiecki, urzędnik ambasady R.P. w Związku Sowieckim, wiceminister pracy, opieki społecznej i zdrowia PKWN i rządu Jedności Narodowej, poseł do KRN i przewodniczący komisji prawniczej, członek PPS od r. 1924, członek naczelnych władz partyjnych od r. 1944, minister pełnomocny w Wiedniu; od r. 1948 na emigracji.

DARY DO BIBLIOTEKI «KULTURY»

Serdecznie dziękujemy za dary nadesłane do naszej biblioteki przez pp. *Włodzimierza Popławskiego* z Londynu, *T. Lassotę* z Chicago, *Feliksa Mantla* z Argentyny, *A. Hermaszewskiego* z Pen-Llwyn, Aberystwyth, *Card's* (W. Brytania), *Antoniego Drągowskiego* z Londynu, *Cz. Tarnowskiego* z Quackenbrück (Niemcy) oraz p. *Tadeusza Świąćckiego* z Paryża.

Poszukujemy specjalnie następujących wydawnictw:

„Parada”, Kair, nrów: 8, 21, 23, 24, 36, 56, 58 i 60.

„Na Straży”, Jerozolima, nrów: 4, 6, 9, 10 i 27.

„Wieści Polskie”, Jerozolima, nrów: 15, 17 i nast.

„Słowo”, Paryż 1940, nrów: 17, 18.

„Gazeta Polska”, Jerozolima — poszczególnych roczników, specjalnie 1941.

„Kurier Polski”, Bagdad.

„Jestem Polakiem”, Londyn, nrów: 12, 18, 20-22, 25, 27 i nast.

Broszury A. Romera pt. „Z Sikorskim i Mikołajczykiem” — oraz następujących zeszytów „Kultury”: 1 (1947), 4 i 9/10 (1948), 16/17, 19 i 23 (1949) i 37 (1950).

NA NAGROBEK DLA A. BOBKOWSKIEGO

Władysław Wolski, Monachium 29,00 F

Powyższą wpłatą zamykamy zbiórkę na nagrobek *Andrzeja Bobkowskiego*. (Redakcja).

WPLĄTY NA FUNDUSZ ŚP. WŁADYSŁAWA POBÓG-MALINOWSKIEGO (II)

L. i A. P., Paryż	100,00 F
Halina i Kazimierz Wierzyńscy, New York	98,00 „
K.A. Jeleński, Paryż	50,00 „
Dr Stanisław Lam, Paryż	100,00 „
Stefania Berger, (Anglia)	13,70 „
Jan Bober, Cardiff (Anglia)	13,70 „
Szymon Konarski, Paryż	50,00 „
Janusz Zembrzusi, Paryż	100,00 „
Kiermasz Książki Polskiej, SPK w Szwajcarii	112,04 „
Jadwiga Rapacka, Paryż	100,00 „
Roman i Piotr Sanguszko, Paryż	200,00 „
Franciszkowie Studzińscy, Paryż	50,00 „
Dr Zygmunt Zawadowski, Bejrut	100,00 „
Czesław L. Rawski, Chicago, Ill. (USA)	48,08 „
Leon Mitkiewicz, New York	48,08 „
Ks. Marcel Pasiecznik, Philadelphia, Pa. (USA)	48,08 „
Aniela Mieczysławska, New York	48,08 „
Anonimowo z Monachium	13,82 „
Kompania 4507 Labor Service Company (GDandAmmo) Vassicourt (Moselle)	245,00 „
Aleksander Bregman, Londyn	20,00 „
Ryszard Głodkowski, Saint-Max (M.-et-M.)	80,00 „
Anonimowo z Monachium	60,54 „
W. Kinastowski, Welland, Ont. (Canada)	46,50 „
Aleksander Turyn, Urbana, Ill. (USA)	97,00 „
Anonimowo z Alabamy (USA)	13,82 „
Józef i Halina Wittlinowie, New York	23,80 „
Henryk Jordan-Spitzman, Paryż	500,00 „
Maurycy Finkel, Paryż	150,00 „
W.T. Drymmer, Ottawa	23,70 „
Władysław i Gabriela Knobelsdorffowie, Bridgeport, Conn. (USA)	72,50 „

Anonimowo, Anaheim, Cal. (USA)	23,70 F
Ewa i Stanisław Gieratowie, Bronxville, N.Y. (USA)	48,08 „
Jerzy Bajor, Longmeadow, Mass. (USA)	48,08 „
Tadeusz Boguszewski, Chicago, Ill. (USA)	48,08 „
Bezimiennie, Los Angeles, Cal. (USA)	28,80 „
Comtesse G. de Gontaut-Biron, Paryż	100,00 „
Michał K. Pawlikowski, Berkeley, Cal. (USA)	23,80 „
Stanisław Rudzis, Montreal, Que. (Kanada)	100,00 „
Mission Polonaise Catholique en France, Paryż	100,00 „
Józef Pokorny, Montreal, Que. (Kanada)	46,00 „
M. Kurnicki, Montreal, Que. (Kanada)	13,50 „
Bezimiennie, New York	23,70 „
A. Sosnowska, Bois Colombes (Seine)	50,00 „
Dolatowski, Knutange (Moselle)	20,00 „
Tadeusz Leser, Bel Air, Maryland (USA)	65,00 „
Julian Godlewski, Zürich (Szwajcaria)	335,00 „
Witold Babiński, Montreal, Que. (Kanada)	46,50 „
Teresa Pleszczyńska, Santa Barbara, Cal. (USA)	24,00 „
Jarosław Górski, Caracas (Wenezuela)	23,80 „
Piotr Wandycz, Bloomington, Ind. (USA)	48,08 „

WPLĄTY NA FUNDUSZ KULTURY

Wanda Trzos, Toronto, Ont. (Kanada)	4,50 F
Jan Bychowiec, Chicago, Ill. (USA)	14,00 „
M.W.K. (Australia) po raz siódmy	16,50 „
Karol Jabłoński, London, Ont. (Kanada) po raz piąty	16,25 „
Wilhelmina Skroczyńska, Brooklyn, N.Y. (USA)	24,50 „
Bezimiennie, Passaic, N.J. (USA)	29,40 „
Janina Surynt-Waroczewska, Toronto, Ont. (Kanada)	39,00 „
K. Zdziarski, Caracas (Wenezuela)	29,40 „
Bogusław Wądołkowski, Lyndhurst, N.J. (USA) po raz trzeci	29,40 „
L. Demby, Nomansland, Nr. Salisbury, Wilts. (Anglia) po raz czwarty	13,65 „
F.B. Bahyrycz, Marius, Man. (Kanada)	22,50 „
Mieczysław Bornet, Toronto, Ont. (Kanada) po raz drugi	36,75 „
Nina Sereda, Montreal, Que. (Kanada) po raz dziewiąty	29,40 „
I.G. Gray, Princeton, La. (USA)	12,45 „
E. Baczymalski, Reading, Berks (Anglia)	27,60 „
Al. Zawadzki, Westfield, Mass. (USA) po raz drugi	14,00 „
Aleksander Kawalkowski, Paryż, po raz piąty	50,00 „
Mirek C. Wierzbicki, Brighton Mass (USA) po raz szósty ..	48,10 „
Bezimiennie, Monachium	13,65 „
Anonimowo, Anaheim, Cal. (USA)	23,70 „
Luta Hersch, Genewa (Szwajcaria) po raz ósmy	11,00 „
Aleksander Grzonka, Homestead, Fla (USA) po raz trzeci ..	18,80 „
S. Dziakiewicz, Trenton, N.J. (USA)	38,60 „
Lucja Zalewska, Chicago, Ill. (USA) po raz drugi	4,80 „
W. Kinastowski, Welland, Ont. (Kanada)	44,50 „
Józef Pokorny, Montreal, Que. po raz czwarty	23,00 „
Irena Skrobikowa, Montreal, Que. (Kanada) po raz szósty	46,50 „

DZIĘKUJEMY

Śmierć władcy*

Dnia szesnastego listopada 1796 carowa jak zwyczajnie przedpędziła noc w jednym łóżku z Zubowem, wstała rano i zdrowa wypięła dwie filiżanki kawy, żartowała z garderobianą swoją, odesławszy ją zaczęła pisać bilet do Zubowa, wśród tej heroidy (1) uczuła nagłą potrzebę oddalenia się; poszła do tajnej komórki. Około godziny ósmej zeszli się ministrowie z tekami swymi, by z nią jak zwykle pracować. Nie znalazłszy jej, czekają godzinę, gdy się dalej nie pokazuje, powierny kamerdyner Zachariew, mniemając, że się carowa przechodzi po zimowym ogrodzie swoim, idzie tam, przechodzi się długo między jaśminami i różami, wraca do pokojów, na próżno, nie postrzega Katarzyny. Pełen niespokojności, otwiera na koniec drzwiczki do tajnej komórki i krzyk przeraźliwy wydaje. Zlatują się ministrowie. Przebóg! co za widowisko! Monarchini połowy świata wywrócona na wznak na stolcu, zagięta spodnica odkrywa ten niezmierny zadokrąg, którym wszyscy mocarze świata siedzą na tronach. Otaczają ją, podnoszą, kładą na łożu; otworzyła po dwakroć oczy, lecz już nie miała ni przytomności, ni mowy; wszystkie sposoby przywrócenia jej do życia były daremne; była już nieruchomą, prócz brzucha, który konwulsywnymi wznosił się drganiem. Paweł Pierwszy był naówczas w Gatchynie; z szambelanem swoim (od którego mam tę powieść) wyjechał był sankami do pobliskiego młyna; w drodze Iliński — nie wiem, przez jakieś przecucie — opowiadał mu sen swój, jakoby Pawła widział na tronie. „Nie prędko to się ziści” — rzekł Paweł. Powracając do zamku spotykają Mikołaja Zubowa, brata faworyta, pędem lecącego

*) Julian Ursyn Niemcewicz: *Pamiętniki czasów moich*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1957, str. 178-9 i 174-5.

(1) Poemacik w postaci listu miłosnego, pisanego do bohatera przez jego kochankę.

naprzeciw. Zbliżywszy się wyskoczył Zubow z sanek i w śniegu padając na kolana zawołał: „*Pozdrawiaju Was Gosudarom*” (2) natychmiast o śmierci Katarzyny doniósł. Obsługiwał Paweł, gwałtowne było przejście z trwogi i zapomnienia do władzy najwyższej. W godzinę już nowy car był przy matki swej łożu. Leżała — jakem powiedział — nieporuszona, jeden tylko brzuch podnosił się. Seweryn Potocki, odprawujący w tym dniu służbę szambelana i stojący z innymi przed łożem, powiadał mi, iż ta niezupełna śmierć Katarzyny wprawiła obecnych dworaków w największe zakłopotanie. Oznaki żalu lub obojętności mogły ich zarówno narazić. Znajdowali się w obliczu dwóch panów, jednej, co godzinę wprzód była panią życia ich i majątku i mogła ich jeszcze, wróciwszy do życia, w proch obrócić, drugiego, co w czerstwości wieku obiecywał trzymać berło silnie i długo. W tak okropnym kłopotcie wzięli oni sobie za barometr wszelkich czynów i poruszeń swoich mocniejsze lub słabsze podnoszenie się brzucha Katarzyny. Kiedy się silnie podniósł, wraz dworacy przyskakiwali do łoża, szlochając niezmiernie, niechże brzuch ten zwolnił cokolwiek, prędzej jeszcze z miną na pół wesołą, na pół uszanowania pełną, otaczali wielkiego kniazia Pawła. Ten wątpliwy stan Katarzyny trwał kilkanaście godzin, nazajutrz bowiem dopiero zastanowił się brzuch i nieśmiertelna Katarzyna umarła doprawdy. Paweł Pierwszy odebrał od gwardiów przysięgę i rządy objął.

Jak bałwany morskie słońiły się w tę i ową stronę tłumy tych Europy i Azji dworaków, gdy jedną razą widzę rozstępujące się te tłumy i postrzegam ładnego człowieka, z czarnymi dużymi oczyma, bladego, wycieńzonego niezmiernie. Był to Zubow, owdowiały nałożnik po Katarzynie; włókł się bardziej niż postępował. Człowiek ten już niczym był dzisiaj, ale taka jest siła nałogu w dworakach, że rozstępowali się przed nim jak w czasie jego potęgi. Powiodł on swe kroki do sali, gdzie zwłoki zmarłej wystawionymi były. Przez ciekawość wśliznąłem się i ja z drugimi, ale nie lubiący czołobitni i całowania ręki, która ojczyznę moją zabiła, zatrzymałem się w progach. Na paradnym łożu, wznoszącym się na dwunastu stopniach, widzieć można było martwe ostatki, marność wszelkich wielkości, słowem, przed kilku dniami panią piątej części okręgu ziemskiego, dziś pastwa robaków. Wystawiała ona niezmierną masę ścierwa i tłustości, brzuch jej tak był wzdęty do góry, iż twarz jej zasłaniała; nogi za życia jeszcze nabrzmiały. Miała na sobie tułub moskiewski, aksamitny, zielony, podszyty sobolami, haftowany bogato.

(2) Witam Cię jako cesarza.

Mnóstwo koron, bereł, kul świata (3), orderów, rozłożone było po stopniach katafalku. Jak za życia, dwór ją cały otaczał. Damy honorowe, szambelani, kamerjunktury, gardyści odmieniali się godzinami i w dzień, i w nocy. Była to ciężka służba, bo nie tylko Katarzynę, lecz i męża jej uduszonego przed trzydziestu czterema latami, strzec musieli. Paweł Pierwszy w dzień wstąpienia swego na tron, nie mogąc już pomścić się śmierci ojca, chciał przynajmniej popiołom jego oddać cześć winną. Z Bezborodkiem i jednym z adiutantów udał się Paweł do kościoła świętego Aleksandra Newskiego, gdzie ojciec jego naprędce był pochowany. Jeden już tylko pop zostawał, który znał miejsce, gdzie była truna jego. Bierze go Paweł Pierwszy z sobą i do podziemia zstępuje; otwierają trunę, lecz już tylko same popioły, guziki od mundurów i buty. Na widok ten Paweł żył rzewnie wylewał: rozkazał natychmiast w tymże kościele wystawić katafalk, podobny temu, na którym spoczywała matka, wyznaczył dygnitarzy, którzy przy tronie służbę odprawiać byli powinni, i przez łatwą do usprawiedliwienia zemstę wyznaczył do tej służby trzech przedniejszych ojca swego zabójców, Orłowa, Boratyńskiego i Paszikowa. Dwa razy na dzień, rano i wieczór, odwiedzał Paweł ciało ojca i matki, za nim cały ród carski, dworscy, na koniec przedniejsi z obywateli i mieszczan nawet.

Julian URSYN NIEMCEWICZ

(3) Mowa o jabłku królewskim.

Notatnik nieśpiesznego przechodnia

O PRZYŚPIESZANIU SIĘ HISTORII

Jules Michelet był pierwszy lub jeden z pierwszych, którzy zwrócili uwagę na przyśpieszenie się biegu historii. W przedmowie do jego *Historii XIX wieku* znajdujemy następującą refleksję, zanotowaną w 1872:

„Jednym z najdonioślejszych chociaż rzadko spostrzeganych faktów jest, że bieg czasu zmienił się całkowicie i dziwnie się przyśpieszył. W granicach jednego życia ludzkiego — około 72 lat — widziałem dwie rewolucje, które dawniej dzieliłoby od siebie być może dwa tysiące lat”.

Daniel Halévy, za którym cytują powyższą refleksję, poświęcił temu zjawisku małą książeczkę. Rozwinął w niej i uzupełnił to, co u Micheleta było tylko luźnym spostrzeżeniem. Píše w niej mianowicie:

„Wielu współczesnych Micheleta zauważyło, że w ciągu stu lat, niemal w ich oczach, ludzkość uległa większym zmianom niż w ciągu trzydziestu wieków poprzednich, od Cyrusa do Ludwika XIV. Mówiąc o tym mieli na myśli głównie nowości techniczne. Michelet idzie dalej: myśli o historii w ogóle, o funkcjonowaniu jej mechanizmu, ujmując tę nieuchwytną całość w wyrazy proste i trafne: *bieg czasu*. Oto, co jego zdaniem „zmieniło się całkowicie”. Miał rację. Jego subtelna wrażliwość nie ostrzeżała go na próżno. Bo co powiedziałaby dziś?”.

Daniel Halévy pisał te słowa w 1948. Od tego czasu głosy o przyśpieszaniu się historii nie przestały się mnożyć. Aluzje do tego zjawiska można znaleźć we wszystkich dyskusjach dotyczących sensu odbywających się dokoła nas przemian. W *History and Hope*, książce wydanej przez K.A. Jeleńskiego i zawierającej referaty oraz fragmenty dyskusji z berlińskiego zjazdu Kongresu

Wolności Kultury z 1960, uwagę zwracają następujące wypowiedzi:

Richard Lowenthal, profesor uniwersytetu berlińskiego, pisze: „Śledząc doświadczenia społeczeństw, które w ostatnich czasach uległy mesjanistycznym i satanistycznym ideologiom, i zastanawiając się nad zagadnieniami krajów zagrożonych podobnym losem, skłonny jestem przypisywać mniejszą wagę zbłąkanym intelektualistom niż bezustannemu naciskowi zmieniających się coraz szybciej warunków życia”. Jeanne Hersch, profesor uniwersytetu genewskiego, mówi o potrzebie reedukacji dorosłych: „Wiedza robi tak szybkie postępy, świat zmienia się tak prędko, że nie na wiele komuś przydać się może, że chodził do szkół przed trzydziestu czy czterdziestu laty”.

Tak rozmawiano w 1960. Przed kilku tygodniami przyjaciele przysłali mi z Nowego Yorku wycinek ze streszczeniem wywiadu, jakiego udzielił prasie profesor Carl Bridenbough, prezes Amerykańskiego Towarzystwa Historycznego. Czytam w tym wycinku: „Mówi profesor Bridenbough, że od 1900 zmiany materialnych i duchowych warunków ludzkiej egzystencji następowały po sobie w zawrotnym tempie, z szybkością wzrastającą w geometrycznej proporcji”.

Porównując przytoczone sformułowania można by powiedzieć, że i sama idea przyśpieszania się historii uległa też pewnemu przyśpieszeniu, że narzuca się coraz natarczywiej, z coraz większą oczywistością. Słyszymy o niej bądź od historyków, bądź od innych badaczy przywykłych do rozważania procesów historycznych, słowem od osób mających w tej dziedzinie doświadczenie osobiste i mogących *lato sensu* uchodzić za ekspertów. „Gdzie eksperci są zgodni, zdanie przeciwne nie może być uważane za zupełnie pewne”, mówi Bertrand Russell. Przyśpieszanie się historii stało się więc jednym z rozpowszechnionych, przyjętych i chronionych przez autorytety pojęć naszego czasu. Kto chciałby sformułować w tej materii jakieś uwagi krytyczne, bierze na siebie ryzyko wypowiedzania sądów „nie mogących uchodzić za całkowicie pewne”.

Kilka wątpliwości

Aby wprowadzić do naszych rozważań trochę metody, wypadałoby być może zacząć od postawienia pytania, czy przyśpieszanie się historii jest w ogóle możliwe lub, ściślej mówiąc, czy jasna percepcja tego zjawiska leży w naszych możliwościach.

Nie ulega wątpliwości, że posiadamy pewne wyczucie czasu. Według Bergsona, gdyby obroty ziemi dokoła swej osi zwolniły się nagle o połowę, nie uszłoby to naszej uwagi, nawet gdyby nasze zegarki zwolniły swój bieg w tym samym stosunku. Wydaje się to bardzo prawdopodobne, jakkolwiek znaleźliby się zapewne sceptycy, którzy — mając więcej zaufania do zegarów niż do „danych bezpośrednich świadomości” — uważaliby rzekome zwolnienie upływu godzin za twór naszej wyobraźni, znajdując na poparcie swego twierdzenia mnóstwo mniej lub więcej naukowych argumentów.

Widzimy jednak od razu, że nasze poczucie mijających godzin jest innej natury niż poczucie mijających stuleci. Gdy chodzi o godziny, miara czasu znajduje oparcie w odruchach warunkowych, związanych z powtarzającymi się czynnościami. Zbliżającą się godzinę obiadową poznajemy bezbłędnie nie patrząc na zegarek. Dla oceny szybkości, z jaką mijają panowania i cywilizacje, nie mamy takich punktów oparcia. Brak nam również narzędzi pozwalających sprostować ewentualną omyłkę. Rozpoznanie przyspieszania się historii byłoby więc znacznie mniej pewne i, w braku obiektywniejszych sprawdzianów, bardziej zależne od osoby obserwatora i warunków, w jakich dokonywał swoich spostrzeżeń.

Nie uszło to zapewne uwagi Micheleta. W przytoczonych na wstępie jego słowach widać próbę poszukiwania miary, pozwalającej mierzyć szybkość procesów historycznych. Michelet widzi ją w ilości głębszych przemian, przypadających na siedemdziesięcioletnie życie ludzkie. Takie postawienie sprawy nie rozstrzyga wprawdzie pytania, czy „bieg czasu” historycznego podlega jasnej percepcji, przynosi jednak ubocznie odpowiedź na inne pytanie, mianowicie dlaczego wrażenie przyspieszania się historii narzuca się coraz większej ilości naszych współczesnych.

Można by w tym widzieć skutek przedłużania się średniej długości życia i wzrostu liczby osób, które miały sposobność oglądania większej ilości wypadków i przemian przy zmniejszającej się z wiekiem zdolności przystosowania. Niezależnie więc od szybkości przemian wzrastałaby liczba osób, które za tymi przemianami nie mogą psychicznie nadążyć.

Pewna zmiana nastąpiła również w naszej percepcji wypadków współczesnych. Wzrosło mianowicie ich zgęszczenie, wzrosła ilość wypadków, jakie możemy obserwować w podobnym okresie czasu. Warto jest zatrzymać się na stronicy, na której Halévy opowiada, w jakich okolicznościach Michelet spostrzegł był przyspieszanie się biegu historii:

Czy będą mieli czas? Pytanie to Michelet zadał sobie przed stu laty. Było to w marcu 1848, na Boulevard de la Madeleine, wypełnionym przez tłum ożywiony i szczęśliwy. W poprzednim tygodniu paryżanie obalili swego króla, trzeciego z rządu w ciągu sześćdziesięciu lat... Każde pokolenie miało swoje zwycięstwo i swoje święto... W dniu, o którym mówimy, paryżan ściągnęła na ich ulubiony bulwar zapowiedziana przez prasę manifestacja republikanów niemieckich, włoskich, polskich, czeskich itd. zamieszkałych w Paryżu. Jakkolwiek cudzoziemcy, zamierzali oni defilować ulicami Paryża, czerwonymi jeszcze od krwi powstańców, aby pokazać, że Rewolucja Paryska była ich rewolucją, zarówno europejską jak francuską.

Michelet przyszedł wiedziony sprzecznymi uczuciami. Nerwowo wrażliwy na wypadki, doznawał zarazem uczucia entuzjazmu i niepokoju. Rzecz niesłychana, przewrót paryski wywołał żywe echa wszędzie, aż do Neapolu i Mediolanu, Berlina i Wiednia. Rewolucja szerzyła się jak fala. Wielu patrzyło na to z zachwytem. W fantastycznym szerczeniu się ruchu rewolucyjnego widzieli zapowiedź jedności ludów. Michelet nie podzielał ich zapału. „Nie widziałem jeszcze w Europie czterdziestu lat pokoju”, odpowiadał lakonicznie swym entuzjastycznym przyjaciółom. W pamięci historyka szukał wskazówek na najbliższą przyszłość. W delegacjach z barwnymi sztandarami widział zapowiedź wojny.

Nie mylił się. W niedługim czasie wojna była już wszędzie: w Paryżu przyszło do krwawych dni czerwcowych, armia francuska stała pod Rzymem, flota austriacka blokowała Wenecję, zwycięska armia rosyjska maszerowała przez Węgry.

Michelet dostrzegł w tłumie poetę Berangera, wówczas niezmiernie popularnego.

Przed dwudziestu laty — powiedział mu — dał pan Francuzom pieśni. Ludzie dzisiejsi nie wiedzą, dokąd idą. Niech pan wróci do pióra i napisze dla nich pieśni.

Beranger, starzec ostrożny, dał odpowiedź wymijającą:

— Oni napiszą te pieśni sami.

Na to Michelet:

— Ale czy zdążą?

Miał już wówczas przecucie historii zbyt prędkiej, toczącej się ku wypadkom pozbawionym miary.

Z relacji tej widać, że w 1848 patrzący z Paryża mógł ogarnąć wzrokiem cały kontynent — niemal jak dziś — i oglądać toczące się na nim wypadki. Poprzednie pokolenia dowiadywały się o nich z wielkim opóźnieniem i w formie tak niedokładnej, że trudno je było powiązać w większe zespoły. Wzmianka o

powstaniu węgierskim jako zjawisku związanym z rewolucją paryską następczo interesujące porównanie. Dla Bolingbroke'a, piszącego swą *Historię Europy* w początku XVIII w., i dla większości ówczesnych statystów, Węgry leżały poza granicami Europy i toczące się tam wypadki nie miały żadnego znaczenia dla „systemu europejskiego”. Michelet widział początki znanego nam dobrze natłoku wiadomości i wzrostu liczby wydarzeń, o których jesteśmy informowani.

Samego natłoku informacji nie starczyłoby zapewne dla wywołania ruchomego obrazu świata. Rozstrzygnęło o tym nowe ustalenie dochodzących do naszej świadomości wypadków. Rozwój prasy przyniósł ze sobą nową perspektywę. Rzecz w tym, że historię bieżącą piszą dla nas dziennikarze, którzy z natury swego rzemiosła poszukują wszystkiego co nowe, mniej zwracając uwagi na to, co stałe i ciągłe. Jednostronność wyboru zmieniła obraz świata. O kierunku zmian, jakie w nim nastąpiły, *Testament* Karola V dostarcza najlepszych wiadomości. Panowanie tego sławnego monarchy było bogate w wypadki i przemiany. A jednak obraz Europy, jaki długie doświadczenie zostawiło w jego pamięci, jest całkowicie statyczny. Karol V robi w swym testamentie przegląd ludów, mówi o ich temperamentach i ambicjach, o środkach, jakimi rozporządzają, i granicach, jakie określone są ich inicjatywom, jak gdyby chodziło o obraz stały, przeznaczony do długiego trwania. Nie bez pewnego zdumienia stwierdzamy, że po pięciu wiekach wojen, przewrotów i rewolucji obraz ten nie utracił całkowicie aktualności. Znane Karolowi V ludy zamieszkują nadal te same obszary, zachowały coś z dawnego usposobienia, ich ambicje i inicjatywy obracają się niemal w tych samych granicach.

Inne prędkie etapy historii

Wrażenie historii zerwanej z łańcucha i przyśpieszającej swój bieg nie jest na pewno czymś nowym. Doznawali go zapewne współcześni Napoleona i świadkowie innych burzliwych okresów historii. Nie wiem, czy ktoś sformułował je równie jasno jak Michelet i Halévy, ale obecność jego wyczuwa się u wielu memorialistów dawnych czasów.

Na szczególną uwagę zasługuje pod tym względem Ammianus Marcellinus, historyk rzymski IV wieku. Wysokiej rangi oficer, doskonale poinformowany i przywiązany do tradycji, Ammianus nie wdaje się w filozofię historii, ale cała jego organizacja pisarska, język i nawet gramatyka przystosowane są do

wyścigu z tamującym oddech potokiem wypadków. Utrwalając pośpiesznie dramatyczne obrazy, mijające przed jego oczami, Ammianus nie ma czasu na ich powiązanie w większe całości i chwilami wydaje się, że przestaje rozumieć. Każda jego stronica sugeruje myśl o zawrotnym, przyśpieszającym się biegu wypadków

Są także pomniki świadczące o niesamowitym tempie przemian. W Rawennie np. stoją obok siebie dwa takie budynki, wzniesione na przełomie epok, po zdobyciu Rzymu przez Alaryka i zalewie Italii przez zbrojne fale barbarzyńców. Jednym jest tzw. mauzoleum Galli Placidii, drugim kościół San Vitale. Sam wygląd ich zdaje się świadczyć o niedawnym okresie powszechnej grabieży. Przepych mozaik ukrywa się w skromnych murach, oblicowanych szarą cegłą jak gdyby dla zmylenia łupieżców. Mauzoleum wzniesione zostało w pierwszej połowie V wieku, kościół mniej więcej w sto lat później. Rzemiosła były wówczas wykonywane dziedzicznie, można więc przypuszczać, że w obu budynkach pracowały te same rodziny mozaistów, posługujące się tą samą, szkoloną wiekami techniką. Tym bardziej uderza przepaść czasów dzieląca ich dzieła. Dobry Pasterz, siedzący w nieprzymuszonej pozie w mauzoleum Galli Placidii, należy jeszcze do sztuki antycznej, zdaje się być co najwyżej wnukiem Frikiosa, przeprawiającego się przez Hellespont z barankiem o złotym runie. W San Vitale jesteśmy chronologicznie o sto lat, w istocie o całą epokę później. Z murów jego patrz na nas dwa szeregi zupełnie już sztywnych postaci, w długich do ziemi płaszczach. Z jednej strony Justynian i dygnitarze wschodniego imperium, z drugiej Teodora i damy dworu. Po tysiącu lat istnienia Akademia Ateńska została właśnie z rozkazu cesarza zamknięta; znajdujemy się w zasięgu innej cywilizacji. Przemiany były tak głębokie, że obraz człowieka zmienił się w jego własnych oczach, zanim znikł zupełnie pod ciosami ikonoklastów. Czas, jaki upłynął między tymi dwoma grupami mozaik, jest mniej więcej równy temu, jaki dzieli Davida i Ingresa od malarstwa abstrakcyjnego.

Wymagania narracji

Dla Greków, uprawiających epos, historia była bliską krewną poezji. Dla nas również zachowała pewne powinowactwo z literaturą. Historia ma formę narracji, należy do rodzaju, którego najstarszym i najdłużej naśladowanym wzorem była *Iliada* i *Odyseja*.

Przedmiotem narracji jest to, co w losach człowieka jest ruchome, zmienne, niepowtarzalne. Nie mieszczą się w niej nieru-

chome, ciągle i powtarzające się partie przeszłości, będące częścią znanego nam świata.

Najskromniejszy nawet żywot indywidualny posiada dość aspektów ruchomych, aby zmieścić się w jednym z homeryckich schematów narracyjnych: bawił się w śnieżki z towarzyszami, wyróżnił się w konkurencjach, był przebiegły w interesach, poślubił córkę Ikariosa, kupił szyfkartę i pojechał do nimfy Kalipso, po powrocie zaś wszczął proces rozwodowy. W życiu zespołu ludzkiego, narodu czy gminy, nieruchome partie przeszłości i losy zbiorowe, nie poddające się indywidualizacji i przez to nie znajdujące pełnego wyrazu w formach narracyjnych, zajmują nierównie więcej miejsca.

Najliczniejszych przykładów immobilizmu dostarcza wieś. Gaston Roupnel, będący w tych sprawach największym autorytetem, sądzi, że obszary wiejskie Francji niewiele zmieniły się od czasów Juliusza Cezara. Przed kilku laty badacze szwajcarscy odkryli, że na terenach dawnych kolonii rzymskich pola wytyczone przez ówczesnych agrimensorów zachowały dotąd swe granice, rozmiary i kierunek. W niektórych gminach zachowały się nawet kamienie, które Rzymianie stawiali dla orientacji na skrzyżowaniu głównych dróg, zwanych *cardo* i *decumanus*, przecinających pola osiedla. Oglądając stojące na tych terenach drzewa można spostrzec, że układ ich odpowiada znanym z Owidiusza pojęciom Rzymian o symbolice drzew i zawartych w nich wróżbach. W innym ciągu niniejszego notatnika wspominałem o tym, co z trybu życia i obyczajów zdobywców Rzymu, wodzów barbarzyńskich plemion, zachowało się dotąd w naszych urządzeniach kąpielowych i systemie ogrzewania domów.

Nieruchome elementy przeszłości zachowane w naszym języku są tak liczne, że trudno w nim wypowiedzieć coś nowego, nie uciekając się, jak wielu pisarzy współczesnych, do bełkotu snów. Ale i tak nie podobna uciec od drzemiących niespokojnie w podświadomości reliktywów historii i prehistorii.

Mniej ruchoma część dawnej i najnowszej przeszłości, nie mieszcząc się w formach narracji, pozostała w znacznej mierze poza obrębem historii i należy do innych dyscyplin wiedzy o człowieku. Domniemane przyspieszanie się historii byłoby więc zjawiskiem ograniczonym do aspektów narracyjnych odbywających się przemian.

Tu que no puedes

Sallustiusz rozpoczyna swą historię sprzysiężenia Katyliny od następującej refleksji: „Wszyscy powinni dołożyć starań, aby

nie przejść przez życie bez rozgłosu jak zwierzęta, które natura stworzyła pochylone ku ziemi i posłuszne żołądkowi”. W słowach tych dostrzec można próbę określenia przedmiotu historii. Myśl Sallustiusza jest tu bardzo bliska *Iliady*, tego niezrównanego wzoru historii bohaterkiej. Aby znaleźć się w jej zasięgu, należy dokonać czegoś zwracającego uwagę, dać się chociażby przebić dzidą przez sławnego Achillesa — o wielu bohaterach *Iliady* nic więcej nie wiemy — włączyć się w ten czy inny sposób do głównego nurtu narracji. Dziś dodalibyśmy: figurować w kronice pism stołecznych, być interviewowanym przez dziennikarzy i fotografowanym przez reporterów. Saint-Simon mówi że zgrozą o *obscurité*, jak nazywa życie z dala od dworu, na prowincji, poza zasięgiem intryg i plotek. Takie wyłączenie się z historii jest dlań rodzajem śmierci cywilnej.

Rozwój prasy, kroniki lokalnej gazet, radia i telewizji rozszerzył bardzo ramy historii bohaterkiej w rozumieniu Sallustiusza. Miliony ludzi wyszły z *obscurité* na światło dzienne. Nazwiska ich ukazały się w gazetach, oblicza i gesty na ekranach. Droga prowadząca do rozgłosu i udziału w historii wydawała się w czasach sprzysiężenia Katyliny długa, wymagająca starań i wysiłków. Dziś skróciła się bardzo, stoi otworem dla wszystkich. W tym sensie można by mówić o pewnym przyspieszeniu się historii lub raczej fabrykacji materiału ludzkiego, z którego się robi historia.

Doniosłość tych zmian wydaje się jednak w istocie niewielka. Waga rozgłosu jest dziś lekka. Charles Richet w swym *L'homme impuissant* pisze, że uczonego, który po 25 latach pracy otrzymał stanowisko profesora — jeżeli przypadkowo nazywa się Smith — tylko nieliczni specjaliści potrafią odróżnić od 140 innych profesorów tegoż nazwiska. Wpływ interviewowanych przez dziennikarzy osobistości na bieg wypadków w ich *polis* wydaje się znikomy. W milionowych głosowaniach i plebiscytach będą mogły tylko odpowiedzieć *tak* lub *nie* — i raczej to pierwsze niż to drugie — na postawione im pytania. Równie skromny jest ich udział w konsekracji talentów, które będą świadczyły o naszej epoce. Każdy jest tylko jednym z miliona nabywców powieści Françoise Sagan i miliona profanów, usiłujących odgadnąć prawdziwy sens obrazów Pabla Picassa. Wiek XX jest przede wszystkim wiekiem dyktatorów. Słowa i gesty innych, chociażby przemawiali z ekranów telewizji, są niewielkiej wagi.

W *Los Caprichos* Goyi znajduje się sztych przedstawiający dwóch ludzi zgiętych we dwoje, o twarzach pełnych rozpacz i strasliwego znużenia, którzy niosą na plecach całkowicie zado-

wolone z tej sytuacji osły. Sztych ten jest opatrzony legendą pełną, jak zwykle u Goyi, wieloznacznych aluzji: *Tu que no puedes*, ty, co nie możesz. W różny sposób można by uzupełniać te słowa: ty co nie możesz pozbyć się swoich demagogów, ty co nie możesz uwolnić się od swego dyktatora, ty co nie możesz go znieść, ale musisz mu służyć... Jakkolwiek byśmy tłumaczyli te słowa, sens ich pozostaje ten sam, niepokojący, głęboki, paradoksalny. Goya żył w czasach podobnych do wojny trojańskiej, pełnych malowniczych bohaterów z pióropuszcami na głowach i szablami w rękach, czasach pełnych sławnych nazwisk, od których dotąd biorą swe nazwy aleje i bulwary stolic. Wiele znakomitych osobistości tego czasu Goya utrwalił w swych portretach. Skąd więc przyszły mu na myśl te słowa: *tu que no puedes*, wzięte jak gdyby z nierównie bliższych nam czasów?

Spróbujmy raz jeszcze odczytać myśl hiszpańskiego artysty. Jakkolwiek byśmy — zdaje się mówić jego sztych — rozbudowywali aparat sławy i reklamy i mnożyli produkcję kandydatów na przedmiot historii, bezsilność ich gestów i słów pochłaniać ich będzie nieustannie, zmieniając ich w istoty „pochylone ku ziemi i posłuszne żołądkowi”, w szarą masę powtarzających się postaw, zwięzając przez to treść możliwych narracji i przyspieszającego się czy zwalniającego — to już zapewne wszystko jedno — nurtu historii.

W DZIESIĘCIOLECIE ŚMIERCI STALINA

Mechanizm dyktatury

Długość panowania współczesnych dyktatorów i łatwość, z jaką sami przeciw wszystkim utrzymują się przy władzy do późnej starości, napełnia zdumieniem. Doświadczenie uczy, że skrócić ich panowanie mogą tylko rozstrzygające klęski wojenne. Ale i w tym wypadku dyktatorzy giną ostatni, po śmierci tysięcy i milionów poddanych, którzy w niepojęty sposób, zamiast skorzystać z posiadania broni dla obalenia tyrana, walczą pod jego rozkazami do ostatka, nawet po rozwianiu się wszystkich nadziei na zwycięstwo.

Zawód dyktatora wydaje się niemal bezpieczniejszy od innych. Szefowie policji przypisują tu sobie zapewne główną załugę, nie wiem jednak, czy nie przeceniają swej roli. Długość

i stałość rządów dyktatorskich można sobie wytłumaczyć chyba tylko zjawiskiem inercji społecznej. Instytucje i zwyczaje czerpią swą siłę z tego że są, nawet gdy brak im wszelkiej inercji bytu. Największe nawet wysiłki reformatorów nie odnoszą skutku bez pomocy szczególnie sprzyjających okoliczności.

Nazajutrz po jej ogłoszeniu dyktatura wchodzi w liczbę rzeczy które są, i za którymi stoi cała potęga inercji. Dokoła niej wytwarza się natychmiast rodzaj automatycznej gry sił, broniącej jej od upadku.

Punktem wyjścia dyktatury jest sytuacja, w której rządy poprzednie nie umiały zażegnać niebezpieczeństw grożących republice i porządkowi społecznemu. W chwili obejmowania władzy dyktator korzysta z czynnego lub biernego poparcia części obywateli obawiających się konfliktów wewnętrznych i sytuacji chaotycznych. W podobnych okolicznościach senat rzymski powoływał dyktatora, któremu udzielał ograniczonych w czasie pełnomocnictw. Takie legalne dyktatury nie mają jednak z dyktatorami XX wieku nic wspólnego prócz nazwy, nie korzystają bowiem z mechanizmu zapewniającego trwałość władzy nielegalnej.

Jak działa ten mechanizm? Dyktator obejmuje władzę dzięki poparciu lub bierności obywateli przekładających dyktaturę nad rewolucję i chaos. Aby się przy władzy utrzymać, musi nadal stawiać swych poddanych wobec alternatywy: albo ja, albo chaos i rewolucja. Musi więc dbać o to, aby groźba rewolucji i chaosu była zawsze aktualna. Jego szef policji będzie finansował z funduszków sekretnych ruchy rewolucyjne, będzie patrzył przez palce na działalność organizacji terrorystycznych itd. Jeżeli jednak wzięciu władzy towarzyszyły brutalne akty przemocy i rozlew krwi, szef policji będzie wolny od tych trosk. Działający automatycznie mechanizm zastąpi prowokację. Będzie bowiem jasne, że w razie upadku dyktatury gniewny tłum rozszarpie dygnitarzy i bardziej znanych fruktyfikatorów reżymu, przypomni sobie wszystkich, kto w dniach przewrotu czynnie czy biernie sprzyjał dyktatorowi, pozna z fotografii i odprowadzi do aresztu wszystkich, którzy oklaskiwali mowy dyktatora, byli obecni na defiladach i inauguracjach, siedzieli w sąsiednich łóżach w operze itd. Alternatywa: albo dyktatura, albo krwawa likwidacja, będzie wciąż obecna w myśli obywateli.

Dyktatorzy nie hamują wybryków policji, nie zakazują gwałtów i tortur. Nadużycia władzy kompromitują rządy legalne, lecz nie szkodzą dyktaturze. Wręcz przeciwnie, bo terror policyjny przejmuje strachem i tych, którzy się obawiają policji, i tych, którzy błędna na myśl o krwawym rozrachunku, jaki nastąpi po śmierci lub upadku tyrana.

Dyktator może więc niefrasobliwie rozdawać przyjaciółom prebendy i beneficja. Pierwszym odruchem obdarowanych powinno być na pozór być myśl o reasekuracji majątku u przeciwników i spadkobierców tyra. Dyktator nie ma jednak spadkobierców, a najmądrzejsi przeciwnicy jego nie potrafią opanować wypadków, jakie potoczą się po likwidacji. Pewne wydaje się tylko to, że im okrutniejsze były rządy, im większe nadużycia, tym bezlitośniejszy będzie późniejszy rozrachunek. Nawet najzręczniejsi, którzy potrafili wyciągnąć z dyktatury korzyści osobiste, nie mogą się od niej oderwać, nie mogą odejść od stóp tronu.

Stalin musiał mieć nieograniczone zaufanie do sprawności tego mechanizmu, kiedy zwiększył niebezpiecznie szybkość jego obrotów. Już dawni tyrani mieli zwyczaj nagłego skazywania na śmierć swych faworytów. System czystek rozszerzył ten proceder na cały aparat wykonawczy. Stalin nie wątpił, że urzędnik policji, który aresztował swego szefa, i sędzia śledczy, który odczytał akt oskarżenia zdegradowanemu koledze, będą mu tak samo posłuszni jak ich poprzednicy. Chroniony przez automatyzm systemu, aparat wykonawczy mógł odnawiać się wciąż nie tracąc sprawności.

Tyranie, rządy jednego przeciw wszystkim, były zawsze tematem wybitnie literackim. Pisano o chorobliwej podejrzliwości, o bezsenności tyranów. Wszystko to jest zapewne tylko literatura. Przypuszczać można, że dyktatorzy śpią spokojniej od swych poddanych. Utrzymanie się na niewielkim nawet stanowisku w administracji lub przemyśle, ocalenie skromnych oszczędności od dewaluacji i zamrożenia wymagają nieustannej czujności i tysięcy zabiegów. Tylko władza dyktatorów broni się sama przed milionami malkontentów, paraliżując automatycznie ich poczynania i myśli.

Dyktatorzy i poeci

Sławniejsi tyrani dawnych wieków otaczali opieką artystów i miewali nadwornych poetów. Dytyramby poetów stanowiły dla tyranów rodzaj dodatkowej legitymacji ich władzy. Popieranie przez nich sztuki posiadało wiekowe tradycje i uchodziło za jeden z atrybutów władzy absolutnej. Spodziewano się więc, że i dyktatorzy nowożytni pójną tą drogą. Oczekiwania te zawiodły, bo, jak widzieliśmy, dyktatorzy obchodzą się dziś bez legitymacji. Pozostała jednak pewna ilość napisanych na ich cześć ód i dytyrambów. W tych produktach pióra widziano zazwyczaj próby

zyskania faworów władzy i zabezpieczenia się od jej samowoli. Zjawisko to wydaje się jednak bardziej złożone.

Dyktator przekracza granice zakreślone, zdawałoby się, człowiekowi. Jego szaleństwa, prowadzące innych do domu wariatów, są trwożnie komentowane przez poddanych, którzy przestają rozumieć. Nadużycia i zbrodnie, które zgubiłyby każdego innego, wzmacniają tylko jego władzę i nadają jej fosforyczny blask, przemijający paraliżującym strachem. W jego bezkarności jest jakaś nie ludzka tajemnica, jakieś *mysterium tremendum*. Kiedy jego maszyna władzy, ścinająca głowy i odbierająca rozum, zaczyna obracać się z zawrotną szybkością, dyktator urasta do rozmiaru groźnej potęgi nadprzyrodzonej. Z daleka podobny do czarnej chmury, z bliska do mechanizmu, stoi poza porządkiem spraw ludzkich, nie dostępny dla argumentów, nieuchwytny dla obliczeń.

W obliczu groźnych potęg człowiek uciekał się zawsze do magii, do formuł słownych mogących zmienić porządek rzeczy. W zasięgu władzy dyktatora o przyszłości można wnosić tylko z wróżb. W tym przejmującym, latającym strachu wróżba, nawet niejasna i niepewna, jest jeszcze czymś określonym, mającym formę nadziei. Nazwanie nadprzyrodzonych sił, ujęcie ich w formuły słowne jest próbą ich oswojenia, umiejscowienia, udostępnienia dla zaklęć i modlitw. Potwór ubrany w strofy i rytmy staje się podobny do innych potworów, do smoków, sfinksów i chimery, traci coś ze swej nieludzkości.

Jedyną pozostałą nam po poprzednich cywilizacjach formą magii jest poezja. Pod opresją dyktatorów poeci mieli więc szczególnie, im tylko dostępne zadanie. Mam wrażenie, że go nie spełnili. Nie jest to być może ich wina. Poezja odeszła dziś zbyt daleko od magii, dyktatorzy zaś upodobnili się zbyt do mechanizmów.

Wspomnienie z 1944-1945

Podczas wojny odwiedzałem kilkakrotnie w Genewie parę rosyjskich emigrantów: K.D. Kuskową i jej męża, profesora Prokopowicza. Kuskowa, niegdyś towarzysząca polityczna Kiereńskiego, została aresztowana w pierwszej fazie rewolucji. Kiedy w latach głodu Zachód nie śpieszył z pomocą, obawiając się, że dostarczona żywność zniknie w magazynach czerwonej armii, Lenin zwrócił się do siedzących po więzieniach przedstawicieli inteligencji: Przemówcie wy, wam uwierzą. Z okazji tych wypadków Kuskowej udało się wyjechać na emigrację. Mąż jej wydawał w Pradze roczniki statystyczne i uchodził za największego specjalistę w dziedzi-

nie statystyki sowieckiej. W Genewie był jednym z ekspertów „sowietologów”. Rozmowy z nimi składały się z dwóch części nierównej długości. Pierwszą stanowił profesorski wykład Prokopowicza, potem zabierała głos Kuskowa, kobieta o niezwyklej, pełnej uroku inteligencji. Mówiła zazwyczaj tylko kilka zdań, które często dawały do myślenia na kilka tygodni.

Ostatni raz widziałem ich zimą z 1944 na 1945, wkrótce po Nowym Roku. Profesor, jak wielu wówczas rosyjskich emigrantów, mówił z entuzjazmem o zwycięstwach sowieckich i, rzucając spojrzenie wstecz, ubolewał, że Polacy nigdy nie mieli kontaktu z żywymi siłami Rosji.

Kuskowa milczała przez chwilę. Potem powiedziała krótko, że Polskę i zachodnią część Węgier czeka bardzo smutny los, bo tam właśnie Rosja, nauczona doświadczeniem ostatnich wojen, stworzy pas bezpieczeństwa pozbawiony przemysłu, dróg i ludności.

Pas bezpieczeństwa wzdłuż granicy zachodniej nie był w Rosji rzeczą nową. W Rosji carskiej pas taki ciągnął się na przestrzeni setek kilometrów przez Prawobrzeżną Ukrainę. Nie było tam ani kawałka szosy, na rzekach brakło mostów; przez mniejsze jeżdżono w bród, przez większe przeprawiano się promem; prócz cukrowni nie było żadnych obiektów przemysłowych. Ludność wprawdzie została na miejscu, ale masowe przesiedlenia nie leżały w ówczesnych obyczajach. Nie trudno było się domyśleć, że projekt pasa bezpieczeństwa wychodził z kół wojskowych. Rzecznikiem jego na Kremlu mógł być Mołotow; można było snuć o tym różne przypuszczenia.

Nie tylko Kuskowa robiła takie przewidywania. Słyszając jej słowa przypomniałem sobie inne niejasne ostrzeżenia. Szwajcaria nie posiadała wówczas stosunków dyplomatycznych z Moskwą. Został tam jednak na emigracji były sekretarz Ligi Narodów, Sokolin, znajdujący się, jak twierdził, w niełasce. Policja szwajcarska wyznaczyła mu miejsce pobytu w Montanie, gdzie w 1944 zaczęli odwiedzać go dyplomaci, przemysłowcy itd. Sznur samochodów stał przed jego skromnym mieszkaniem. Sokolin komunikował się z Kremlen i został rodzajem nieoficjalnego agenta rządu sowieckiego. Mógł mówić nie obciążając swego rządu żadną odpowiedzialnością, z czego korzystał szeroko i zręcznie. Otóż latem już Sokolin powiedział jednemu rumuńskiemu emigrantowi, że Rumuni w Szwajcarii nie powinni trzymać się z Polakami, bo los ich kraju będzie inny od losu Polski. W Rumunii Rosja nie ma żadnych istotnych interesów i nie będzie jej prawdopodobnie okupowała. Polska natomiast jest dla niej pozycją kluczową i los jej będzie podporządkowany układowi stosunków z Niemcami.

Zaniepokojony tymi przewidywaniami, od Kuskowej poszedłem do innych ekspertów i sowietologów. Wszyscy słyszeli już coś o pasie bezpieczeństwa, a jeden pokazał mi ten pas wykreślony na mapie. Czerwone pluskiewki oznaczały na niej miejsca, gdzie plan zaczął już być wprowadzany w życie. Posuwająca się naprzód armia sowiecka demontowała po drodze fabryki, wysyłając maszyny do Rosji. W niektórych miejscach wyglądało to na niszczenie obiektów przemysłowych, co eksperci brali za nieomyślne znaki tworzenia tam pasa bezpieczeństwa.

Wydawało się, że wiadomości te nie były tylko tworem wyobraźni sowietologów. Jesienią 1945 r., w czasie pierwszej podróży do Niemiec widziałem tam wyniesione z płonących biur akty, z których wynikało, że Niemcy mieli też wiadomości o pasie bezpieczeństwa, tworzonym na terenach opuszczonych przez cofającą się armię. Wreszcie od uchodźców ukraińskich z Galicji słyszałem też, że podobne wiadomości dochodziły z ich terenu.

Dla ścisłości dodam, że projekty te pozostały w Polsce nieznanne. Nikt z przyjezdnych, których o to pytałem, o nich nie słyszał. Żołnierzy sowieckich — mówili — witano z uczuciem ulgi, bo przybycie ich było końcem koszmarnej okupacji niemieckiej. Od jednego tylko z przyjezdnych słyszałem, że niektórzy czuli niejasno jakieś wiszące nad krajem niebezpieczeństwo. Ostatnie obawy rozwiały się w chwili, gdy z pomocą sowiecką zaczęto budować Nową Hutę.

Jak wiadomo, projekt pasa bezpieczeństwa, o ile w ogóle wyszedł poza warianty opracowywane w sztabie generalnym, nie został wykonany. O projektach takich decydował tylko jeden człowiek — Stalin, ten zaś zatrzymał się na innym wariantcie, mianowicie na projekcie Rzeczypospolitej Ludowej.

Jakie były motywy jego decyzji? Jeden z nich przynajmniej wydaje się jasny. Pas bezpieczeństwa był wariantem na wypadek wycofania się Rosjan z Europy; polityka przewidująca długotrwałe stacjonowanie wojsk sowieckich w Erfurcie, uchodzącym za środkowy punkt kontynentu, wymagała innego zagospodarowania strefy pośredniej.

Paweł HOSTOWIEC

Jak nie krzyczeć?

Cała prasa światowa doniosła o wypadku, który miał miejsce 3 stycznia bieżącego roku w Moskwie: trzydziestu dwóch sekcjarzy (ewangelistów) zgłosiło się do Ambasady St. Zjednoczonych z prośbą o azyl. Tego rodzaju masowe szukanie ratunku w obcej ambasadzie zdarza się w Moskwie po raz pierwszy. Ewangelista zostali przekazani przez władze amerykańskie odpowiednim czynnikom sowieckim i wywiezieni pod osłoną policji w niewiadomym kierunku. Departament Stanu, odmawiając azylu skarżącym się na prześladowania religijne ewangelistom, ogłosił, że działa na zasadzie niezmiennych instrukcji i przepisów obowiązujących ich placówki dyplomatyczne.

4 i 5 stycznia wszystkie pisma pisały o incydencie. Niektóre zaś gazety dodawały, że wiadomość ta będzie miała niewątpliwie *un énorme retentissement* na świecie — kolosalny rozgłos. Od 6 stycznia prasa przestała o tym pisać i wywiezienie „w niewiadomym kierunku” 32 „sektantów” (jak ich w Rosji nazywają) utonęło nie tylko we Francji ale i w Ameryce w milionie nowych sensacji politycznych, kryminalnych czy innych.

Przyjrzyjmy się dokładnie, na podstawie doniesień rozlicznych dziennikarzy, *faktom* które się wszystkie wzajemnie potwierdzają i wiążą.

O 9,30 rano trzeciego stycznia 32 osoby — chłopcy z żonami i dziećmi — z Czernogorska (Syberia Centralna, okolice Krasnojarska), dotarli do ambasady amerykańskiej, by, jak oświadczyli, schronić się od prześladowań religijnych. Po przebyciu 3000 km, po 4-dniowej podróży ta garstka płaczących błaga o ratunek *tych co wierzą w Chrystusa*. Amerykanie wprowadzają ich do jadalni ambasady, zamienionej na prędcę w poczekalnię, częstują ich uprzejmie jajkami, kawą i *toastami*. Tymczasem urzędnicy tejże ambasady biegną i telefonują, by zawiadomić Komisarjat Spraw Zagranicznych o wydarzeniu.

O 11,30 radca polityczny Richard T. Davies powraca w towarzystwie dwóch urzędników sowieckich i wprowadza ich do sali,

gdzie umieszczono sektantów. Nie wiemy jak wyglądały „pertraktacje” chłopów syberyjskich z urzędnikami sowieckimi w obecności amerykańskich dyplomatów. Trwały one całą godzinę. W tym samym czasie sam ambasador M. Foy D. Kohler przyjął przedstawiciela Komisarjatu Spraw Zagranicznych w swym gabinecie, podrzędniejsi zaś rangą dyplomaci, bronili wstępu do jadalni, nieproszonym gościom-dziennikarzom. Zabroniono im nie tylko kogokolwiek czy cokolwiek fotografować — uprzedzając, że w razie nieposłuszeństwa będą im odebrane aparaty — ale zasłonięto drzwi jadalni (pewno były szklane) dodatkową dyktą-ekranem.

O 12,30 urzędnicy ambasady zażądali od dziennikarzy, by opuścili gmach ambasady, jeden z nich wyprowadził wszystkich na ulicę. Żaden nie dostał prawa zetknięcia się, rozmówienia się ze zbiegami. Wtedy dopiero przy zamkniętych wrotach w podwórzu gmachu, urzędnicy sowieccy na spółkę z urzędnikami ambasady zabrali się do ładowania „sektantów” z ich żonami i dziećmi do wielkiego sowieckiego autokaru. Ta operacja trwała jeszcze 40 minut. Według szeregu informacji z pism, odbywały się tam wówczas sceny rozdzierające.

O 13,15 dopiero autokar ruszył. Policja ubrana po cywilnemu broniła przy wyjeździe z ambasady dostępu kogokolwiek do autokaru.

Dziennikarzom udało się jedynie zebrać skrawki dosłyszalnych, czy przez personel ambasady powtórzonych, wypowiedzi sektantów. Wielu z nich szlochało „chcemy tu zostać, wyślijcie nas do byle jakiego kraju, wszystko nam jedno dokąd, tu nie ma dla nas miejsca”. Inni prosili by ich wysłano do Izraela, urzędnicy ambasady nie bardzo wiedzieli czy chodzi im o Izrael dzisiejszy czy ten biblijny „opływający mlekiem i miodem”, który żywił nadzieją wyobraźnię tych od świata oderwanych, pilnych czytelników biblii i wyznawców biblii.

Podczas gdy namawiano ich by opuścili ambasadę wciąż powtarzali „chcemy tu zostać, jeżeli nas oddacie wszystkich nas rozstrzelają. *Ratujcie nas kto wierzy w Chrystusa*. Wszyscy twierdzili, że władze sowieckie chcą im odebrać dzieci.

Urzędnicy sowieccy obiecywali Amerykanom, że nic złego tym ludziom nie zrobią, że ich tylko wiozą do hotelu — nawet wskazali do którego, do „Siewiernej Gostinnicy”. Dziennikarzom, którzy się do tego hotelu wybrali oznajmiono, że o takich lokatorach w ogóle nie słyszano. Czynniki oficjalne odmówiły wszelkich wyjaśnień, poza jednym przedstawicielem Komitetu do Spraw Wyznań przy Radzie Ministrów. Zaręczał, że Komitet ten zbada, czy aby władze lokalne nie popełniły wobec tych ludzi jakichś nadużyć. Ale drugi przedstawiciel *tejże instytucji* oświadczył kategorycznie, że sprawa ta bynajmniej nie należy do tego resortu i radził się zwrócić do Komisarjatu Spraw Zagranicznych. Tam wszelkich wyjaśnień odmówiono.

Już na drugi dzień — 4 stycznia — tenże Komisarjat Spraw Zagranicznych zakomunikował obcym korespondentom, że wszy-

scy przybyli z Czernogorska są już w drodze powrotnej do tego osiedla. O całym incydencie prasa sowiecka nie podała nawet wzmianki, jedynie telewizja i radio sowieckie poruszały w tym samym okresie temat wszelakich zbrodni i nadużyć dokonywanych w Rosji Sowieckiej przez antyspołecznych „sektantów”.

A teraz wyobraźmy sobie jak te sprawy z 3-go stycznia w Moskwie wyglądały naprawdę.

Pisząc o sprzecznych wyjaśnieniach podanych korespondentom, „Figaro” dodaje wytwornie i dyplomatycznie: *cette mise aux point laisse planer l'incertitude sur le sort réservé au réfugiés de Tchernogorsk* — brzmi to w wolnym tłumaczeniu: „nad losem uchodźców z Czernogorska zawisł cień niepewności”. Otóż nie ma tu żadnej niepewności. Sektanci za krok swój szaleńcy zapłacą, może nie aż 10 czy 25 latami obozów (cyfry klasyczne z okresu Stalina) ale zapłacą ciężko i okrutnie. Pomimo wielkich zmian które zaszły (przede wszystkim zaprzestanie masowych wywózek do obozów — ale czy jednak całkowita likwidacja tych obozów?) — liberalizm dzisiejszej Rosji Sowieckiej jest jeszcze o tysiące mil oddalony od tego, co w pojęciu zachodnim można nazwać liberalizmem. Los pani Iwińskiej — Lary, z „Doktora Żiwago” jej zesłanie na osiem lat do obozu zaraz po śmierci Pasternaka, jest przykładem wystarczającym i dostatecznie znanym (1).

Różnica dzisiejsza z okresem stalinowskim — poza pewną liberalizacją — polega również na częstszym zastępowaniu cynizmu hipokryzją. Iwińska została zasądzona za uchybienia celno-dewizowe — broń Boże za Pasternaka — sektanci, jeżeli to będzie korzystne dla władzy, będą karani za inne „zbrodnie”, nie zaś za schronienie się w amerykańskiej ambasadzie. Stalinowskie „wsio pragotiat” (2), tak mówił Stalin o reakcjach Zachodu na terror, staje się przez to łatwiejsze do przełknięcia dla nas, dbających o swoje dobre sumienie, o spokojne sumienie, dla nas, którzy tak pragnęlibyśmy wierzyć w bezbolesną ewolucję Sowietów i we wszelakie „maszynki postępu”.

Urzędnik Komisariatu Spraw Zagranicznych pertraktujący z ambasadorem w jego zacisznym gabinecie (3), ci inni sowieccy urzędnicy, którzy za zastąpionymi drzwiami „namawiają” sektantów do wyjścia z ambasady, to przecież zawsze albo enkawudyści, tak czy inaczej przewzani dla niepoznaki, albo ich bezpośredni agenci. A Amerykanie tak pośpiesznie ustawiający te dodatkowe drzwi z dykty, by nikt z dziennikarzy nie podpatrzył, nie usłyszał jęku tych ludzi, którzy narażając cały swój los przybyli tam szukać ratunku, ci dyplomaci byli wówczas najściślej solidarni z urzędnikami NKWD. Likwidacja przykrego incydentu była

(1) Szlachetny, wnikliwy, na ścisłych faktach oparty artykuł Pani Pelletier-Zamoyskiej w „Esprit”, sprawę tę naświetla jak można najlepiej.

(2) „Wszystko przełkną”.

(3) Menotti w swoim „Konsulu”, na którym przez rok wzruszała się i płakała nowojorska publiczność, przedstawił scenę prawie że identyczną, ale to była opera — płacz i wzruszenie były na miejscu.

w ich wspólnym interesie. Na krzyk „kto wierzy w Chrystusa pomóżcie nam” była jedna odpowiedź *czornyj woron* — tak się nazywały lat temu dwadzieścia te „autokary”, dziś na inny kolor przemalowane. Cóż z tego, że każdy prezydent Stanów Zjednoczonych, w każdym przemówieniu mówi o Bogu i że wszelkie sekty mają w Ameryce pełne prawo istnienia.

Szkalowanie w tym samym czasie jako elementu antyspołecznego i zbrodniczego sektantów, w ogóle jest chwytem klasycznym. Już państwo Rzymskie na tej samej podstawie skazywało posądzonych o wszelakie zbrodnie pierwszych chrześcijan, i to porównanie nie jest wcale naciągnięte. Ci sektanci to w Sowietach ludzie z bezbronnymi, najbardziej bezbronnymi. Nie mają świątyni, nie mają hierarchii kościelnej, na której prześladowanie skupia się przede wszystkim. Kościół prawosławny (tylko w ostatnich trzech latach zamknięto 3 seminaria, Ławrę Kijowską, Ławrę Poczajowską i liczne świątynie), jest jeszcze w porównaniu z nimi *względnie* uprzywilejowany.

W opowiadaniu Sołżenicyna „Dzień Iwana Denisowicza” poznajemy Aloszę, jakże bliskiego Aloszy Karamazowa; to brat tych uchodźców z ambasady, zesłany ze swymi współwyznawcami za modlitwy, modli się dalej w obozie, ukrywa ewangelię na swej pryczy, i innych pociesza i sił im dodaje „oczkami jak świeczki”.

Sektanci byli tępieni w Rosji i za czasów carskich. Było ich wówczas parę milionów. Od Starowierów, Chłystów o ciemnym nurcie seksualnym, od kaleczących się dobrowolnie Skopców-rzezańców, po sekty zbliżone do protestantyzmu jak Sztunda, Adwentyści, Ewangeliści, Baptyści, Duchoborzy itd.

W 1895 r. Duchoborzy, osiedleni na Kaukazie, rzucali w ogień broń, którą im dano do obrony przeciwko zbójom. Chcieli tym zamanifestować swój absolutny pacyfizm i odmowę służby wojskowej. Zsyłano ich na Sybir jak dziś, i więziono ich jak dziś. Ale na przestrzeni wielu lat pisarze, społecznicy, politycy, występowali w ich obronie, badali ich wierzenia, nawet współpracownik reakcyjnego „Nowawo Wremieni”, Rozanow, za nich rozumnie się ujmował. Ten świat tępiony miał przyjaciół, badaczy, sympatyków, obrońców. Tołstoj walczył o nich przez lata, najenergiczniej, i najkonsekwentniej — Tołstoj o nieporównywalnym wówczas światowym autorytecie moralnym. On zdobył dla Duchoborów prawo emigracji do Kanady. Może tamto wspomnienie pchnęło dzisiejszych Ewangelistów do ambasady amerykańskiej?

Kto dziś interesuje się sektami ZSSR? I my zapomnieliśmy o nich, a przecież nawet według statystyk sowieckich samych Ewangelistów i Baptystów jest ponad 250.000 (4). Dla walczących ateistów ten świat to tylko ciemnota średniowieczna, którą trzeba tak czy inaczej zniszczyć dla postępu.

Szkalowanie ich w Sowietach jest zrozumiałe. Ale skąd to milczenie o nich na świecie? Dlaczego milczy prasa Ameryki

(4) Według naszych informacji ruch sekciarski na terenie ZSSR szerzy się w ostatnich latach z żywiołową siłą. Red.

Północnej o niezliczonych sektach, tak wyznaniowo bliskich Ewangelistom sowieckim? Nie ma mowy o naciskach cenzury rządowej, prasa tam jest rzeczywiście wolna. Brak informacji? Strach, że pisząc o nich można by im zaszkodzić? Czy wprost obojętność na sprawy zbyt dalekie? Czy *milczeniem* właśnie nie szkodzimy im najwięcej?

Nie myślę tu wcale obciążać specjalnie sumienia ambasadora amerykańskiego w Moskwie i czynić go za wszystko odpowiedzialnym. Cóż bym zrobił na jego miejscu (na pewno nie broniłbym dziennikarzom dostępu, nie kazałbym ustawiać dykty-ekranu. Ale to jest ostatecznie detal); czy śmiałbym jednak, wbrew przepisom mego kraju, bez względu na nieobliczalne następstwa polityczne tego gestu, sektantów w ambasadzie zatrzymać?

Chodzi mi tu o próbę *ewokacji* tego, co się stało, o świadomość tego, co spotkało ludzi, którzy wierzyli, że ich uratują ci, co w Chrystusa wierzą, o świadomość naszej, nas wszystkich bezsilności, graniczącej ze zdradą. Gdzie są ci ludzie, którzy naprawdę „wierzą w Chrystusa” i chcą śpieszyć na pomoc *sobie narazając*?



Kiedy „człowiek niektóry zstępował z Jeruzalem do Jerycha i wpadł między zbójców... kapłan szedł tąż drogą, a *ujrzawszy go pominął*. Także Lewita dostawszy się na ono miejsce, a przy szedłszy i *ujrzawszy go pominął*. Ale Samarytanin niektóry... *ujrzawszy go uzalił się go*. A przystąpiwszy zawiązał rany jego i nalawszy oliwy i wina i włożywszy go na bydlę swoje wiódł go do gospody i miał staranie o nim”.

Ten kapłan, ten Lewita — to my wszyscy. Nie tylko ambasador Stanów Zjednoczonych. Ten kapłan i ten Lewita mieli również pewną kolejność spraw, sprawy ważniejsze i śpieszne nie pozwalały im może ratować po drodze człowieka, który „wpadł między zbójców”.

Wiem, że nie jeden czytelnik zarzuci mi bezpłodność uczuciowej reakcji, ale *jak nie krzyżeć*.

Kiedy Mickiewicz w 48-tym roku, na audiencji u Piusa IX, upominał go z gwałtownością, „by spełnił swój obowiązek”, księża polscy po audiencji rzucili się na niego, że krzychał na papieża. „A jak nie krzyżeć — odpowiedział Mickiewicz, „kiedy ojczyzna zabita”.

Dziś nie trzeba być Mickiewiczem, wystarczy być najwyklejszym z ludzi, który sam przeszedł przez Rosję, żeby chcieć tak samo, i tak samo bezsilnie, krzyżeć po przeczytaniu w gazetach codziennych o incydencie w ambasadzie amerykańskiej.

W imię wyższych celów (wyższych?) politycznych, dyplomatycznych, zabita została nadzieja i litość — ojczyzna maluczkich. Nikt się nie uzalił nad „człowiekiem, który wpadł między zbójców”. Ani kapłan ani Lewita, ani Samarytanin.

Józef CZAPSKI

10 lat po śmierci Stalina

Stary rewolucjonista i jeden z pierwszych dyplomatów sowieckich, Leonid Krasin, nazwał kiedyś Stalina „azjata”. Oczywiście nie zamierzał on, jako internacjonalista i komunista, obrazić w ten sposób Azjatów. Faktem jest jednak, że pojęcie „azjata” łączy się z niezatartym historycznym wspomnieniem osoby Dżingis-Chana. Bardziej dokładnie określił to Bucharin, mówiąc niemal proroczo o Stalinie jako o „Dżingis-Chanie z telefonem”, przy czym telefon służył tu jako symbol techniki. Ludzi o najsilniejszych nerwach musi przejmować dreszczem wyobrażenie Dżingis-Chana dysponującego bronią atomową. Od zmory tej została ludzkość wybawiona przed dziesięciu laty. Według oficjalnych źródeł sowieckich Józef Wissarionowicz Dżugaszwili — Stalin zmarł 5 marca 1953 roku o godz. 21.50. Rozpoczęła się wówczas nowa epoka w historii Związku Sowieckiego.

Dziesięć lat to drobny fragment w dziejach ludzkości. Za lat 50 czy 100 będzie mógł dziejopis wiele wydarzeń osądzić mądrzej niż my. Dziś, po zaledwie dziesięciu latach, trudno o wielu rzeczach wyrokować, tym bardziej że w tym okresie rozwój wydarzeń w Sowietach przebiegał szybciej niż w innych państwach. Ale rocznica jest rocznicą i trzeba podjąć próbę podsumowania i wyciągnięcia ogólnych wniosków z procesów, które zawierają tak wiele sprzecznych elementów.

Destalinizacja w dwóch etapach

Stalin jako twórca systemu terroru i wyzysku nie był odosobniony. Geniusz jego polegał na poznaniu i konsekwentnym tworzeniu potęgi aparatu. Stworzona przez Lenina partia, będąca mimo wszystko organem politycznym, była dla niego przeszkodą. Zadanie czystek z lat trzydziestych polegało właśnie na prze-

kształceniu partii w aparat biurokratyczny, a rewolucjonisty w posłusznego aparaczyka. Bez pomocy innych Stalin nie dokonałby nigdy tego dzieła, a pomocnikami jego nie byli wyłącznie policjanci, szpicle i mordercy, ale także ci ludzie, którzy przez niemal trzydzieści lat reprezentowali w świecie „pierwsze państwo socjalistyczne”. Na ten fakt wskazujemy celowo, ponieważ trzeba ustalić kim byli owi przywódcy sowieccy, których osierocił Stalin przed dziesięciu laty. Nie popełnimy chyba poważnego błędu twierdząc, że wszyscy ówczesni przywódcy komunistyczni ponoszą odpowiedzialność za to, co się stało. Badania należy jednak prowadzić z największą dozą sumienności i obiektywizmu. Umożliwi to nam lepsze zrozumienie dzisiejszych stosunków.

Część spośród tych przywódców składała się niewątpliwie z inkwizytorów, inspiratorów zbrodni i morderców. Do nich należą Beria, Kaganowicz, Malenkow, Mołotow a nawet Bułganin. Nie da się wymazać ich podpisów na opublikowanych niedawno dokumentach, które zarządzały śmierć tysięcy niewinnych ludzi. Inni znowu pomocnicy Stalina akceptowali wszystkie jego czystki i przy każdej okazji pochlebiali dyktatorowi, ale w organizowaniu mordów bezpośrednio nie uczestniczyli, czy to, że nie zobowiązywało ich do tego zajmowane stanowisko, czy to z powodu pewnych właściwości charakteru. Bez wątplenia klasycznym przedstawicielem tych oportunistów był Mikołaj. Do tej samej kategorii zaliczyć trzeba też Nikitę Siergiejewicza Chruszczowa.

Proces destalinizacji w Sowietach pojmiemy łatwiej przypominając, że w jego początkach sprzymierzyły się ze sobą obie wymienione grupy: inkwizytorzy i oportuniści uzgodnili, że nie należy dłużej igrać z terrorem. Dotyczyć to miało również wzajemnych stosunków między przywódcami. Na temat rozstrzelania Berii kursują różne wersje. Największą nieufność wywołały próby dalszego śledzenia pewnych funkcjonariuszy partyjnych. Gdy ukraiński funkcjonariusz Serdiuk poskarżył się Malenkowowi i Chruszczowowi, że szpicle policyjni snują się za nim po Lwowie, Komitet Centralny uznał, że przebrała się miara i zlikwidowano Berię. Ma to jednak niewiele wspólnego z prawdziwą rozprawą ze stalinizmem. Zamiarem Chruszczowa było usunięcie tylko najjaskrawszych wypaczeń dawnego systemu — a mianowicie *samowoli* aparatu terroru. Na XX zjeździe partyjnym (1956), który określa się jako punkt zwrotny w historii Związku Sowieckiego po śmierci Stalina, Chruszczow szedł ręką w rękę z inkwizytorami. W swym przemówieniu musiał się z nimi liczyć. Później wiele jego wypowiedzi na temat stalinizmu brzmiało zupełnie inaczej. Ludzie tacy jak Woroszyłow, przedstawieni na XX zjeździe jako ofiary dyktatora, zostali w kilka lat później, na XXII zjeździe napiętnowani jako bezpośredni współuczestnicy mordów.

Pierwszy etap destalinizacji zmierzał do określonego celu: *stworzenia głównych podstaw do modernizacji systemu sowieckiego, nie zaś do obrachunku ze zbrodniczą przeszłością Stalina.*

Fakt ten właśnie sprawił, że po śmierci Stalina mógł powstać osobliwy sojusz ludzi takich jak Beria, Malenkow i Kaganowicz z Chruszczowem i Mikołajem.

Różnice poglądów w kierownictwie sowieckim po śmierci Stalina powstały nie na gruncie stosunku do osoby zmarłego dyktatora i do stalinizmu. Trzeba było sprecyzować na czym właściwie ma polegać modernizacja systemu. Usunięto najgorsze wypaczenia przeszłości, rozwiązano prawie wszędzie łagry, proklamowano „praworządność socjalistyczną”. Odetchnąć mogli nie tylko biurokraci, ale i prości obywatele sowieccy. Podjęto również szereg innych pozytywnych kroków. To wszystko jednak nie wystarczało, aby móc mówić o rzeczywistej modernizacji ustroju. W tych warunkach wykrystalizowały się w kierownictwie sowieckim dwie grupy: konserwatystów i zwolenników reformy. Zwycięstwo tych ostatnich rozstrzygnęło o późniejszym przebiegu procesu destalinizacji. Usunięcie w czerwcu 1957 roku „grupy antypartyjnej” zapoczątkowało nową erę, przy czym XXII zjazd (1962) nie stanowi punktu kulminacyjnego tego okresu, który trwa ciągle. Od roku 1957 następują jedna po drugiej reformy. Najważniejsze z nich dotyczyły kierowania przemysłem i budownictwem (1957), ośrodków maszynowo-traktowych (1958) i spraw szkolnych (1958). Nie będziemy tu zajmować się ich rezultatami, nie ulega jednak wątpliwości, że dążeniem autorów tych reform była modernizacja ustroju.

Błędem byłoby przypuszczać, że wszystkie te, trwające do dziś reformy były świadomym aktem odwrotu partii od stalinizmu. Rzeczywistość wyglądała całkiem inaczej: *partia zmuszona była pod naciskiem praktyki życia codziennego i na skutek stale rozszerzających się procesów społecznych do oddalania się krok za krokiem od teorii i praktyki stalinowskiej.* Do dziś dnia trudno mówić o prawdziwym obrachunku ze stalinizmem. W dzisiejszym kierownictwie sowieckim z całą pewnością nikt nie jest tym zainteresowany.

Sposób, w jaki społeczeństwo sowieckie wychodzi ze stalinowskiego okresu historycznego i wkracza w nową epokę rozstrzyga dziś w rzeczywistości o wszystkim w Sowietach. W zasadzie sowieckie reformy gospodarcze mają charakter antybiurokratyczny, jednak w zetknięciu z rzeczywistością nabierają klasycznych form biurokratycznych. Dotyczy to zarówno przemysłu jak i rolnictwa. To ostatnie odgrywa jednak w Sowietach główną rolę. Od czasu przeprowadzonej przez Stalina, w początku lat trzydziestych, przymusowej kolektywizacji nie udało się zapewnić normalnego funkcjonowania rolnictwa, jakkolwiek zarządzenia Chruszczowa przyniosły poważną poprawę. Nie chcemy tu męczyć czytelnika cyframi, ale zgodzi się on, że zwiększenie produkcji zboża 5 mrd. pudów w roku 1953 do 9 mrd. w roku 1962 jest jednak osiągnięciem. O tym samym mówią cyfry zwiększenia produkcji mięsa z 5,8 na 9,2 mln. ton, masła z 479 na 950 tysięcy ton i mleka z 36,5 na 64,5 mln. ton. Wartość tych osią-

nięć zmniejsza naturalnie fakt, że w wymienionym okresie ludność w Sowietach znacznie się powiększyła.

Przyszłość rolnictwa sowieckiego zależy jednak od jednej podstawowej sprawy, której Chruszczow nie umiał, mimo wielu starań, rozwiązać: od nastawienia kołchoźników wobec kołchozów. Lenin był zdania, że kooperacja na wsi możliwa jest tylko w określonych warunkach: gdy zapewniona jest potrzebna ilość maszyn rolniczych i gdy kolektywy powstają w warunkach dobrowolności. Kiedy Stalin rozpoczynał kolektywizację żaden z tych warunków nie był spełniony. Poza tym wypaczył on „kooperatywny” plan Lenina tworząc z kołchozów pseudo-spółdzielcze, półpaństwowe przedsiębiorstwa. Od tego czasu *kołchoźnicy odwrócili się od kołchozów* i to w sposób klasyczny, ilustrując niejako myśli Marksa o wyobcowaniu się robotników przemysłowych w gospodarstwie kapitalistycznym.

Wskazujemy na te fakty aby zobrazować zygzakowaty kurs KPZS pod kierownictwem Chruszczowa. Po likwidacji stacji maszynowo-tractorowych współpracownicy Chruszczowa potępił tezę Stalina, że kołchozy stanowią niższą formę „własności socjalistycznej” od sowchozów. Wyglądało, że nadchodzi renesans kołchozów, że usunie się wiele „biurokratycznych idiotyzmów” w polityce rolnej Stalina. Istnieje szereg dowodów na to, że kołchoźnicy zaczęli wtedy przejawiać większą inicjatywę. Zaczęto tworzyć „organizacje między-kołchozowe”, a dynamika tego ruchu zaskoczyła partię. Powstał wówczas szereg przedsiębiorstw międzykołchozowych, które zaczęły skutecznie konkurować z odpowiednimi przedsiębiorstwami państwowymi. Gdy jednak w roku 1959 przerwano na wsi ten rozwój wypadków i gdy partia zaczęła się przygotowywać do styczniowego plenum 1961 — stało się jasne, że powrót do leninowskiego planu kooperatywu (jak tego żądali rozsądni autorzy sowieccy) nie mógł już być urzeczywistniony. Na marcowym plenum 1962 Chruszczow okazał się głuchy na wypowiedzi kołchoźników, z których kilka było wprost wstrząsających. W „Sielskaja Zizn” można było przeczytać na krótko przed plenum: „Przestańcie nas uważać za kmiotków w chodakach, dajcie nam więcej wolności. My znamy się trochę na gospodarstwie i potrafimy gospodarować niegorzej od farmerów amerykańskich”. Odpowiedź Chruszczowa i partii była bardzo wyraźnie odmowna. Na plenum postanowiono utworzenie tzw. zarządów produkcyjnych, które miały decydować we wszystkich sprawach kołchozów. Najbardziej odpowiedzialna rola w tych zarządach przypadła przedstawicielom partii. Podczas plenum listopadowego 1962 roku poszła partia jeszcze o krok dalej. Aby wzmocnić swą pozycję w kierownictwie gospodarką partia przekształciła swe kierownicze organy według „zasady produkcyjnej”. Cała organizacja partyjna podzielona została na dwa potężne człony: tu komuniści w rolnictwie, tam komuniści w przemyśle. Ich wpływ na oba te działy gospodarki ma się stać podstawą przyszłego rozwoju gospodarczego.

Co z ekonomicznej doktryny Stalina już dziś nie obowiązuje?

Tę listę najważniejszych, dziś anulowanych tez Stalina należy przyjmować z zastrzeżeniem. Anulowanie jest zarządzeniem czysto negatywnym i należy wyrazić ubolewanie, że nie możemy cmówić tu kontr-tez zwolenników Chruszczowa. Pozwoliłoby nam to na ocenę, jak dalece szczerzy jest odwrót od stalinizmu i czy można na tej podstawie budować prognozy dalszego rozwoju sowieckiej teorii i praktyki.

Nie możemy oświetlić tu pierwszych skreśleń tez Stalina np. odnośnie roli terroru. Zajmiemy się tylko ostatnimi zmianami, których aktualność jest szczególnie duża.

Stalin twierdził niegdyś, że przejście do komunizmu odbywać się będzie następująco: zapewnienie stałego wzrostu produkcji, przekształcenie kołchozów w sowchozy, zastąpienie obrotu towarowego wymianą produktów między miastem a wsią, podwojenie płac i podniesienie kulturalne i techniczne obywateli sowieckich. Ta recepta nie jest dziś już obowiązująca. Stworzenie „materialno-technicznej bazy komunizmu”, co w normalnym języku oznacza stworzenie nowoczesnej i dobrze funkcjonującej bazy produkcyjnej, traktowane jest jako warunek osiągnięcia wyższego szczebla rozwoju. Własność spółdzielcza (kołchozy) postawiona została na równi z własnością państwową (sowchozy), obrót towarowy ma być rozszerzony do granic maksymalnych. Niedocenianie przez Stalina roli prymatu produkcji przyniosło fatalne następstwa. Stalin twierdził, że siła nabywczą ludności i jej potrzeby mają wyprzedzać produkcję. Było to w gruncie rzeczy tylko cynicznym usprawiedliwieniem pseudo-marksistowskimi argumentami chronicznego braku towarów. Stalin poszedł nawet tak daleko, że określał to zjawisko jako „wyższość socjalizmu”. Nie trzeba być ekonomistą, aby ocenić jak fatalny wpływ miała taka filozofia na całe życie gospodarcze. Likwidacja zasady bodźców materialnych w gospodarce sowieckiej była następstwem innej tezy, która głosiła, że środki produkcyjne nie mają charakteru towarowego. Trudności rolnictwa były w dużej mierze wynikiem przekręcenia przez Stalina tezy Marksa o prymacie wytwarzania środków produkcji, którą Stalin zredukował do forsowania budowy ciężkiego przemysłu. Według Marksa — żyjąca mleczna krowa jest „środkiem produkcyjnym”. Przykład ten ilustruje, że poważna część produkcji rolnej winna być zaliczana do grupy „A” (środki produkcji) i w tym stopniu uprzywilejowana w rozwoju, jak środki produkcji w przemyśle. Taki jest dziś punkt widzenia teoretyków Chruszczowa.

Szczególnie wielką szkodę wyrządziło specyficzne pojmowanie przez Stalina zasady „rentowności gospodarczej”. Był to wyrafinowany trick wykręcenia się od trudności powstałych w zafanej Rosji. W roku 1933 Stalin powiedział: „Nasze sow-

chozy i kołchozy mogą zadowolić się minimalnym zyskiem, niekiedy nawet pracować bez dochodów". Ten pogląd rozbudował później do rozmiarów ogólnej teorii i ostrzegał przed parzeniem na zasadę rentowności oczyma „kupieckimi”. Stalinowska „rentowność gospodarcza” oznaczać miała, że jeśli kołchoz, sowchoz czy fabryka całymi latami pracują nierentownie — nie ma to żadnego znaczenia, ponieważ rezultat końcowy może być pozytywny. Biurokracja sowiecka podniosła te absurdalne idee do rangi programu. Zalegalizowano nienormalny rozwój, usprawiedliwiano jego chroniczny charakter. To tłumaczy, dlaczego Chruszczow tak bardzo domaga się zmiany generacji. Całe pokolenia były w Sowietach szkolone według określonego drylu i dziś są one bezużyteczne dla planów na przyszłość, ale jeszcze żyją i okadzają pochwałami reformy Chruszczowa...

Wymieniona lista jest niekompletna, została ona zestawiona głównie dla pokazania, co stanowiło podstawę wychowania kadr stalinowskich i jakie zgubne ślady pozostawiło ono w mózgach. Samo anulowanie nie prowadzi do niczego, także formułowanie kontr-tez daje niewiele, bowiem odwrót od stalinizmu na odcinku gospodarki sowieckiej nie zależy tak bardzo od stosunku do błędów teorii i likwidacji określonych instytucji, zależy natomiast od zmiany ludzi.

Narodziny opinii publicznej

Gdyby ktoś zapytał co było największym niepowodzeniem dziesięcioletniego okresu postalinowskiego — odpowiedź powinna brzmieć następująco: Po śmierci dyktatora okazało się, że skończyła się rola tak ważnego elementu stalinowskiej „budowy socjalizmu” jakim był terror. Terror ten pozostał jako niezbędna broń reżymu, jako regulator, ale zasięg jego działania się zmienił. Reżym był zmuszony do realizowania swoich celów przy pomocy środków gospodarczych. Z pewnością nie tylko w kierownictwie komunistycznym, ale i w szerokich masach sowieckiej inteligencji odgrywała rolę świadomość, że problemy w obliczu których stoi społeczeństwo na etapie postępu technicznego i automatyzacji są nie tylko nadzwyczaj ważne, ale wprost decydujące o przyszłości Związku Sowieckiego. Wydaje się nam, że myśl ta decydowała o najnowszej reformie partyjnej. Przyszłość rozstrzygnie, czy próba przekształcenia KPZS w rodzaj związku inżynierów, techników, dojarzy i hodowców świń jest nową biurokratyczną utopią, czy też nosi w sobie załączek przyszłego ustroju państwowego, w którym postawiony będzie znak równania między sprawami produkcji a życiem politycznym. Nie zamierzamy tu komplementować reformy Chruszczowa pragniemy jednak zachować obiektywizm wobec przywódców sowieckich, którzy na pewno nie są głupcami. Ofensywa partyjna na odcinku gospodarczym nie jest zatem powrotem do prymitywnego dyryżyzmu z okresu stalinowskiego.

Wszystkie te wstrząsy społeczne sprzyjają powstawaniu opinii publicznej w Sowietach. Jej możliwości rozwojowe są ograniczone, ale nieporównanie większe niż za czasów Stalina. Wobec zera każda cyfra ma swoje znaczenie. Powstanie opinii publicznej wyraża się w różny sposób. Pośród uczonych, ekonomistów i innych specjalistów wyraża się ona w najbardziej elementarnej formie: w ożywieniu się dyskusji. Nie należy zapominać, że Stalin pozbawił całe pokolenia w Sowietach możliwości dyskusowania, że można było przemawiać tylko zgodnie z linią partyjną, cytować dyktatora i podawać za prawdę ustalone przezeń tezy. Od czasu XX zjazdu dyskutuje się coraz odważniej na różne tematy z dziedziny gospodarki czy nowoczesnych dziedzin nauki, jak np. o cybernetyce. Prawo do dyskusji prowadzi automatycznie do różniczkowania, własne punkty widzenia reprezentują grupy a nawet jednostki.

Szczególnie wyraźnie występuje to zjawisko wśród pisarzy. Jednolity front socrealistów pod przewodnictwem Surkowa należy dziś do przeszłości. Sowiecki film przeinaczył się całkowicie, tu przedstawiciele nowych prądów czują się najsilniejsi. W całych Sowietach mamy do czynienia z rewolucją poetów. Zarówno Jewtuszenko i Wozniesiński, jak i ugrupowanie tzw. „szestydiesiatnykiw” na Ukrainie i setki innych — nie są bynajmniej zjawiskami antysowieckimi, są natomiast produktem nowej rzeczywistości sowieckiej. Odnaczają się oni silnym pragnieniem rozszerzenia ram wolności, które zakreślił im reżym. Niektórzy chcą to uczynić „za zgodą towarzysza Chruszczowa”, inni wzywają się w rolę Mesjasza i głoszą, że skoro partia nie jest w stanie przeprowadzić obrachunku ze stalinizmem — jest to sprawa ich własnego sumienia. Właśnie fakt, że dziś w Sowietach tak często odwołuje się do sumienia, stanowi najlepszy dowód powstawania opinii publicznej.

Prasa sowiecka potwierdza, że proces ten ogarnia także i prostego obywatela i że nie chodzi tu tylko o małe grupki osób, które gromadziły się i dyskutowały przed mauzoleum Lenina, gdy usunięto stamtąd Stalina, aby pochować go w ogrodzie kremlofskim. Gazety sowieckie otrzymują codziennie tysiące listów — dawniej przychodziły tylko setki i to przeważnie denuncjacje, deklaracje wierności i supliki. Dziś poruszają w nich obywatele sowieccy najróżniejsze problemy. Gdy w ub. roku rząd sowiecki podjął próby atomowe, radio moskiewskie zostało zasypane tysiącem zapytań, czy eksplozje te nie stanowią niebezpieczeństwa dla życia i zdrowia ludności. W październiku 1962 radiostacja zmuszona była wydać w tej sprawie uspokajające oświadczenie. Wrzawa wokół kosmonautów w Sowietach była już kilkakrotnie przerywana falą krytycznych głosów. W pismach „Komsomolskaja Prawda” i „Leningradzkaja Zmiena” drukowano często takie listy. Zawierały one pytania: czy nasze projekty podróży międzyplanetarnych mają w ogóle jakiś sens? Czy astronomia i astrofizyka nie są martwymi naukami? Niektórzy z piszących nie wahali się podpisać listów, zawierających ostrą krytykę i żąda-

nia, żeby władcy Kremla zamiast produkować rakiety zajęli się produkcją nici, igieł i innych artykułów codziennej potrzeby.

Nie będziemy tu zastanawiać się dokładniej dlaczego rozwój idzie w tym kierunku. Faktem jest, że ludzie w Sowietach stali się odważniejsi, naukowcy i eksperci bardziej otwarci. Po okresie czołgania się na brzuchu, po czasach żelaznego drylu ludziom wyprostował się kręgosłup. O tym jak bardzo zmieniły się stosunki świadczy opublikowanie w „Literaturnej Rossji” z 11 stycznia br. utworów szeregu poetów, napisanych jeszcze za życia Stalina i dotychczas nigdzie nie drukowanych. Jeden z poetów, Grigorij Głazow, pisze w następujących słowach o tych „szufladowych” wierszach: „Zakneblowano wam usta, nie chciało słyszeć waszej krytyki, byliście przedmiotem denuncjacji i przesłuchań w policji”. Człowiek nieuprzedzony musi zapytać dlaczego te wiersze ogłaszane są dopiero teraz, w dziesięć lat po śmierci Stalina, ale przecież już sam fakt ich ogłoszenia jest godzien uznania.

Trudno zrozumieć te sprawy bez uprzedniego omówienia stanowiska partii. Z jednej strony partia ocenia ten zwrot pozytywnie, ponieważ z każdym rokiem przekonywała się, że trudno osiągnąć postęp na odcinku gospodarczym mając do czynienia z niewolnikami, niezdolnymi do krytycznego myślenia. Z drugiej zaś strony powstało w Sowietach w osobiwej formie wzajemne oddziaływanie na siebie opinii publicznej i partii. Partia musi walczyć o zachowanie wpływu na opinię publiczną — jednocześnie zaś musi się z nią liczyć. Tym tłumaczy się nowy styl pracy partyjnej i nieustanne zwracanie się przez Chruszczowa do ludności, co nie jest przecie spowodowane jedynie jego chorobliwym gadulstwem.

Nowy problem: Marks czy Dżyngis-Chan

Nie możemy zajmować się tu wpływem rozwoju sytuacji w Sowietach na międzynarodowy komunizm, rzućmy jednak na tę sprawę jedno krótkie spojrzenie. Dziś, o losach komunizmu światowego rozstrzygać będą tylko dwie rzeczy: czy komunistom sowieckim uda się zbudować możliwe funkcjonujący system gospodarczy i jak zakończy się konflikt między Moskwą a Chinami.

Stalin, podobnie jak i Dżyngis-Chan organizował społeczeństwo w stylu militarnym. Nie da się nigdy takiej formy ustrojowej usprawiedliwić wyłącznie wewnętrznymi celami. Struktury polityczne tego typu potrzebują mitu, celu dla ekspansji poza własnymi granicami. Dostarczyć go miała sprawa zwycięstwa komunizmu, które Stalin chciał osiągnąć poprzez potęgę militarną Sowietów. Związek Sowiecki znajduje się dziś na etapie postępu technicznego. Pozostawiając na boku sprawę, jakimi osiągnięciami etap ten się zakończy trzeba stwierdzić, że związany z nim sposób myślenia stoi w sprzeczności z militarnymi

poglądami Stalina. Zasadnicza różnica polega na tym, że dzisiejsi kierownicy państwa sowieckiego jedyne usprawiedliwienie swojej władzy upatrują w zapewnieniu normalnego funkcjonowania gospodarce sowieckiej. Mówiąc o rewolucji światowej posługują się oni nadal bombastyczną frazeologią, muszą jednak dostosować swą taktykę do zmienionych warunków i ich rezygnacja z wojny jako środka do rozprzestrzenienia komunizmu jest szczerą.

To jest właśnie przyczyna dzisiejszego konfliktu między komunistami. Rozłam między Moskwą a Pekinem jest faktem. Stalinizm wypierany przez rozwój sytuacji ze Związku Sowieckiego ugruntował się na innym kontynencie. Jest on dziś bardziej niebezpieczny niż za życia Stalina ponieważ wielu nieludzkich metod, praktykowanych w Rosji nie można było przenieść w inne warunki. Ale istota mentalności „towarzysza” Dżyngis-Chana pozostała: wiara w siłę jako narzędzie przemian historycznych bez uwzględnienia stopnia dojrzałości społeczeństwa. Dżyngis-Chan uzbrojony w bombę atomową nie jest więc tylko utopijną wizją. Nie może być wątpliwości co do tego, że z Pekinu wychodzą naciski zmierzające do przekształcenia całej nowej orientacji komunistów sowieckich.

Komuniści sowieccy stwierdzili wyraźnie w trzech ważnych dokumentach: — W mowie Chruszczowa podczas grudniowej sesji Rady Najwyższej w ub. r., w opublikowanym w „Prawdzie” z 7 stycznia br. oświadczeniu o jedności ruchu komunistycznego i w mowie Chruszczowa na zjeździe SED w Berlinie wschodnim — czego nauczył ich Mao Tse Tung: niebezpieczeństwem dla pokoju są nie tylko imperialiści, lecz także „radykałni komuniści”. Prawdopodobnie nie da się dziś jeszcze ocenić w pełni jakie konsekwencje może mieć w przyszłości rozłam między Moskwą a Pekinem.

Byłoby przy tej okazji pożyteczne wskazać bardzo ostrożnie na następujący problem. W chaosie ostatnich wydarzeń zarysowuje się w obozie komunistycznym niezwykle proces: krytyczne oświetlanie pozycji i znaczenia Lenina. Najpierw w Jugosławii, później w Polsce pojawiły się poglądy, że komuniści mają prawo poddawać pewne tezy Lenina krytyce. W Sowietach natomiast nie ważył się nikt dotknąć tego tabu. Ale nawet tam powstała, np. w kołach ekonomistów, poważna grupa, która w badaniach nad perspektywami systemu gospodarczego Sowietów wysuwa tezę: powrót do Marksa! Także i Chruszczow wskazywał kilkakrotnie na fakt, że w dzisiejszych Sowietach powstają problemy, których nie było za czasów Lenina. Trzeba zdobyć się na odwagę „twórczego stosowania leninizmu”. Ale dopiero spór między Moskwą a Pekinem wpłynął na przyśpieszenie rozwoju tych tendencji. Stało się to — mówiąc bez ironii — jak w sporze uczniowskim. Po sporządzeniu listy spornych zagadnień między obu stronami zauważa się ze zdziwieniem, że obaj uczestnicy tego sporu uzasadniają swój odmienny punkt widzenia cytatami z Lenina. Fakt, że przy tym cytowaniu Chińczycy mają więcej

szczęścia od Rosjan, nie oznacza wiele. Istotne jest, że przy tej okazji wychodzi na jaw kontrowersyjny charakter teoretycznej spuścizny Lenina, że odbywa się to na oczach wszystkich komunistów. Nikt nie będzie zaprzeczał wielkości Leninowi, jednak próby podnoszenia każdej jego wypowiedzi do rangi pisma świętego są nie tylko sprzeczne z duchem marksistowskim, ale wpływają hamująco na dalszy rozwój teorii komunizmu. Przyszłość komunizmu zależeć będzie w wielkiej mierze także od zmian na odcinku teorii. Sytuacja jest dziś całkiem inna niż za życia Stalina. Stalin miał również swoje trudności z teorią leninowską, ale jego pozycja pozwalała mu na wyjście z tych trudności dzięki dwum posunięciom: część dzieł Lenina została umieszczona na czarnej liście zaś leninizm — co jeszcze ważniejsze — został uzupełniony przez stalinizm, a więc zmodyfikowany i nagięty do potrzeb praktyki stalinowskiej. Chruszczow nie podejmuje takich manipulacji, zaś konieczność zrewidowania leninizmu jest niezbędną, mimo gwałtownych protestów niektórych komunistów. Zmusza do tego cała dzisiejsza rzeczywistość. Gdy podniesiono w Moskwie po śmierci Stalina hasło: „powrót do Lenina!” okazało się rychło, że w szeregu ważnych wypadków nie jest to możliwe. Lenin ostrzegał przed łączeniem kompetencji partii i aparatu gospodarczego. W partii widział on jedynie motor rozwoju społecznego. Zgodnie z jego teorią transmisji, partia miała tylko nadawać kierunek rozwojowi życia. Chruszczow odszedł na listopadowym plenum KC KPZS od tego zalecenia Lenina: partia przejmie bezpośrednie kierownictwo gospodarką, powstają nowe mieszane instytucje partyjno-państwowe, w których zrastają się w nieznanych dotąd rozmiarach aparaty partyjne, gospodarcze i państwowe. Jeszcze jednego przykładu dostarczają kołchozy. Do plenum listopadowego były one parodią planu kooperatywnego Lenina. Dziś mówi się, że autonomia kołchozów „była zbyt duża”. Ma to posłużyć za usprawiedliwienie brutalnych interwencji aparatu partyjnego i państwowego w życie kołchozów, przeprowadzającego w jeszcze bardziej jaskrawej formie niż za czasów Stalina.

Borys LEWICKYJ

Jemielianow

Wpuszczono go do mnie gdzieś za Kazaniem.

Wyglądał jak stary Murzyn z obrazu Riepina: barczysty, z gruba ciosane rysy ciemnej twarzy, wydatny nos, szerokie usta. Włosy miał gęste, siwe i ostrą białą brodę; oczy — błękitne, jasne jak u dziecka; ręce — ogromne, silne, spracowane. Ubrany był zwyczajnie: wysokie buty, czapka z daszkiem, rosyjska bluza, zapinana z boku na szyi — k o s o w o r o t k a .

Jego nazwisko nic mi z początku nie mówiło. Podaliśmy sobie ręce i mój gość zapytał, czy wiem, jak Lenin szykował się do rewolucji. Wiedziałem. A czy słyszałem o Razliwie? Odparłem, że niewiele i w tej właśnie chwili zacząłem sobie kojarzyć, z kim mam do czynienia.

Jemielianow zaczął opowiadać.

...Teraz to wszystko, co mogę powtórzyć o Jemielianowie, ma inny sens — łagodniejszy, łatwiejszy. Ja po tylu latach jestem znowu w Warszawie, on u siebie pod Leningradem, a ostatnio przeczytałem w „Prawdzie” jego wspomnienia, podpisane: „...członek KPZR od od 1904 roku”. W dziejach naszej znajomości zapewne ważniejsze stało się dzisiaj to, jaki on był i co mi mówił, niż wszystko, co do owej znajomości doprowadziło i określiło jej charakter. Ale z historii, jak z pieśni, słowa nie wyrzucisz. Trzeba więc zacząć od początku, od owego stycznia 1935 roku, kiedy po zabójstwie Kirowa Moskwę ogarnęło szaleństwo.

Dobrze pamiętam gorączkę i patos tych zebrań, te mowy oskarżycielskie, przypieranie ludzi do muru, aby wyznali, pokajali się... Słowo c z u j n o ś ć zawisło nad nami jak kamieńna chmura, coraz niższa, coraz bardziej przytłaczająca. — Wróg jest koło serca! — z fanatycznym blaskiem w oczach wołał Ma-nuilski. — Z północy, zachodu, południa, zewsząd grozi wróg sercu rewolucji!

Wszędzie go szukaliśmy, a on okazał się tutaj koło nas, bliżej serca partii.

Na każdym zebraniu wstawali bladzi, przerażeni ludzie i drżącymi wargami spowiadali się z błędów i win. Potem znikali inni — i to było równie oczywiste — skoro tamci się przyznali, a ci trwali w uporze... A wreszcie znikaliśmy my, którzy uważaliśmy za oczywiste wszystkie poprzednie zniknięcia — i to, co nas spotkało, było oczywiste dla tych, którzy jeszcze zostali.

W tym okresie więzienia wymieciono już prawie do szczytu z niedobitków dawnych rozpraw — białych, eserowców, mieńszewików, speców z „Prompartii”. Nie było również autentycznych zwolenników Trockiego. Teraz cele zaludnili komuniści — bolszewicy, tzw. „dwulicowcy”, czyli ludzie, którym w gruncie rzeczy nic nie można było zarzucić, a których podejrzewano o najbardziej złowrogie przestępstwa polityczne. „Dwulicowców” uważano za najgorszych wrogów ustroju, niebezpieczniejszych od białej gwardii i faszystów. Ja — komunista, pracownik kominternu — zostałem jednym z nich.

Ogarnąć rozumem, to co się działo, nawet w więzieniu nie było łatwo. Aresztant, przez okres śledztwa izolowany od innych, wiedział tylko tyle, że zarzuty przeciwko niemu są zmyślane, swoją sytuację uważał jednak za szczególną, opartą na nieporozumieniu. Dopiero zamknięcie śledztwa i przeniesienie do wspólnej celi przekreślało iluzję *w y j ą t k o w e j o m y ł k i*. W celi zaczynały się niezwykle spotkania... Ja znalazłem się w grupie dwudziestu siedmiu członków partii, przy czym mój staż — od 1921 roku — okazał się minimalny. Przeważała kadra sprzed rewolucji.

Załadowano nas do pośpiesznego pociągu, który ruszył na wschód. Wagony składały się z ośmiuosobowych przedziałów-cel i z pomieszczeń dla konwojentów. Na czele konwoju stał pułkownik o historycznym nazwisku Arakcejew, skądinąd człowiek dość przyzwoiły, nie utrudniający kontaktów między więźniami. Za jego to pozwoleniem wpuszczono do mnie Jemielianowa.

Przyczyny, dla których Jemielianowowi zależało na znajomości ze mną, wydają mi się charakterystyczne i godne uwagi. W owych latach komuniści rosyjscy bardzo żyli się z marzeniem o rewolucji światowej, poczucie międzynarodowego braterstwa proletariuszy należało nie tylko do oficjalnie wyznawanego światopoglądu, ale po prostu weszło w krew tym ludziom, stanowiło realną część ich psychiki, ich codziennej praktycz-

nej postawy życiowej. (Postawę tę odzwierciadla m.in. poezja spod znaku Majakowskiego i Swietłowa). Zagranicznych towarzyszy szanowano, ufano im i liczone się z ich oceną również tego, co działo się w Rosji. W tym niezafałszowanym internacjonalizmie znajdował wyraz idealizm i romantyzm pokolenia, niedeprawowanego jeszcze późniejszą mocarstwową hipokryzją. Odruch Jemielianowa na wiadomość, że w transporcie znajduje się „*c u d z o z i e m s k i*” — „poznać go, usłyszeć, co on ma do powiedzenia” — był dla ludzi tej formacji naturalny i niemal automatyczny. W zamian zaś za to, czego był ciekaw we mnie, przynosił mi historię własnego życia, której wartość znał dobrze i cenił sobie, ujawniając to bez nadmiernej wstydlivości.

Dzisiaj, spisując tę historię, nie polegam wyłącznie na swojej pamięci — to, co pozostało w niej z licznych rozmów z Jemielianowem, uzupełniam pewnymi szczegółami, przeczytanymi w „Prawdzie”. W sumie wygląda to tak:

Dzieje starego bolszewika

Mikołaj Jemielianow był rybakiem, mieszkał nad jeziorem w pobliżu przystanka kolejowego Razliw pod Petersburgiem. Już od lat 90-tych ubiegłego wieku miał kontakty z socjaldemokracją, a kiedy w partii nastąpił rozłam, został bolszewikiem. W tym czasie pracował już na petersburskiej fabryce i jak bolszewikowi przystało brał udział w strajkach, manifestacjach, a wreszcie w rewolucjach — 1905 roku i lutowej 1917 roku. Latem 1917 roku znowu zaczęły się manifestacje robotników i żołnierzy, tym razem przeciwko Rządowi Tymczasowemu, pod hasłem: „Cała władza w ręce Rad!”. Rząd zastosował ostre represje przeciwko partii bolszewickiej. 7/20 lipca wydano nakaz aresztu przywódców partii, w szczególności Lenina i Zinowiewa.

Partia postanowiła ukryć swoich przywódców. Jemielianow był już wówczas wytrawnym konspiratorem i chętnie podjął się tej misji.

Do Razliwu Jemielianow przywiózł swoich podopiecznych nocnym pociągiem, o trzeciej nad ranem. Z początku umieścił ich na stryżku nad szopą, a po kilku dniach w szałasie za jeziorem. W ukrywaniu gości brała udział cała rodzina Jemielianowa. Jego żona, Nadzieжда Kondratiewna, była także towarzyszką partyjną, podobnie jak najstarszy siedemnastoletni syn. Młodszy synowie — Kondrat, trzynastoletni Kola — obserwowali okolicę, gwizdaniem sygnalizowali zbliżanie się swoich lub obcych. Je-

dynie najmłodszy z siedmiu synów — niespełna trzyletni — nie został wtajemniczony...

Jemielianow z humorem opowiadał o charakterystyce dokładnie wygolonego Lenina, o pasiastych spodniach Zinowiewa...

Po sianokosach, 21 sierpnia, szłaś opustoszał. Na lokomotywie, w przebraniu palacza, z fałszywym dokumentem na nazwisko Konstantego Iwanowa, Lenin wyjechał do Finlandii. Kiedy wrócił tą samą lokomotywą w październiku, zaczęła się trzecia rewolucja — socjalistyczna.

Potem Lenin nigdy nie zapomniał o Jemielianowie i jego bliskich. Oboje z Krupską traktowali ich jak członków rodziny. Jemielianow miał stałą przepustkę na Kreml i ilekroć bywał w Moskwie, przychodził do Lenina w gości. Jeżeli zaś czasem przez dłuższy czas nie dawał o sobie znać, Lenin dopytywał się, co się z nim dzieje. Po śmierci Lenina takie same przyjazne stosunki z rodziną Jemielianowów utrzymywała jego żona — Krupska i siostra — Maria Iljicznica Ulianowa. Nie ustał również kontakt z Zinowiewem.

Tymczasem dorastali synowie, szli w ślady ojca, wstępowali do partii. Wspomnienie o szłaśie w Razliwie trwało w rodzinie, jak dumna legenda. *S p r a w ę , i d e ę* traktowano serio. Kiedy najbliższa Leninowi partyjna organizacja Leningu z Zinowiewem na czele znalazła się w opozycji, przystąpili do niej również młodzi Jemielianowowie. Później — poza jednym — dali się przekonać, odeszli od opozycji, było jednak jasne, że to nie załamanie się, tylko decyzja ideowa, a więc niewystarczająca politycznie. O tym jednak za chwilę.

Sam Mikołaj Jemielianow, już człowiek niemłody, przestał aktywnie działać, obracał się raczej w kręgu historii partii, niż jej aktualnego życia politycznego, pasjonowało go teraz utrwalanie tradycji, a nie jej tworzenie. Dom i szłaś w Razliwie po śmierci Lenina zamieniono w muzeum, Jemielianow został jego kustoszem. Powierzono mu też funkcję lektora GPU, jeździł więc po całym kraju, odwiedzał jednostki bezpieczeństwa i wygłaszał obszerne referaty o tym, jak Lenin w szłaśie nad jeziorem przygotowywał rewolucję. Ale i do takiej roboty w nowych czasach, których rysy stawały się coraz wyraźniejsze, nie bardzo nadawał się ten stary bolszewik. Był zbyt szczerzy, nie umiał i nie chciał ukrywać swych myśli. Relacjonując dawne dzieje, wymieniał nazwiska, które z dziejów tych postanowiono już wykreślić...

Po zabójstwie Kirowa Jemielianow wraz ze wszystkimi swoimi synami został aresztowany. Synów oskarżono o dalszy tajny udział w opozycji, ojca podejrzewano, że przechowuje kopię testamentu Lenina, tego głośnego dokumentu, który aż do ofi-

cialnej publikacji po XX Zjeździe uważany był za nielegalny i kontrrewolucyjny... Mimo tortur w śledztwie, stary nie przyznał się do niczego. Skazano go na konwencjonalne pięć lat obozu (prawie wszyscy mieliśmy wówczas takie właśnie wyroki, nie wiedzieliśmy jednak jeszcze, że trudno nam w ogóle liczyć na wydostanie się kiedykolwiek na wolność). I oto razem jedziemy na wschód.

Na Syberii

Po czterech dobach stosunkowo znośnej podróży przyjechaliśmy do Mariińska, miejscowości położonej między Nowosybirskiem a Krasnojarskiem. Słowa „miejscowość” używam umownie — wtedy w Mariińsku nie było jeszcze nic, prócz wioseczki, okrajonej monotonna, bezkresną tajgą, pokrytą białym waciakiem śniegów. Gdzieniedzie tajgę przecinają bystre, energiczne rzeki, bogate w ryby i złoto. Wtedy, w kwietniu, rzeki były jeszcze pokryte lodem, ruszyły dopiero pod koniec maja.

Tajga nie wydała nam się straszna — widzieliśmy wszędzie potencjalne bogactwo, po które tylko sięgnąć — i nas, nieodwykłych jeszcze od myślenia kategoriami *w i e l k i e g o p l a n u*, perspektywy te pokrzepiały, podtrzymywały na duchu. Nie dokuczała nam też specjalnie zima syberyjska — mroźna, ale spokojna, bezwietrzna (później poznaliśmy bardziej przykre pory roku, wiosnę i jesień, dmące zabójczymi wiatrami, od których w ciągu jednego dnia czernieją twarze). Najbardziej wstrząsnęło nami nie miejsce, w którym znaleźliśmy się, ale liczba ludzi, których tam wyładowano z naszego pociągu oraz z innych nadchodzących transportów. Spotkaliśmy setki i tysiące więźniów politycznych z całego kraju, z rozmaitych miast; niektórzy pozostawali na miejscu, innych szybko przerzucano dalej; dzięki międzyobozowej cyrkulacji uświadomiliśmy sobie, że takich Mariińskówał różnego imienia jest na Syberii mnóstwo. Próbowaaliśmy prostych działań arytmetycznych — i dostawiliśmy zawrotu głowy...

Obóz w Mariińsku to były właściwie dwie instytucje: „*p i e r e s y l n y j p u n k t*” (etap, punkt rozdzielczy), na którym przebywało zwykle po kilka tysięcy osób i nieduży „*i s o b y j ł a g - p u n k t*” (obóz specjalny), w którym znalazł się nasz transport — dwieście pięćdziesiąt osób z wyrokami za KRTD i KRZD („kontrrewolucyjna działalność trockistowska” i „kontrrewolucyjna działalność zinowiewowska”). W naszym „lagpunkcie” wszystko było tak prymitywne, że

niemal idylliczne. Umieszczono nas w wielkiej oborze — zdążyliśmy jeszcze zobaczyć, jak wypędzano z niej poprzednich lokatorów — krowy. Obora nie miała podłogi, zastępował ją ubity śnieg, na którym ciasno ustawiono nasze prycze. Potem oborę otoczono drutami. Zaczęła się obozowa powszedność.

O szóstej rano budziły nas głucho uderzenia w żelazo: pobudka. O siódmej dowódca konwoju wygłaszał sakramentalną formułkę: „krok na prawo, krok na lewo — konwój strzela bez uprzedzenia” — i ruszaliśmy do roboty. O tej porze było jeszcze zimno: 25-30 stopni mrozu, koło południa ocieplało się, śnieg tajał. Wracaliśmy o siódmej wieczór, jedliśmy kolację i o dziesiątej — spać.

Byliśmy budowniczymi dużej gorzelni. Najpierw karczowaliśmy las i przekładaliśmy drogi, później zajęliśmy się wykopami pod fundamenty. Podzielono nas na 10 brygad, mniej-więcej, po 25 osób w każdej. Na samym początku wynikła kwestia wyboru brygadzysty. Już w pociągu były wokół tego pewne tarcia, wyłonili się różni kandydaci. Brygadzysta nie musi pracować, dostaje trochę więcej chleba, ma wreszcie możliwości pomagania s w o i m . W naszym zespole powstały grupy, ludzie z aparatu partyjnego forsowali jedną kandydaturę, działacze gospodarczy — inną, jeszcze inną leningradzycy. Atmosfera robiła się nieprzyjemna i dopiero kandydatura Jemielianowa pogodziła wszystkich. Wybraliśmy go jednogłośnie i nigdy nie żalowaliśmy tej decyzji: Mikołaj był obiektywny, sprawiedliwy, dbał o zaopatrzenie brygady i mimo, że z wieku i z urzędu mógł nie pracować, robił razem ze wszystkimi, ani dnia nie opuścił.

Drugą funkcję — tzw. „kulturnika”, opiekującego się listami, gazetami itp. — powierzono mnie. Z tego tytułu mnie i brygadziście przydzielono prycze obok siebie i mebel wręcz niezwykły — szafkę. Wszystko to sprzyjało naszemu coraz większemu zżyciu się i przyjaźni.

Kiedyś Jemielianow dał mi do przeczytania swój wiersz — naturalnie bardzo prymitywny — pt. „Tajemniczy szalas”. Opisywał w nim wydarzenie, które taką rolę odegrało w jego życiu i z którego tak był dumny: pobyt Lenina w Razliwie.

Innym razem obudził mnie w nocy:

— Iosif Michałycz, rosyjski proletariat jakoś się z tym pogodzi, ale co powie międzynarodowy proletariat?

— Zacząłem mamrotać, że wszystko się sprawdzi, nieporozumienie zostanie wyjaśnione i tak dalej — nie mogłem w tej chwili wymyślić nic ponadto, czym powszechnie pocieszali się w naszej sytuacji komuniści, zaciekłej broniący o g ó l n e j wiary, niż swojego poszczególnego zdruzgotanego życia.

Mikołaj zmrużył oczy w chytrym, chłopskim uśmiechu i nachylił się bliżej do mego ucha:

— Im to mówicie, Iosif Michałycz, ale wy i ja — m y przecież wiemy...

Wokół tych dwóch spraw w gruncie rzeczy koncentrowało się całe życie duchowe tego nieuczzonego robociarza, starego bolszewika: wokół wspomnienia z przeszłości, które napawało go tak wielką dumą — i wokół tego, co działo się teraz; nie łudził się, że może to być przypadkowe i oparte na czyjejś subiektywnej pomyłce, jednocześnie zaś nie potrafił odnaleźć jasnego sensu i p o t r z e b y tego, takiej potrzeby, którą mógłby sam zaakceptować i której zaakceptowania mógłby żądać od „międzynarodowego proletariatu”... Za próbami wyjaśnienia naszej sytuacji stały niesformułowane większe pytania, które dręczyły nienawykłego do abstrakcji Jemielianowa.

Po kilku miesiącach w obozie zjawiała się komisja z Moskwy. Komisja składała się z wysokich urzędników służby bezpieczeństwa, na czele stał „Towarzysz Bielenkij”, organizator i kierownik całego systemu obozów pracy, zresztą wówczas jeszcze nie tak rozbudowanego.

Znaliśmy członków komisji — byli to ludzie tego samego pokolenia, co my, a do niedawna również tego samego szczebla w hierarchii partyjnej. Rozmawiali z nami uprzejmie, ale na pytania, dlaczego tu siedzimy i co nas czeka, odpowiadali wymijająco. Jedyna obietnica, do której byli skorzy, dotyczyła lepszego odżywiania.

Wychodzili już z baraku, kiedy we drzwiach wyrosła, zagrażając im drogę, barczysta postać Jemielianowa. Wiedzieli, naturalnie, kto to jest, znali go nie od dzisiaj.

— Chcę powiedzieć parę słów.

— O co chodzi?

— Chcę odpowiedzi na jedno pytanie: dlaczego mnie posadzono.

Wzruszyli ramionami, coś tam wykrętnie zagadali między sobą, ale stary nie ustępował z drogi i powtarzał swoje pytanie. Wreszcie jeden z oficerów burknął:

— Sam wiesz, za co.

I wtedy usłyszałem głos Jemielianowa — przejmujący, pełen takiego bólu i rozpacz, jak nigdy przedtem ani potem:

— Nie, ja umrę i nie będę wiedział, za co mnie posadzono.

Trząśł się cały, kiedy to mówił. Członkowie Komisji wyszli, kilku więźniów z nimi, a on został w drzwiach, jak wkopany. Po kilku krokach Bielenkij powiedział:

— Widzicie tego starego, on nie wie, za co siedzi. Czyżbyście nie rozumieli, k t o o tym myślał, skoro ten znalazł się tutaj?

Tak zaakcentowane k t o mogło dotyczyć tylko jednego człowieka w tym kraju. Była to zresztą odpowiedź bardziej dla innych, niż dla Jemielianowa: on doskonale wiedział, że Stalin zdecydował o jego losie. Pytanie swoje stawiał bynajmniej nie po to, żeby potwierdzić tak oczywiste domysły.

Zarówno Bielenkij, jak członkowie komisji, która z nim przybyła, nie przetrwali późniejszych czystek aparatu. Tymczasem wszakże — nie wiem, czy za ich sprawą — reżym obozowy cokolwiek zelżał. Do niektórych z nas zaczęły docierać przesyłki z wolności. Jemielianow dostał kilka paczek od Krupskiej i od Marii Ulianowej. Dostał też listy. W jednym z nich Krupska pisała: „Nic więcej, Kola, nie możemy dla Ciebie zrobić...”.

W tym właśnie czasie Jemielianow zaczął chorować. Obozowe n a c z a l s t w o szanowało starego, który ukrywał wodza rewolucji — a listy od żony i siostry Lenina też przysparzały mu autorytetu zaproponowano więc Jemielianowowi lżejszą pracę albo w ogóle zwolnienie z pracy. On jednak stanowczo odmówił:

— Tyle lat jestem w partii i przyzwyczałem się, że co robią moi towarzysze, to i ja. Moi towarzysze karczują las i przekładają drogi, to i ja nie mogę robić nic innego...

Zdaje się, że tak upartego bolszewika jeszcze w tym obozie nie widziano.

Jesienią rozdzielono nas. Ruszyłem w wędrowkę po innych obozach — ale to już osobna historia. Jemielianowa straciłem z oczu. Nie wiem dokładnie, kiedy go zwolniono i zrehabilitowano, w każdym razie wcześniej niż nas, którzy zawdzięczamy to dopiero XX Zjazdowi. W 1954 roku, przebywając na zesłaniu, dowiedziałem się z gazet, że Jemielianowa odznaczono Orderem Lenina. Napisałem do niego i otrzymałem odpowiedź od syna, Aleksandra, że ojciec jest chory, ale pamięta mnie i cieszyłby się, gdybym przyjechał. Spośród synów Mikołaja Jemielianowa Aleksander jest jedynym, który ocalał — pozostali padli ofiarą terronu stalinowskiego.

Bardzo chciałem starego zobaczyć, ale wówczas jeszcze nie mogłem przyjechać, a kiedy w pięćdziesiątym szóstym roku znalazłem się w Moskwie, czas miałem tak wypełniony, tyle spraw i spotkań, że zanim wybrałem się do Leningradu, już czekał mnie powrót do Warszawy, którego odwlekać nie mogłem przecież i nie chciałem...

Józef BERGER

Rozmyślenia w karczerze

Po nieudanym samobójstwie, udaremnionym przez mojego podejrzanego towarzysza celi, nastał — zdawałoby się — zwykły dzień więzienny, rozpoczynający się od wczesnej pobudki, wizyty w kucanym wychodku i wrzątku na śniadanie. Przychodziłem powoli do siebie po nocnym, burzliwym przesłuchaniu, prowadzonym osobiście przez szefa oddziału uzbeckiego kontrwywiadu w otoczeniu kilku młodych urzędników śledczych w mundurach oficerów NKWD czy NKGB, i po mojej gwałtownej reakcji, która nastąpiła o brzasku dnia po powrocie do celi. Czułem jeszcze ucisk na szyi.

Tego dnia była niedziela, która niczym nie różni się od innych dni więziennych, ale jednak przypomina nastrój świąteczny. Było to wewnętrzne więzienie NKWD. Siedzieli w nim wyłącznie aresztowani do śledztwa i do dyspozycji urzędników śledczych. Mieściło się w suterrenach gmachu NKWD, położonego w centrum Taszkientu, zwanego w literaturze „miastem chleba”. Każde NKWD, centralne i prowincjonalne, ma swoje wewnętrzne więzienie. Wszędzie trwa ta symbioza „śledczych” i więźniów, pozornie cicha i spokojna, w istocie pełna tragedii, łez i cierpień. „Śledczy” urzędują na górnych piętrach w obszernych biurach z nieodzownym portretem Stalina, więźniowie gnieźdzą się w piwnicznych celkach, pojedynczych lub kilkusobowych. W wewnętrznych więzieniach panuje ład i porządek, w przeciwieństwie do ogólnych więzień, gdzie warunki są potworne. I tu i tam wyżywienie i wszy były jednakowe, ale w wewnętrznym cele nie były przepełnione i każdy miał swój tapczan, koc i poduszkę. Natomiast w ogólnych więzieniach nie było męczących przesłuchań, gdyż są one przeznaczone właśnie na wyczekiwanie śledztwa albo po zakończonym śledztwie — wyroku. Masowe cele w ogólnych więzieniach hu-

czały życiem, wrzaskami, rozmowami, krzykami, a nawet śpiewem. W celach wewnętrznego więzienia musiała panować bezwzględna cisza, wolno było rozmawiać tylko szeptem. Był to grób na zewnątrz z którego od czasu do czasu wyprowadzano kościotrupa i wrzucano go do „czarnego kruka”, by odstawić na śledztwo. Urzędnicy, pracujący na piętrach, rozmawiali głośno, dochodziły stamtąd często śmiechy i pojedyncze słowa. Wtedy wkraczał Wieliczko, szef straży i ostrzegał donośnym głosem z podwórza, że więźniowie podsłuchują. W niedzielę urzędnicy nie pracowali, wyższe piętra były nieme, panowała ogólna cisza, a więc nastrój był, mimo wszystko, świąteczny. Szyja bolała mnie ciągle.

Około południa otworzyło się okienko judasza i zapytano, czy jest ktoś, którego nazwisko zaczyna się od mojego inicjału. Była to formalność, wynikająca z regulaminu izolacyjnego. W celi było tylko nas dwóch i to od szeregu tygodni. Dozorcy znali nas doskonale. Ściągnąłem się z pryczy, wsunąłem stopy w pantofle, pozbawione sznurowadeł i po chwili byłem gotów do wyjścia. O tym czasie wkradał się do celi poprzez szpary drewnianego pudła, zawieszzonego od zewnątrz na ciężkiej kracie, promyczek słońca, neutralizując światło wiecznie palącej się żarówki i naświetlając w linii skośnej drobinki kurzu. Powracający promień słońca i owe drobinki dodawały otuchy, wprowadzały element jasności i ruchu do ponurego, ustabilizowanego życia więziennego i podsycaly nadzieję.

Rozpatrując bowiem na zimno, sytuacja moja nie była przyjemna. Wisiało nade mną oskarżenie o szpiegostwo. Działo się to w czasie wojny. Byłem w rękach NKWD. Jediną okolicznością, powiedzmy, nie łagodzącą, ale groteskową, która mnie samego przyprowadziła o wesołość, było to, że miałem być szpiegiem angielskim, na usługach Intelligence Service i miałem podsycać ruchy separatystyczne wśród Uzbeków na korzyść Anglików.

Drzwi celi otworzyły się szybko i po chwili znalazłem się na podwórzu wobec warczącego motoru „czarnego kruka”. Wpakowano mnie do szafki, w której było miejsce tylko na jednego skurczonego kościotrupa. Podróż trwała na szczęście krótko. Maszyna przejechała bramę, przetoczyła się jakieś 200 metrów ulicą i skręciła na podwórze tego samego gmachu, ale od innej strony. Znałem tę drogę na pamięć. Regulamin izolacyjny wymagał, bym nie zobaczył nikogo, ani nikt mnie, z wyjątkiem osób upoważnionych. Gdyby przeprowadzano więźniów publicznie, byłoby to zjawisko tak częste, że prawdopodobnie poddani sowieccy zaczęliby poważnie wątpić, czy w Związku Sowieckim narody popierają jednomyślnie obecny rząd. Dlatego też „czarny kruk”

nosi często napis „piekarnia”, „teże” (nazwa trustu perfumeryjnego) itp.

W korytarzu drugiego piętra odwrócono mnie kilkakrotnie do ściany; znak, że prowadzono równocześnie kogoś, prawdopodobnie innego więźnia, z którym nie wolno mi było spotkać się twarzą w twarz. Znowu wynik izolacji i systemu, opracowanego do najdrobniejszych szczegółów, posługującego się wszystkimi środkami, od najprymitywniejszych (przytykanie i psykanie) aż do najnowocześniejszych wynalazków technicznych (sygnalizacja świetlna i dźwiękowa), działającego w całym Związku z precyzją i fotograficznym podobieństwem.

Znajoma mi gromadka już czekała w gabinecie szefa. Wszak rozstaliśmy się dopiero kilka godzin temu. Szef był typem grzeczlika w średnim wieku, o twarzy inteligentnej i oczach bystrych, pokrytych szkłami. Błada, pomarszczona twarz nie robiła złego wrażenia. Z czasów wolności wiedziałem, że jako Rosjanin zajmował decydujące stanowisko w sferach rządu republikańskiego. Pomocnicy jego, oficerowie śledczy, należeli do rzędu młodzików i gołowawsów, prześcigających się w gorliwości.

Atak rozpoczął się natychmiast. Wśród powodzi ordynarnych obelg i wyzwisk, które powtórzyć tutaj trudno, zrozumiałem, że kwestionują osobiste moje prawo do rozporządzania własnym życiem i kwalifikują moją gwałtowną reakcję jako tchórzostwo. Trzeba było wysilić się na spokój i wytłumaczyć gromadce, że nikt nie może odebrać mi tego prawa, że ich kwalifikacja jest mi obojętna, że wreszcie motywem usiłowania mego, była obawa, iż pod wpływem gwałtów, którymi grożono mi w nocy w tym samym pokoju, załamię się i zacznę zmyślać i obwiniać siebie i ludzi niewinnych. Udawali, że nie rozumieją moich wyjaśnień, ale gromadka przestała krzyczeć i miotać obelgi. Faktycznie byli szczęśliwi, że skończyło się tylko na usiłowaniu. Inaczej groziły przykrości za brak nadzoru, specjalne dochodzenia itd. Szef ogłosił decyzję: **d o b a k a r c e r u**. Spojrzałem na zegar i przez okno. Było południe, kwitły powtórnie stare akacje.

Jak się okazało następnego dnia, nie był to właściwy karczer. Przypuszczam, że w sowieckich więzieniach istnieje cała gama karczerów. Zamknięto mnie w celi ciemnej, pozbawionej okna, ale zaopatrzonej w drewnianą podłogę, położonej w budynku przyjąć, obok cel przejściowych. Ogólne wyczerpanie, spowodowane „rozmowami” i reakcjami wystąpiło w całej pełni. Byłem niezdolny do żadnego ruchu, nie mogłem nawet sięgnąć po zupe, którą mi podrzucono. Zresztą nie odczuwałem głodu, mimo że od 24 godzin nie miałem w ustach ciepłej stawy. W misce pły-

wały pasma białego makaronu. Rzadkie zjawisko w więziennym menu. Byłem rozbity fizycznie i psychicznie.

Wbrew pojęciom chrześcijańskim, które szanowałem zawsze jako poważną ideologię strony przeciwnej i wbrew zasadom komunizmu, który wynikał z tych samych podstaw, co wyznaczana przeze mnie idea, byłem przekonany, że każdy człowiek ma prawo do swego życia i że nie leży ono w ręku Boga, ani też nie jest własnością społeczną. Bolał mnie zarzut tchórzostwa. Widziałem w mojej reakcji rezygnację z rzeczy wielkiej, ale nie tchórzostwo. Prawda, obawiałem się tortur, którymi mi grożono, ale nie jako cierpienia fizycznych, tylko jako środka gwałtu, zdolnego skłonić mnie do niemoralnych czynów. Czy nie miałem prawa skończyć ze sobą? Czy to było tchórzostwo? Czy nie zachodziły okoliczności wyjątkowe, które usprawiedliwiały mnie wobec każdej religii i wobec moich ideowych towarzyszy? Komu byłem w tym momencie potrzebny, jeśli co, to mogłem tylko zaszkodzić sobie i innym. Względ na rodzinę? Była wojna, stosunki rodzinne uległy rozluźnieniu, domyślałem się, że żona wyjechała z wojskiem, zostałem właściwie sam. Jeżeli zmuszą mnie torturami do samooskarżenia, to dostanę kulę lub nigdy nie wyjdę z więzienia. W tym przypadku rodzina nie zobaczy mnie nigdy. Jeśli, co gorsza, oskarżę fałszywie innych, to nawet, gdy uzyskam wolność, nie będę miał śmiałości spojrzeć w oczy rodzinie i ludziom. Sytuacja dyktowała tylko jedno wyjście, które wybrałem bezskutecznie.

Byłem wściekły na mojego towarzysza z celi za udaremnienie. Gdyby udało się, byłoby już po wszystkim. I on też miał pretensje do mnie, że w takim razie narażony byłby na przykrości. Być może. Wynikało z tego, że wszyscy mieliby przykrości, tylko nie autor. Obecnie sytuacja zmieniła się, wszyscy są zadowoleni, że żyją (nie wiedziałem, że jestem taki potrzebny) a nieprzyjemności ma autor, mimo, że żaden kodeks nie przewiduje kary za podobny czyn. Same paradoksy.

Przebiegałem w myśli tok dzisiejszej „konferencji” w gabinecie szefa. Ogarnął mnie wstyd, że musiałem tłumaczyć się wobec tego towarzystwa z osobistych tajemnic i że moje pobudki i motywy będą przedmiotem ich analizy. Może źle zrobiłem, że ujawniłem prawdę moich myśli? Mogłem nie odpowiedzieć, ale właściwie nie miałem po co skrywać. Niechaj wiedzą, do czego mogą doprowadzić człowieka swoimi metodami.

Wiem, że metody mają wypróbowane. Ale teraz było mi to obojętne. Po mojej nocnej decyzji zaczynałem lekceważyć wszystkie środki gwałtu i metody terroru. Skoro zdobyłem się na to, to nic więcej mnie nie czeka, nic gorszego spotkać mnie nie może,

jeśli przyjmie się, że fakt ten stanowi zło dla człowieka, co nie jest zupełnie pewne, szczególnie w wyjątkowych okolicznościach, w których właśnie znajdowałem się. Doszedłem do wniosku, że wynik jest raczej korzystny dla mnie. Mogą mnie męczyć i torturować, ale niczego nie wydobędą ze mnie. Mogą znęcać się nade mną aż do śmierci, która była mi tak bliska i pożądana tej nocy. Zacząłem przyzwyczajając się w myślach do tortur.

Urzednicy śledczy zaznajomili mnie z celową szczerością z warunkami śledztwa. Opowiadali, uczyli mnie, co to jest sowieckie śledztwo, na ile dzieli się stopni i jakie są one. Byłem ciągle na pierwszym stopniu, tzn. w okresie perswazji, połączonych z obelgami i karcerem. Następny stopień to permanentne 5-cio dniowe śledztwo, ostatni — to perswazje fizyczne. Nic nie wiedziałem jeszcze o drugim stopniu, z którym miałem zapoznać się dokładnie w przyszłości. Domyślałem się, co oznacza trzeci stopień.

Zacząłem moralnie przygotowywać się do fizycznych ciosów. W podnieceniu wyobrażałem sobie, że leżę wyciągnięty na stole, ze związanymi rękoma i nogami i że spadają na mnie razy, które powodują dotkliwy ból, że ciało pręży się i kurczy, że sinieją pręgi i występują krople krwi.

Oswajałem się z tą myślą i z tym wyimaginowanym obrazem i wmawiałem w siebie, że muszę zachować dotychczasową linię obrony.

Późno w nocy, rozciągnięty na podłodze, zapadłem w sen i obudziłem się dopiero dobrze około południa. Właśnie kończył się pierwszy z jedenastu kolejnych dni mojego karceru, które stanowiły zakończenie mojego wykształcenia na pierwszym stopniu śledztwa.

W południe wróciłem do „mojej” starej celi i przywitałem się przede wszystkim z martwymi przedmiotami, potem z moim towarzyszem, Z apetytem zjadłem supę, w której pływał jeden czerwonawy burak. Był to rzadki okaz, gdyż zwyczajnie karmiono nas burakami pastewnymi. Niedługo trwał pobyt na „własnych śmieciach”. Po obiedzie ukazała się znajoma twarz w okienku judasza i znowu po dokonaniu regulaminowych formalności znalazłem się w pokoju „mojego” oficera śledczego.

Był to już trzeci urzędnik, który prowadził moje śledztwo. Dwaj jego poprzednicy ustąpili, wzgl. zostali zwolnieni z tego obowiązku z powodu braku rezultatów. Byli to Rosjanie i zachowywali się mniej więcej kulturalnie. Obecny był Żydem rosyjskim o pospolitym, kapłańskim nazwisku. Był zdolny; pozował na bezwzględność „śledczego”; zmiarkowałem od razu, że cieszy się dobrą opinią u zwierzchników i że koledzy zasięgają

jego rad w swoich sprawach. Zachowywał się w toku śledztwa brutalnie, ordynarnie i wyzywająco. Ale miał i chwile słabości, które ujawniły się w okresie późniejszym, w czasie permanentnego śledztwa. Był przystojny, wysoki, o regularnych rysach twarzy, nosił dobrze skrojony mundur, na piersi błyszcząca odznaka leningradzkiego klubu motocyklistów.

Rozpoczęło się śledztwo a właściwie badanie. Stereotypowe i nudne, jak flaki z olejem. Wśród obelg i wyzwisk powtarzał w kółko twierdzenie, że jestem szpiegiem, szpionem czy śpikiem, a kiedy w kółko zaprzeczałem, odpowiadając mniej więcej raz na trzy twierdzenia, żądał ode mnie dowodów mojej niewinności. Wtedy wywiązywała się krótka dyskusja już nie prawnicza a raczej scholastyczna. Opierając się na moich skromnych wiadomościach z dziedziny prawa broniłem się, że jest niemożliwe dostarczenie dowodu na okoliczność negatywną i że oskarżenie musi udowodnić mi, że zajmowałem się szpiegostwem. Mój „śledczy” odpowiadał wtedy z niebywałą pewnością siebie, że sowiecka procedura karna nakłada na podejrzanego obowiązek udowodnienia niewinności. Był to jaskrawy nonsens, z którym nie miałem zamiaru walczyć. Reagowałem milczeniem. Ten przebieg powtarzał się wielokrotnie, ale tego dnia tzn. w poniedziałek, zakończenie było nieoczekiwane. Ogarnięty robionym czy naturalnym zdenerwowaniem „śledczy” zawiadomił mnie, że za odmowę przyznania się zostaną zamknięty w karcerze na przeciąg pięciu dni.

Odprowadzono mnie do nowego karceru. Wsiadając i wysiadając z „czarnego kruka” wystawiłem na mgnienie oka twarz do łagodnego, jesiennego słońca, spojrzałem na niezmiennie lazurowe niebo i zaczępiłem wzrokiem o wystające ponad mury wierzchołki drzew. Nie zdawałem sobie jeszcze sprawy z tego, co mnie czeka i korzystałem z chwili, by nawiązać krótką łączność z naturą, która napraszała się o życzliwe uznanie w porównaniu z obrzydliwym gatunkiem ludzkim.

Przed wprowadzeniem do karceru zdjęto ze mnie marynarkę. Pozostawiono mi spodnie, które odbiera się tylko przed drzwiami celi śmierci.

Cela była mikroskopijna: dwa kroki wzdłuż, jeden krok wszcz, wysoka, bez okna, stale oświetlona żarówką, bez najmniejszego mebelka, nawet bez wiadra dla załatwiania naturalnych potrzeb, podłoga betonowa.

Powiada stare, wschodnie przysłowie, że jeśli zajedziesz do jakiegoś miejsca na dzień, to urządzaj się tak, jakbyś miał tam zostać przez rok. Nie miałem, co prawda, zamiaru siedzieć przez rok w karcerze, ale doświadczenie (poprzednio już siedziałem

przez blisko dwa lata w sowieckich więzieniach i obozach) nakazywało mi zacząć życie w nowej celi od urządzania się. Więc dokładnie obejrzałem ściany, zajrzałem do czterech kątów, zbadałem szpary w drzwiach i tam, o dziwo, znalazłem małą agrafkę, wpiętą zgrabnie w drzewo. Ucieszyłem się, jakbym rzeczywiście znalazł żywą przyjaciółkę i szybko wsunąłem ją do skarpetki. Użyć jej nie miałem potrzeby i nie mogłem, gdyż jako przedmiot niebezpieczny uległaby natychmiast konfiskacie, ale byłem uradowany znalezieniem jej i nieraz potem bawiłem się nią po kryjomu, jak dziecko, które cieszy się każdym drobiazgiem.

Następnie trzeba było rozłożyć sobie dzień, by wypełnić czas w jakikolwiek sposób. Dzień jest długi, bardzo długi w więzieniu, jeszcze dłuższy w karcerze. Wydawało mi się, że jeden dzień w normalnej celi równa się 3 dniom na wolności; przekonałem się, że dzień w karcerze równa się 3 dniom pobytu w „moim” stałym więziennym mieszkaniu. Tam dzień dzielił się na pobudkę, wrzątek, wychodek, chleb, oczekiwanie obiadu, promień słońca, zupę, odpoczynek poobiedni, czasami 10-cio minutowy spacer po podwórzu, wyczekiwanie kolacji, spacer po celi, zupę, wychodek i pobudkę do snu. W karcerze nie było wrzątku, słońca, obiadu, spaceru, przechadzki, kolacji. Dzień był przeraźliwie długi, męcząco monotony, przerywany 300 gr. chleba, zimną wodą, ciepłą zupą raz na 5 dni i rzadkim z tego powodu wychodzeniem do wychodka. W celi normalnej nie wolno było spać za dnia. Karcer groził za przekroczenie tego przepisu. W karcerze można było spać okrągłą dobę, gdyż inna kara nie istniała. Tylko trzeba było zdecydować się na położenie się na zimnym betonie, co nie było przyjemne. Jedyne na noc wrzucano do celi deskę z dykty, która służyła za poślanie. Ponieważ jednak spacer po celi był niemożliwością a stanie, choćby w oparciu o ścianę, zbyt męczące, więc nie pozostawało nic innego, jak rozmyślać w pozycji leżącej, podłożywszy pod głowę buciki, przykryte chusteczką do nosa, jako poduszkę i wmawiając sobie, że odczuwam ciepło betonu, ogrzewanego własnym ciałem.

Pierwsze rozmyślanie poświęciłem mojej sytuacji. Uległa ona pogorszeniu, choć nigdy nie była dobra. Nie byłem szpiegiem, ale dostałem się do więzienia. Nie przyznałem się, bo nie było do czego, ale zamknięto mnie w karcerze. Bezpodstawnie pozbawiono mnie wolności i nałożono jeszcze dodatkową karę. Co to znaczy wolność, to zrozumiałem dopiero w więzieniu. To samo odnosi się do pojęcia ojczyzna, narodowość, sprawiedliwość i krzywda. W normalnym życiu używamy często tych pojęć, nie zastanawiając się nad ich treścią, rozmienniamy je na drobne, dewaluujemy, degradując je do roli pustego frazesu. W Związku

Sowieckim i w więzieniu, co zresztą wychodzi na jedno, mieliśmy sposobność zastanowić się bliżej nad tymi definicjami, przecierpieć i przemyśleć je do końca i dojść do wniosku, że w Sowietach „krzywdą” jest „krzywdą”, ale treść słów „ojczyzna”, „narodowość” i „sprawiedliwość” jest zupełnie odmienna od naszych pojęć, podlega zmiennym wpływom politycznym i ulega interpretacji dla nas zawsze niekorzystnej.

A może jednak byłem szpiegiem?

Pracowałem na terenie Związku Sowieckiego w obcej instytucji, należącej do państwa, chwilowo zaprzyjaźnionego. Nie zbierałem materiału strategicznego, wojskowego, politycznego ani ekonomicznego. A więc nie byłem szpiegiem w sensie europejskiego ustawodawstwa karnego. Moi towarzysze celi, tj. pierwszy, którego potem zabrano i obecny „podejrzany” postawili mi po kilku dniach wspólnego pobytu te same pytania, maskując się zyczliwością, a to, czy znam przypadkiem numery pułków, czy też fabryk przemysłu wojennego, położonych w tym okręgu. Zorientowałem się natychmiast, że byli to ludzie podstawieni niezręcznie przez NKWD. Stwierdziłem więcej takich niezręczności w toku śledztwa, pomagających oskarżonemu. NKWD nie jest doskonałe. Siedzą tam przeciętni ludzie i popełniają gaffy i błędy, jak zawsze i wszędzie, są porywczy, nieopanowani, nie zawsze umieją utrzymać język za zębami, przechwalają się, zdradzają obawy lub wątpliwości itp. To wszystko wychodzi na korzyść więźnia, który ma wyostrzony słuch i przesubtelniejszą orientację.

Nie byłem zatem szpiegiem w sensie europejskim. Ale jednak przyglądałem się otoczeniu i nie chodziłem po Związku z opaską na oczach, jak parlamentarzysta. Pilnie obserwowałem wszystko, rejestrowałem ogrom krzywdy naszych rodaków, nędzę i niezadowolenie sowieckich poddanych, barbarzyństwo i pracę niewolniczą w obozach „poprawczych”, działalność NKWD od zewnątrz i od wewnątrz, funkcjonowanie fabryk, warunki w kołchozach, organizację handlu, pracę transportu, życie rodzinne, towarzyskie, społeczne i religijne, rolę partii i biurokracji i wreszcie poziom kultury, pracy i opieki społecznej. A więc szpiegowałem, gdyż rozwijałem akcję, która jest niedostępna zagranicznemu dyplomacie czy dziennikarzowi w Moskwie. NKWD mogło rozmaić interpretować pojęcie szpiegostwa. NKWD prowadziło śledztwo i sądziło. Byłaby to interpretacja rozszerzająca, ale w Związku Sowieckim jest wszystko możliwe i dopuszczalne, jeśli służy interesowi społecznemu. A co służy interesowi społecznemu? O tym znowu decyduje NKWD.

W trzecim dniu karceru doszedłem do wniosku, że nic mnie

nie obchodzą sowieckie interpretacje i łamańce kodeksowe i dialektyczne, że w moim pojęciu, opartym na wychowaniu i kulturze łańcińskiej, nie byłem szpiegiem, że mam prawo i obowiązek bronić się do upadłego i że muszę pokonać wszelkie wątpliwości, które jedynie osłabiają moją pozycję.

Poznałem wtedy dokładnie na moim przykładzie, co znaczy sowiecka sprawiedliwość, a więc oddanie aresztowanego na łaskę i niełaskę „śledczego” bez prawa komunikowania się ze światem zewnętrznym, a w szczególności z obrońcą. Jakaś „trójka” postanowiła aresztować mnie jako szpiega w imię interesu społecznego czy też wynikającego z polityki międzynarodowej. Jakiś „śledczy” potraktował moją odmowę przyznania się jako sabotaż i wsadził mnie do karceru.

Jeszcze raz przeżuwałem materiał, który zdobyłem, „szpiegując” sowieckie otoczenie i rzeczywistość, sowieckie osiągnięcia i klęski. Pamięć działa w więzieniu znacznie sprawniej, niż na wolności. Obrazy występują jasno, przesuwają się szybko, jak na taśmie filmowej, zmysł orientacyjny i krytyczny wyszukuje precyzyjne szczegóły, prostuje błędne oceny i dyktuje odpowiednie reakcje. Jest to swojego rodzaju *esprit d'escalier*.

To przetrwanie masy wiadomości i doświadczeń, nabytych w ostatnim czasie i powszedni widok poniżonej jednostki szamocącej się bezradnie w sieci wszechładnego aparatu partyjno-policyjnego było podstawą wyleczenia się ze wszelkich sympatii prosowieckich. Innymi słowy nędza mas sowieckich, ich beznadziejne niezadowolenie, brak sprawiedliwości, a raczej powszechna niesprawiedliwość, nieliczenie się z człowiekiem, wszechwładza NKWD — oto były elementy, które przewyciężyły moje sympatie, powstałe w okresie wielkiego kryzysu na zachodzie i planowego budownictwa w Związku. Cóż przyjdzie z wielkiego przemysłu, z rozwiniętego górnictwa, z 60 tonowych wagonów towarowych, automatycznie spinanych, z elektrycznej sygnalizacji, z tępienia analfabetyzmu, z milionowej, szablonowej prasy, ze wspaniałego metro, nawet z pięknego teatru i baletu, jeśli na placu pozostaje człowiek obdarty, wynędzniały, smutny, nie umiejący się śmiać, odważnie myśleć, z zakneblowanymi ustami, zadyszany i zagoniony, by nie spóźnić się do pracy lub dostać chleb w magazynie, *glebae adscriptus*, (w sensie zakazu zmiany miejsca pracy i wyjazdu zagranicę), marzący o własnym pokoju, o nikiłowanym łóżku i o lustrzanej szafie. Obietnice wspaniałej przyszłości są jednoznaczne z przyrzeczeniem zbawienia po śmierci i obfitości w raj.

Czy jednak należało wspólnie walczyć ze Związkiem Sowieckim wobec hitlerowskiego niebezpieczeństwa? To pytanie

nurtowało mnie, nie dawało spokoju i domagało się odpowiedzi.

W tym czasie Niemcy podchodzili pod Stalingrad i zbliżali się do Kaukazu. Podczas martwych chwil przesłuchiwań obserwowałem zatroskane miny moich „śledczych”, pochylonych nad biurkami wojennymi i analizujących mapy, zawieszona w każdym pokoju. Widać było, że nastroje są pesymistyczne.

Do Związku Sowieckiego miałem pretensje natury ogólnej i osobistej. Pakt z Hitlerem, podstępne uderzenie z 17 września 1939 r., rozbiór Polski, idąca w ślad za tym obłudna kampania prasy sowieckiej, przedstawiająca wojnę, jako imperialistyczne przedsięwzięcie Anglii i Francji, napad na Finlandię, masowe aresztowania i deportacje z zajętych ziem — to wszystko stworzyło atmosferę wrogości i głębokiej nieufności do Związku Sowieckiego. Mój osobisty stosunek był również negatywny z przyczyn zrozumiałych. Ale Niemcy byli gorsi, gdyż ich zwycięstwo groziło biologicznym wyniszczeniem. Prawdopodobieństwo uratowania się z żelaznego uścisku Gestapo było znacznie mniejsze, aniżeli wyzwolenia się z objęć NKWD. Tłumaczyłem sobie, że trzeba zapomnieć o krzywdach osobistych i zająć stanowisko realistyczne w imię dobra ogólnego. Nie można prowadzić walki równocześnie przeciwko dwóm potęgom. Historia roku 1918 prawdopodobnie nie powtórzy się, o ile chodzi o równoczesność klęski. Trzeba zatem walczyć ze Związkiem Sowieckim przeciw Niemcom. I naturalnie z Anglią i z Ameryką. Ale dlaczego siedzieć? Za rzekome szpiegostwo na rzecz sojusznika, który właśnie w tych krytycznych dla siebie czasach planował oderwanie Uzbekistanu! Paradoksalna sytuacja, pełna konfliktów osobistych i ogólnych. Sprzeczności, wynikające z przesadnej podejrzliwości i z pogardy dla człowieka. A przecież Lenin orzekł, że człowiek jest największym kapitałem.

A gdyby tak Niemcy zajęli Uzbekistan, czy moja osobista sytuacja byłaby lepsza? Czy należy życzyć sobie tego? Czy jednak nie należy ulec interesowi osobistemu? Powstały nowe wątpliwości. Zajęcie tego terytorium zbliżyłoby Niemców do ogólnego zwycięstwa. NKWD uciekając wywoźłoby więźniów politycznych. A gdyby ich nawet pozostawiło, to na pewno zajęłoby się nimi Gestapo. Te wszystkie ewentualności i możliwości nie były ponętne. Myślowy wybór partnerki do makabrycznego tańca dał pierwszeństwo NKWD.

Straciłem rachubę czasu. Nie mogłem przypomnieć sobie, ile dni siedzę w karcerze. Starałem się policzyć, ile razy spałem na dykcie. Nie byłem pewny, czy obliczenie moje jest ścisłe. Byłem głodny i z utęsknieniem wyczekiwałem na zupę. Małą

porcyjkę chleba polykałem natychmiast. Jaskrawe światło żarówki, znacznie silniejszej, niż w normalnej celi, męczyło oczy. Zdołałem zorientować się w topografii karceru. Celki w ilości 6-ciu położone były w prawym skrzydle piwnicy. Moja była ostatnia w kącie. Po prawej stronie miałem sąsiada Rosjanina, który nawiązał kontakt z normalną celą, położoną po przeciwnej stronie korytarza. Skarżył się cicho, że go bardzo zbili podczas przesłuchania. Dochodziły mnie często z jego celi głębokie westchnięcia i łkanie. Przechodząc do wychodka zauważyłem na drzwiach jednego z karcerów europejską marynarkę. Zdawało mi się, że przypominam sobie, do kogo należy.

Wreszcie nadeszła upragniona chwila i dostałem w pognicionej, blaszanej misce porcję zupy wraz z drewnianą łyżką, malowaną w egzotyczne wzorki. Byłem przekonany, że minęło pięć dni i że skończyła się moja kara. Pochłonałem zupę i czekałem na przeniesienie do „mojej” celi. Tak wyczekiwałem pełną dobę, pół we śnie, pół na jawie. Okazało się potem, że pomyliłem się w liczeniu i że z niewiadomych mi przyczyn otrzymałem zupę po czterech dniach. Następnego dnia przed obiadem wróciłem do „mojej” celi, ale tylko na chwilę, gdyż natychmiast wywołano mnie i odprowadzono przy zachowaniu znanych już, regulaminowych formalności do „śledczego” na przesłuchanie.

Trwało ono wyjątkowo krótko. Pytanie było jedno: czy postanowiłem przyznać się? Zaprzeczyłem. „Śledczy” zapalił papierosa, podrażnił mnie dymem tytoniu, z którym pożegnałem się równocześnie z aresztowaniem i ogłosił decyzję, skazującą mnie na dalsze 5 dni karceru. Odprowadzono mnie do mojej celki w piwnicy bez obiadu tzn. bez zupy. Wróciłem do karceru, jak stały bywalec wraca do swojej kawiarni. Usiadłem na betonie w kucki, jak Uzbeki w herbaciarni i zacząłem głośno, nerwowo śmiać się z sowieckiej sprawiedliwości. Był to chyba pierwszy śmiech w tym karcerze. Sąsiedzi moi zapewne pomyśleli, że zwariowałem.

W odrętwieniu spędziłem następne, niepoliczone godziny, a może nawet i dni. Powoli wracała świadomość, ale nie wróciła równowaga i spokój. Byłem podniecony i w jaśniejszych momentach zdawałem sobie sprawę z naiwności moich myśli i z płytkości moich wspomnień. Wyczerpałem się.

Nigdy nie byłem muzykalny i nie miałem wyrobionego słuchu. Na wolności pamiętałem kilka, może kilkanaście melodii, które potrafiłem zanucić, nigdy zaśpiewać. Naraz zaczęły się cisnąć mi do głowy najrozmaitsze pieśni, arie, melodyjne partie uwertur, sonat, mazurków i barcaroli. Przypomniały mi się dźwięki, które słyszałem dawno, b. dawno, kiedy za lat mojego dzieciństwa śpiewał je ojciec mój przy akompaniamencie matki. Całymi godzi-

nami śpiewałem je półgłosem, powracając ciągle od „Ave Maria” Schumanna i do pieśni miłosnej Waltera von der Vogelweide ze „Śpiewaków z Norymbergi” Wagnera.

„Ave Maria” przyniosła mi ukojenie, łączyła mnie w abstrakcji z jakimiś wyższymi, niepojętymi sferami i ideami, jednym słowem, odrywała na długie chwile od rzeczywistości.

Potem przyszła kolej na wspomnienia z lat dziecińczych. Kolejno przesunął się w myśli i to z całą wyrazistością i ze wszystkimi szczegółami, pokój dziecienny z przykopconym portretem Daszyńskiego, łóżko z siatką, nad którym wisiał obrazek, przedstawiający kanarka w klatce, konik na biegunach, pierwszy błyszczący, miedziany cent, pistolet na kapsle, marynarskie ubranie, otrzymane w prezencie od babki, moja opiekunka Julia i wreszcie pamiętna noc w Zakopanym z 31 lipca na 1 sierpnia 1914, kiedy przyszła wiadomość o mobilizacji. Pierwsza wojna, druga wojna, ile jeszcze wojen będzie, by rozwiązać wszystkie problemy, dzielące narody?

Jak i kiedy zakończy się obecna wojna i tym samym nasze cierpienia? Krążyły po głowie najrozmaitsze przypuszczenia i wnioski. Klęska Hitlera była dla mnie bezsporna. Aryman zwyciężyć nie może, choć i Ormuzd wykazuje ciemne plamy. Wydawało mi się, że wojna nie skończy się normalnie, na placu boju. Przeczuwałem wielki wysiłek nauki dla udoskonalenia środków masowego mordu. W podnieconej fantazji zrodził się inny obraz zakończenia wojny. Uczni państw sprzymierzonych wynajdą promienie śmierci, wysyłane wprost z laboratoriów. Pewnego dnia alianckie radio zawiadomi o tym Niemców, podając że dla przykładu zostanie zniesiony o oznaczonej godzinie dokładnie określony odcinek frontu. Niemcy przekonawszy się o istnieniu i skuteczności nowej broni — skapitulują.

W pewnej chwili inny pomysł wpadł do rozgorączkowanej głowy. Przyjmując, że zginą w więzieniu albo nigdy nie „ujrzą” wolności, to chociaż w czasie wojny jeden szary człowiek nie ma znaczenia, ale w przyszłości świat powinien dowiedzieć się, jaki był stosunek Związku Sowieckiego do aliantów i jak wygląda sowiecka sprawiedliwość. Jak wobec tego przekazać mój *casus* potomności i światu? Nie mając co ukrywać, postanowiłem opowiedzieć w krótkich słowach moją sprawę dwom więźniom, siedzącym w zwykłej celi, naprzeciw mojego karceru. Drzwi były drewniane, pełne szpar, korytarz zaś dzielący nas bardzo wąski, dozorca natomiast rzadko dochodził do naszego końca. Proste „słuchajcie” zwróciło ich uwagę w moją stronę, po czym podałem im nazwisko, charakter bezpodstawnie zarzucanego mi przestępstwa i prosiłem w końcu o powiadomienie kogokolwiek z

moich rodaków, jeśli powiernicy moi znajdą się kiedyś na wolności.

Wysłuchali w milczeniu. Minęło kilka godzin i jednego z nich wezwano na śledztwo. Nieco później usłyszałem pukanie, pochodzące z tej celi. Zaciekawiony podsunąłem się do drzwi, by zobaczyć, co się stało. Podszedł dozorca, z okienka wychyliła się młoda twarz więźnia i zaczęła szeptać coś do ucha strażnikowi, wskazując na moją celę. W pewnej chwili dozorca nagle odwrócił się w kierunku karceru, by prawdopodobnie skontrolować, czy nie podsłuchuję. Otworzył jadasza, tymczasem jednak zdążyłem odskoczyć i udawałem śpiącego. Zrozumiałem, że mój powiernik podał otrzymaną ode mnie wiadomość we „właściwe” ręce i że na pewno pójdzie w świat... NKWD. Był to kapusio-waty gołąb pocztowy.

Wobec tego wpadłem na pomysł, graniczący już z obłąkaniem. Podsunął mi go sygnał „słuchajcie”, od którego rozpocząłem poprzednie zwierzenia. Wydawało mi się, że powietrze w karcerze przepełnione jest elektrycznością i że wystarczy ześrodkować ją na metalowym przedmiocie, by za jej pośrednictwem przekazać światu mój testament. Ale skąd wziąć metalowy przedmiot, który służyć miał za antenę? Przypomniałem sobie, że przecież posiadam agrafkę. Wyjąłem ją, wyprostowałem pieśczołliwie i spokojnym, równym głosem, jak speaker, zacząłem wysyłać w świat eteru komunikaty o tym, że siedzę, za co siedzę, kto i gdzie mnie więzi. Z konsekwencją i powagą maniaka powtarzałem te czynności w równych odstępach czasu, aż do końca pobytu w karcerze.

Dziewiątego dnia otrzymałem zupełną. Dziesiątego czyli następnego, licząc łącznie, zwolniono mnie z karceru i zaprowadzono wprost do „śledczego”. Na odpowiednie zapytanie oświadczyłem, że nie przyznaję się do winy.

Feliks MANTEL

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedynе pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec

UKAZUJĄCE SIĘ TRZY RAZY TYGODNIOWO
W KAŻDĄ NIEDZIELĘ DODATEK.

Redakcja, administracja, drukarnia :
Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 301

On

Kiedym go poznał miał może półtora metra wzrostu. Maszerował po przekątnej celi z kąta w kąt, przygięty ku ziemi, jak gdyby dźwigał na garbatym grzbiecie ciężki wór. Nie otwierając ust nucił przez nos strzęp argentyńskiego tanga, o powolnym, namiętym rytmie. W celi nabitej jak tramwaj, siedzieliśmy od wielu tygodni. O przystanku nikt nie marzył. Nauczyliliśmy się skromności w marzeniach. Byle kiedyś wyjść. Ludzi wciąż przybawało. Wpadali ze światła w półmrok, czepiali się na oślepie byle czego, by nie upaść od kopniaka, który ich wprowadził. Ale mimo tłoku, mimo że dzieliliśmy każdy centymetr podłogi uważnie, jak kromkę chleba, On miał swoją drogę z kąta w kąt wolną. On mógł maszerować po przekątnej ścieżką wśród ciał. Olbrzymi Uzbek w chałacie pilnował, by niczyja noga nie rozkurczyła się w poprzek jego drogi. — On *sumaszedszy* — tłumaczył nowym, i ci przyglądali się maszerującemu, by po chwili, westchnawszy głęboko, rozpocząć opowieść o swojej niewinności — święte prawo każdego nowego. Niewinni byli wszyscy. Chłopiec rosyjski, wykradł z „Szołkowej Fabryki” kilometry jedwabiu i nie okazywał skruchy. — Miały być spadochrony, a będą koszule dla *mirnowo nasilenja*. — Niewinny był młody Węgier i jego żona, tak piękna, że nie widziało się ani brudu ani wrzodów, tylko jej czyste wielkie oczy. Oboje mieli na palcach ślubne obrączki. — Nie mogli ich ściągnąć, bośmy spuchli. — Węgier nie umiał się opanować. Za każdym razem, gdy pilnujący nas żołdat otwierał zakratowane okienko w drzwiach, przyskakiwał i kłął, pluł i przeklinał wszystkich rosyjskich tyranów od cara Groźnego po Stalina i wiernych jego soratników. Było ich kilku ze straży, zmieniali się, śmiali się z Węgra i zdawali się nawet smakować

w jego przekleństwach rozprasających nudę. Jednemu nie nudziło się widać i zabrał Węgra. — On wróci — powiedział, wepchnąwszy żonę z powrotem do celi. Węgier wrócił. Nie kłął już potem. Siedział cichy i jak gdyby nieobecny. Tylko czasem, kiedy żona podnosiła dłoń ku jego jasnej czuprynie, wilgotniały mu oczy.

Wieczorem zgasła pod sufitem żarówka, lampoczek Iljicza, zaciemniona kurzem i muszym kałem. Kolka pilnujący nas tej nocy, krzyknął nam przez kratę w drzwiach:

— Spać grażdanie, spokojnej nocy! — Mrugnął porozumiewawczo i nie odchodził od okienka.

On przestał maszerować. Zatrzymał się u końca ścieżki wśród ciał, oparty garbem o ścianę. Domruczał jeszcze takt argentyńskiego motywu i ucichł. Nieporuszeni, przyczajeni jak jeden, usłyszeliśmy ich niedosłyszalny chód. Zjawiły się nagle, zewsząd, z podłogi, ze ścian, spadały z sufitu bezszelestnie jak śnieg. Drgnąłem od ukąszenia, ale Uzbek-wodzirej powstrzymał mnie spojrzeniem. Ścierpnięty z przerażenia i wstrętu, wyczułem jak przebiegają nóżkami po mojej skórze, jak włożą sznureczkiem pod nogawki, w rękawy, jak dobierają się mojej szyi, policzków, zaciśniętych powiek.

— Dawaj! — ryknął Uzbek.

Zabłysło światło. Rozcierałem je na twarzy, na szyi, na ramionach, na nogach, zrzuciłem koszulę, biłem się po piersiach, po brzuchu, waliłem w ciała innych, uderzany raz po raz w plecy w grzbiet, tratowałem, rozgniatałem je na ścianach. Dławiący smród, wyginające się ciała umazane krwią jak po rzezi, obłędne oczy w mokrych zdyszanych twarzach, śmiech Kolki, jeszcze jedna dobita pięścią tuż przed zbawczą szparą, Uzbek rozsiadły na paraszy, jak bokser po rundzie, ucichające sapanie zwycięzców i zaraz, jak gdyby się niecierpliwił naszą krzątaniną, jak gdyby tylko czekał by dano mu znów drogę, Jego śpiew, argentyńskie namiętne tango, powolny groźbą nabrzmiały rytm, z kąta w kąt, po przekątnej, bez przerwy, nieustannie.

— Widzicie — rzekł Kolka przez kratę — co to znaczy lampoczek Iljicza. Socjalizm *eto elektryczestwo!* Za cara mieliście tutaj pod sufitem nie lampkę lecz gówno. I nie świeciłyby jak ta tu, tylko cuchła jak ta oto parasza. I pluskwy by was pożarły. A Sarty-Uzbeki siedziałyby oddzielnie, jak niegry u Amerykańców.

— Ty nasz wiesielczak — skwitował Uzbek — nasz kłown.

— Człowiek uczony nie kłown, nie weseli się bez przyczyny.

— Nie wiedziałem, żeś dzisiaj uczony, z gęby ci nie widać.

Ta sama dupa z uszami, co wczoraj.

— Z uszami, powiadasz, a uszu nie szanujesz. To wielka różnica z uszami czy bez. Jak w uchu małym palcem podłubać to elegancko, kulturno, a jak w tamtym podłubiesz to kak muzik. I coś z ucha wydfubał to i obejrzyć wypada i poniuchać pilliczno.

— Ty chytry jesteś Kolka!

— Do biednego pies się nie łasi, a bogatemu krzywdy nie robi.

— Po coś przystał do nich.

— Ugnali. I dobrze karmić obiecali, żuliki. Ale do uszu wracam. Uszy uszami, do słuchania je mamy od partii i prawitielstwa. A uszy, wiadomo, nie oczy, nie zamkniesz uszu kiedy słuchać nie ochota. I nie zawsze zasnąć wypada, więc słuchasz i chcesz czy nie chcesz mądrzejesz i z duraka uczonym się stajesz. I filozofujesz o taktikie, o strategii. Tyś kapitalist Abdurachman, spekulant, mój wróg, nie Uzbek, Amerykaniec! A ja z tobą gadam jak z druhem, wot i Taktika. A pluskwy Abdurachman twój i mój wróg, sowmiestnyj. I razem je dobijamy jak faszystkowo gada. Wot i Strategija, prawda ili niet?

— Prawda Kolka.

— No to odkrywaj wtarój front!

Abdurachman sięgnął głęboko w kieszeń chałata. Wyciągnął białą lepioszkę. Kolka wcisnął przez kratę dłoń:

— Dawaj prędko! — Zaraz urwał zębami pół placka.

— I tamto! — przywarł twarzą do krat, poruszał wargami. Uzbek wsunął mu kawał baraniny w otwarte usta.

Kłapa w drzwiach zamknęła się i światło zaraz zgasło.

Teraz czekaliśmy już tylko snu. On chodził z kąta w kąt, nucił swoje tango, argentyńskie, zmysłowe, maniackie.

Sen, jedyny nasz sojusznik, nie przychodził. Czasem zjawiał się od razu po odejściu strażnika. Niewidzialnym kluczem otwierał tę jedyną furtkę, której ani partia ani prawitielstwo nie zdołały obstawić. Zasnąć oznaczało wymknąć się, przedłużyć tę walkę o jeszcze jedną rundę, do rana. Dni sprzyjały im, nocę nam. Niejeden gotów był po piekielnym dniu w pocie i gównie, załomotać w drzwi, iść na górę, podpisać. Podpisać, że gardzi tymi których szanuje, że czci tych którymi pogardza, że to wszystko co w życiu ukochał nienawidzi. Wieczór był złą porą, codzienną godziną próby. Ci na górze wiedzieli o tym. O szarej godzinie schodzili się do pracy. Wypoczęci, wyspani, wygoleni, pachnący wyrobami Triesta Eliksirów, Żirow, Emulsji, twardzi, rześci gotowi. Co wieczór to samo. Na dole rozdygotani ludzie u kresu sił, na górce oni, przyczajeni u naszego snu.

Pierwszy nie wytrzymał Anglik. Miał długi *stage* w tym kraju. Rosyjski spokój, owa nierychliwość w dążeniu do celu,

dawno przepędził z Anglika angielską flegmę. Nic nie pozostało z kiplingowskich cnót. Z melancholii popadał w histerię. On pierwszy przyskakował do nowych, wyciągał swój paszport i krzyczał: „Angielski paszport! Za pazur, za ząb, za ogon tego lwa oddaliby jeszcze wszystko co mają. Nie dostaną go. Ani kawałka. Nie dam”. — Kolka lubił go drażnić. — „Nikomtu twój paszport nie nużen. Nikt ci lwa nie odbierze. Sam oddasz i prosić będziesz, na kalendarzach umoliat budziesz”.

Historia Anglika była jedną z tysięcy. Z miłości do pieniądza, ubarwioną lewicowym feblikiem, ciekawością świata, przyjechał przed laty jako spec. Chemik. Dużo pracował, dużo zarabiał i dużo widział. To że widział cieszyło go niemniej niż to, że zarabiał. Patrzenie stało się jego pasją, *hobby*. Im głębiej wchodził w ten kraj, tym więcej gromadził widzeń, i ani spostrzegł, że już wyjścia nie widać. Jak z labiryntu. Bo nikt mu wyjścia nie bronił. Formalności? W żadnym kraju nie można ich obejść. Stał się codziennym gościem Owiru. Dziewczynka z okienka, Gałoczka, mówiła mu „Bernard Edwardowicz”. Dostawał furii, gdy ją teraz przedrzeźniał. „Bernard Edwardowicz, Bernard Edwardowicz, oni wszystko przeciągają, nawet imię. Gdzie moja wiza? Dawajcie wizę, proszę Gałoczka. Jak zbrodniarza prosiłem. Nie dała”. „Czekamy na pismo z Konsulatu. Piszicie pismo w Konsulat, Bernard Edwardowicz”. „Przecież pisałem, jedenaście listów i cztery depezesze. Przekłęta, współczuła mi”. „Dziwny naród ci wasi Anglicy. Straszna u nich flegma. Nasz konsul dawno by odpisał. Piszicie w Ambasadu, poprobujtje Bernard Edwardowicz”.

Pisał do Ambasady, do Moskwy, do Kujbyszewa, depeszował. Aż do ostatniego rubla. Potem żebrał. Po bazarach, po Polskich Punktach, po Moprach. Wszędzie pokazywał swój paszport. Aż go wezwali. Na górę, do Borulowa. „Siadajcie, Bernard Edwardowicz”. „Napisał?!”. „Nie, nie napisali. Nie chcą was, Bernard Edwardowicz”. „Nieprawda!”, „Prawda, gdyby was chcieli to by odpisali”. „Nieprawda! Propusk mi dajcie, pojedę, udowodnię!”. „Wojna, Bernard Edwardowicz, front ruchomy, popadiotie w niemieckie nożyce i po was. A patom otwiczaj Borulow za Bernarda Edwardowicza”. „Nieprawda, oni mnie wpuszczą, Anglia nie wyprze się swojego obywatela!”. „Żebyście w Łondonie Sowiety chwalili”. „Nie będę chwalił!”. „Nie będziesz? Dlaczego, Bernard Edwardowicz, nie spodobali się wam Sowiety?”. „Spodobaty, oczywiście”. „Spodobaty. A jak spodobaty to i chwalić możecie. Ja was znam, Anglików. U was charakter, co się spodobało o to i bić się będziecie. I konsul o tym wie, i Ambasador. Dlatego i w Anglii nie puska-

jut". „Nieprawda!". „Prawda. I to prawda, że paszport wasz angielski, proscoczenny, nieważny". „Ważny!". „Nieważny, Bernard Edwardowicz. A u nas zakon: „U każddo grażdżanina ważny paszport. Anglicy nie dali, to my damy, ważny, sowiecki paszport". „Nie, nie oddam, nieprawda!".

Jeszcze w celi krzyczał „Nieprawda!" i walił pięściami o drzwi. Blady przyciskał swój paszport do serca". Nie oddam, nie oddam, za jeden pazur, za jeden ząb, za ogon tego lwa oddaliby jeszcze wszystko, ale ja nie dam, nie dam!".

Potem popadł w melancholię, szczególną, niespokojną. Z paszportem wciśniętym w serce, kołusał się w miejscu. Cichy i niecierpliw, drażniący, szarpiący nerwy innym, zmuszający wszystkich do obserwacji, kontroli, uwagi. Furiat chwilowo spokojny. Tylko On zdawał się nie spostrzegać Anglika. Gdy mu pokazał swój paszport odepchnął go obojętnie, z nieoczekiwaną siłą. Anglik aż przysiadł. A On odsunął go jeszcze nogą ze ścieżki i poszedł w swój kąt po przekątnej, nucąc swoje tango, argentyńskie, namiętne.

Po kilkudziesięciu godzinach wśród pluskiew, w odorze parazy, w piecu rozpalonym samarkandskim słońcem, Anglik stał się nieznośny. Najcierpliwszą więźniowie, Rosjanie, Uzbegy, Tatarzy, podnosili zaspiane głowy i dziwił się — Szczenok ili Angliczanin? — Każde otwarcie drzwi wytrącało Anglika z jego chwiejnej równowagi. Bił się po twarzy, wygrażał: — Wierzyłem wam! — Każde otwarcie drzwi wytrącało Anglika z jego chwiejnej równowagi. Bił się po twarzy, wygrażał: — Wierzyłem wam! — I podnosił paszport w zaciśniętej pięści. — Nie oddam! Nigdy go nie dostaniecie! — Śpij — mówiono mu. — Tylko sen cię może zbawić. Ale Anglik nie mógł spać. Broniliśmy Anglika... Do domu tęskni, do swoich stron. Wy jesteście w domu, u siebie. Przynajmniej tyle. — A bodajś pękł! Niechby dali wyjechać już by nas nie było. Wszy, pluskwy, czekista, niejednego zagryzli. Tęsknotę można zapisać. Czekisty nie zapiszesz!

Pluskwy wykończyły go ostatecznie. Ledwie popadł w sen, gorączkowy, niespokojny, wlaża mu jedna, podłużna i wypukła, prosto w otwarte usta. Skurcz wybałuszył mu oczy, z nieludzkim jękiem wyrwał z siebie całą zawartość żołądka. Chleb, kasza, krwawa żółć. Obrzygał sobie dłonie. Ze zgrozą wskazywał drzwi i patrzył, patrzył na te swoje obrzygane, nerwowe palce, jak gdyby nie wierzył, nie mógł uwierzyć.

Wywołał Kolkę.

— Do Borulowa?

Anglik potaknął.

Stało się to wieczorem. Tamci na górze poschodzili się już

do pracy. Wypoczęci, wyspani, wygoleni, pachnący wyrobami Triesta Eliksirów, Żirow, Emulsji, twardzi, rześcy, gotowi.

Anglik nie długo zabawił na górze. Wrócił po rzeczy. Śmiertelnie blady, nie patrząc nam w oczy, zabrał swój koc. Związkowi Socjalistycznych Republik Rad przybył nowy obywatel.

Chłopiec rosyjski, ten od szołku, rzekł:

— Żal mi go, ale mordę bym mu skuł.

Rosjanin, podejmując zakłóconą drzemkę, stwierdził:

— Ujebli Angliczanina.

Nie spałem tej nocy przez Anglika. Inni też nie mogli zasnąć. Sen zbawca nie chciał przyjść. Na próżno wabiliśmy go ciszą, błaganem, modlitwą. Nareszcie Abdurachman dał za wygraną. Dźwignął się na łokcie, powiedział do mnie:

— Opowiadaj. Dzisiaj twoja kolej. Bajkę. Albo film — poprawił się. Dawaj!

— Dawaj, dawaj — zachęcono mnie.

— Żył niegdyś w Bagdadzie, najpiękniejszym mieście Wschodu, złodziej Achmed. Nie kradł z chytrności, ani z lenistwa, ani z wrodzonej nikczemności. Był złodziejem z wyboru.

— To bajka — przerwał Abdurachman — Film miał być.

— To film.

— Ale o bajce. Dawaj coś z życia, o tym jak mordę kuja, jak temu dzisiaj Bernardowi.

— Dobrze, niech będzie o Anglikach, choć nie znam ich. Bernard jest pierwszy. Innych znam tylko z filmu. W tym filmie było ich trzech. Piękni ludzie grali tę trójkę. Gary Cooper, Franchot Tone, i całkiem młody Richard Cromwell. Ten młody był synem dowódcy lansjerów, pułkownika. Sir Guy Standing go grał. Siwowłosa, o orlim spojrzeniu i białym wąsie. Sprawa była czysta. Kto kogo przetrzyma, jak u nas. Anglicy wyrzynali Hindusów, a Hindusi Anglikom wbijali drzazgi pod paznokcie. I zapalali. Dwóch wytrzymało te drzazgi. Ten młody nie. Wydał którąś ma ojciec przyjąć z wojskiem.

— Znaczy — zamruczał bas Rosjanina. — Ujebli młodego. Jak Bernarda.

— Nie całkiem. Tamtemu dano szansę — śmierć wodza Hindusów. Tym czynem mógł się oczyścić.

— I zabił? — Rosjanin dźwignął się, stary, wyschnięty człowiek.

— Tak, zabił.

— To znaczy, że Bernard miałby zabić batiuszkę?

— Tak.

— Nie zabije, nie oczyści się. Nikt nie zabije. Zdechniemy tutaj, zadławi nas gówno.

— To 'ma być film? Ani bajka, ani życie, kłamstwo.

— Nie, Abdurachman. Anglicy mieli inny wybór. Żyj pięknie jak człowiek, albo umieraj jak bohater. Nam każą inaczej wybierać: Skonaj jak pies, zbeszczeszczony i zapluty, albo żyj jak smród ulepiony z kału i plwocin. Jak Bernard. Ten wybór wymyślili oni. To jest ich film. Ten seans się nie kończy. Z kina nie można wyjść.

On przechodził po swojej ścieżce i nagle przystanął. Przyglądał mi się chwilę, przytomnie, z ciekawością. Zobaczyłem jego oczy. To nie wariat. On jest przytomny.

Abdurachman pogłodził go po ramieniu:

— Ty idź, maszeruj, nie gniewaj się.

Rozhuśtanym ramieniem wprawił się w krok argentyński, i jakoś figlarnie, po szelmowsku zamruczał te argentyńskie rytmy. Raptem znowu przystanął, oczy wlepił w drzwi. Zadał głowę pod garbem zginającym mu kark, znieruchomiał, zjeżył się. Drzwi rozwarły się szeroko. Stało ich dwóch. Kolka i jeden z góry.

Wskazał palcem zjeżoną postać:

— Zabieraj rzeczy i jazda. Jesteś wolny.

Garbus nie poruszył się.

— Wolny jesteś, mówię, ruszaj się. — Pokręcił zegarkiem na łańcuszku. — Długo każesz mi czekać. Zabieraj go Kola!

Na Jego wargach rozprysła bańka śliny, zacharczał groźnie.

Kolka zbliżył się, powiedział cicho:

— Nie utrudniaj, zrobisz jak wtedy. Muszę, musiałbym cię wziąć. Nie zmuszaj. Proszę.

On ruszył naprzód z pochyloną głową. Wpadł przez drzwi i pięścią-maczugą rozwalił okno. Z szybami i szprosami. — Nie ruszać! — krzyknął, ale pięść tamtego dopadła go sucho w szczękę. Kopnął go jeszcze, przekroczył ciało i poszedł. Kolka wciągnął go z powrotem na pustą ścieżkę.

Zawiązałem mu szmatą rękę. Otarłem mu rozcięte wargi. Zbroczone krwią i śliną zdawały się próbować uśmiechu. Zasnął z tym uśmiechem.

Mnie sen nie zbawił tej nocy, nie otworzył mi magicznym kluczem furtki do krainy ciszy i wytchnienia, ostatniej z krain niepodległych. Zawsze gdym zasypiał, on czuwał. Namiętnie, rytmicznie, rozpinał nade mną argentyńskie niebo, dalekie, nieosiągalne, bajeczne. Szersze i rozleglejsze niż mój błękit, o którym marzyłem pod stropem celi. Zmyślił to argentyńskie tango. Ściągnął argentyńskie niebo, rozgwieżdżone jak w tangu, pachnące jak w tangu, aż tu do krawędzi paraszy. Niebo ściągnął na ziemię i wtulił je pod fufajkę blisko serca.

Cienki sen, niematerialny jak cień snu, przejrzysty jak zasłona z tiulu, łudził mnie jeszcze nadzieją, że zasnę. A może na granicy krainy niepodległej tym z góry, jak na pasie ziemi niczyjej przemknę niepostrzeżony w ramiona dnia. Nim mnie dosięgną ich ręce, może ona, jutrzienka promienna, wgarnie mnie w siebie, przytuli mocno, zbawi.

Musiałem jednak spać. Bo dopiero, gdy Kolka mną potrząsnął, zobaczyłem, że stoi nade mną i rozumiałem, że muszę iść. Ich ręce są długie, sięgają dalej niż promienie słońca.

Borulow spojrział na mnie z miną zażenowaną, jak gdyby mnie przeproszał bez słowa za tę konieczność rozmowy o porze niestosownej. Może i dobrze, żem nie zasnął tej nocy. Półsen zwiewny jak tiul uleciał, nic mi nie przesłaniało jego twarzy.

— Nie spaliście tej nocy?

— Nie wiem. Teraz jestem przytomny.

— To dobrze. Pora, byście oprzytomnieli. Dałem wam sześć tygodni do namysłu. Na myślach wam nie zbywa. Macie ich, powiem, nadmiar. Pewien nadmiar, który utrudnia decyzję. Każdą. Słuszną i niesłuszną. A więc myśli, które czasem, czasem powtarzam, bywają szkodliwe. Bo zasadniczo myślenie pochwalam, cenię i szanuję. Dlatego dałem wam więcej czasu do namysłu niż innym. Byliście też czymś więcej w tym mieście niż inni. Człowiek, powiedzieć można, na świeczniku.

— Świecznik w paraszy nakrytej deklek.

— Samiście wybrali. Wożak bez instynktu. Wasi ludzie nie mają busoli, idei, jak nasz radziecki człowiek. Dlatego idą za wożakiem. To ich jedyny drogowskaz. Zawiedliście tych ludzi. Wasz zwierzchnik i wy. Wskazaliście fałszywy kierunek. Ludzi bez idei łatwo zwieść. Nasz radziecki człowiek nie da się zwieść. Razem z towarzyszem Stalinem, razem z Partią czuwa nad czystością linii. Natychmiast reaguje na fałszywy krok. Bo wie o co chodzi. Wasi ludzie nie wiedzą. Jakże mogą wiedzieć, kiedy wy nie wiecie.

— Nasi ludzie mają ideę. Taką samą jak mój zwierzchnik, taką samą jak ja. Ta idea jest nieskomplikowana. Ta idea to chęć wydostania się z tego kraju. Dlatego wolą iść do celi, niż oddać „Udostowierenie”. Ten jedyny dowód, że są obywatelami Polski, tę ostatnią, może złudną rękojmnię, że nie zostaną w tym kraju.

— Myśmy wam dali te papiery.

— Tak i to jest słowo, to jest wasze słowo.

— Nie myśmy złamali słowo. Wasz generał. To wasz watażka podarł wasze papiery.

— Tak, występując o sprawiedliwość dla zmarłych, zapomniawszy o żywych. Sprawiedliwość przed życiem, prawda droższa niż Plato, piękna cecha, romantyczna. Ale u was romantyzmem nie przejdzie. Wpadł. Jak niejeden romantyk w Rosji. Oddał wam usługę, podsunął wam pretekst. Nareszcie, nareszcie możecie zlikwidować tę bandę niezdolnych cierpiętników. Otworzyć znowu więzienia i łagry. W imię umarłych skazał tysiące, setki tysięcy żywych na poniewierkę, śmierć, a może egzystencję z piekłem rozdwojonej jaźni. Bo tylko tego możecie się spodziewać po tych, co tam na dole, zmiękli. Rozdwojonej jaźni. Niczego więcej. Nigdy nie zmusicie ich do miłości. Ten i ów odpowie na wasze pieszczoty pieszczotą. Nie wiercie. Rozdwojona jaźń. Nigdy nie będziecie go pewni. Piekło. Nawet dla was. Nawet dla waszych żelaznych nerwów. Rozdwojona jaźń. Wieczna niepewność politruka czy kpią, czy o drogę pytają. Wściekłość, że nie może zajrzeć tam, w serce. I przerażenie gdy zajrzy.

— Wiemy o tym, wiemy o tym! — Podniesiony przycisk mocno przystawił do aktów. — Wiemy i dlatego właśnie, dlatego możecie bez strachu oddać wasze Udostowierzenia i bez obawy wziąć radzieckie paszporty. Nikt z was tutaj nie zostanie. Nie chcemy was. Wasza idea się ziści. Wyjedziecie stąd. Prosto do Polski. Sto narodów żyje w naszym Związku w bratniej przyjaźni. Wy nie dojrzelście do tego braterstwa. Kiedyś dojrzejecie. I poprosicie sami.

— Nigdy.

— Nie mów nigdy. Nie ma „nigdy” i nie ma „zawsze” w życiu narodów. Nie ma wiecznych granic. Znam wasze słabosilne myśli o Rzymie i Bizancjum, o prawosławiu i katolicyzmie. O Europie, która się tam kończy, gdzie chłop zaczyna nosić koszulę na spodniach. Nie to jest ważne, czy my należymy do Europy, to jest ważne, że znaczna część Europy należy do nas. To jest fakt. A fakty są uparte. Prawie tak uparte jak ty. Oddaj Udostowierzenie, bierz paszport i leć do Wojenkomatu. Za tydzień, za dwa najwyżej, pojedziesz prosto do Polski. Wasza armia stoi w Chełmie Lubelskim.

Podniósł się, podsunął mi formularz i pióro. Zesztywniałem, skurczyłem się w sobie.

— Czego się boisz, durak? Takiego jak ty nie ruszyłem jeszcze. Zabić możesz głupca i jeszcze ci odszczeknie. Ty pewnie w Boga wierzysz, co? No powiedz dziecinko wierzysz w Boga i w Anioła Stróża? Twój zwierchnik wierzył. Nie mógł się doczekać swojego, tośmy mu dali z naszych. Do końca życia go nie opuszczają. Chcesz takiego? — potrząsnął mną. — Gadaj ty faszystowska świni! — Rąbnął pięścią o blat i dalej wrzeszczał.

Znałem te jego przeistoczenia. Dochodził do wrzenia, a ja stawałem się zimny. Zamrożenie, letarg, skurcz obronny, pośpieszne szukanie, tam, wśród obłoków, niedostępnych dla jego wrzasku. Magiczne zaklęcia, Tegucigalpa Paramaribo, Ichtiozaury, groźne gady, i jamnik, jamniczek, potomek ichtiozaurów, przyjaciel człowieka, po lat milionach. Ryjówka! Stworzenie żarłoczne. Żarcie i sen. Sen i żarcie. Materia i marzenie, marzenie i materia. Ryjówka szaleniec, ryjówka marzyciel. Śmierć we śnie. Z głodu. Marzenie przed żarciem. Śmierć we śnie, gdy zbrzydni życie ryjówki.

Uderzeniem w plecy ściągnął mnie z obłoków.

— Sześć tygodni! Sześć tygodni czekam. Od sześciu tygodni mam sankcje prokuratora. Wyrok jest formalnością. Ty wiesz o tym. Wszyscy go chcą ratować szaleńca, a on uparł się do aniołów. Daria Radionowna przychodzi, rosyjska kobieta. Błaga, obiecuje że on się poprawi, usłucha...

— Daria Radionowna nie obiecała!

— Milcz kiedy ja mówię. Niewdzięcznik, głupiec uparty. Zostaniesz tutaj. Ty jeden. Wszyscy już wzięli paszporty. Nikogo tym uporem nie wzmocnisz. Nikomuś ty już niepotrzebny. Zostaniesz sam, wśród wrogów, których niecierpisz.

— Nie, ja nic do nich nie mam, do nikogo z ludzi. Tylko do was. I chętnie zostanę. Byle nie na zawsze. Tej chimery nie oddam. Nie mógłbym żyć bez niej, ani tu, ani w złotej sali Kremla.

— Zostaniesz sam. Wszyscy wyjadą. Młodzi i starzy. Inwalidzi i zdrowi. MOPR i Patrioci. Robotnicy i spekulanci. A ty zostaniesz. Nie tutaj. Za dobrze ci tutaj u Radionowny, wśród ludzi, jak mówisz. Zostaniesz wśród gadów. Sam wśród gadów. My też mamy gady. Jak każda władza, jak każdy aparat ucisku. Znajdziemy ci miejsce. Tego miejsca Radionowna i na mapie nie znajdzie. Tam zmięknie. Zapłaczesz za Borulowem, ale Borulow nie przyjdzie. Borulow nie usłyszy twojego płaczu. Odpowie ci wycie wilków i syk gadów. A teraz idź. Wracaj do twojego legowiska przy paraszy. Tylko dla niej to robię, dla Radionowny. Pojechałbyś. I przysięgam, jeszcze pojedziesz! Opamiętaj się. Wybierz kierunek do Polski. Póki droga wolna.

— Podziękujcie, kapitanie, Darii Radionownej za jej wstawiennictwo.

— Idź! Zejdź mi z oczu. I niech cię prędko nie widzę.

Gdym wszedł do celi przygwoździli mnie spojrzzeniami do drzwi. On też przystanął. Musnął mnie kątem oka i już wiedział. Pomaszerował swoją drogą do kąta i z powrotem, rytmicznie, po argentyńsku, pod gwiazdystym swoim niebem.

Dali mi jeść. Każdy pchał mi coś w ręce. Chciałem spać. Tylko spać. Nie spałem długo. Kolka znów stał nade mną.

— Trzeba iść — powiedział.

— Dokąd?

— Uwidzisz. — Spostrzegł lęk w moich oczach, dodał — Rzeczy zostaw.

Abdurachman podniósł się z ziemi.

— Ty im się nie daj. Powiedz sobie żeś wczoraj umarł na tyfus. To mój sposób. A potem wciągasz znowu powietrze i charasz.

Chłopiec, ten od „szołku” objął mnie w pól.

— Całe ubranie dam, szołkowyje, klianus’ czestju, za darmo i poszyjut za darmo.

Kolka poprowadził mnie pod sztykiem do bramy. Uprzedził:

— Nie próbuj uciekać. Ubiju.

Wyszliśmy przed więzienie na ulicę Karola Marksa, a potem w lewo ku Sowieckoj. Na rogu pod „Gastinicoj” znowu w lewo Sowiecką. Kolka z tyłu, z pochylonym sztykiem, ja z przodu, oślepy od słońca, Samarkandzkie niebo to nie tamto z tanga. Roztopiona majolika. Rozżarzone szkło. Nie widziałem ludzi. Ktoś krzyknął „Hallo” i „Dzieńdobry”. Machinalnie uchyliłem kapełusza. Kolka zagadał z tyłu:

— Ty z tym kapeluszem, kak w teatre.

Miał rację, każdy ubiór, każde okrycie inne niż bezkształtny łachman fufajki to teatr w tym kraju, poza dziwactwo.

Zwolna powracał mi wzrok, poznawałem rogi ulic, domy. Szliśmy na Worowskowo! Na Worowskowo czternaście! Do domu! Czego chcą, czego szukają? Jej nie będą rewidować. Nie ośmielią się.

— Stupaj.

Pchnął mnie lekko sztykiem przez wysoki próg furtki wykrojonej w bramie. Moje podwórko. Wszystko co nie było całą wydało mi się moim. Dwa rzędy białych domków przedzielonych kocimi łebkami podwórka. Najgłębiej, u końca, ubornaja, którą mąż Darii Radionowny, Piotr Fiodorowicz własnoręcznie wykopał. Po prawej, naprzeciwko Anna Iwanowna, o której poszeptowano, że mąż na froncie, córka za lotczykiem, a ona z lotczykami. Bliżej po sąsiedzku Daria Radionowna, przy ulicy Anna Pawłowna z córką. Naprzeciwko inżynier Sawicki, autorytet posesji, dalej obie Zacarynne, i tuż przy ubornej klitka staruszki Doni. Nie skarżyła się starucha na odór. Jej nos już dawno nie rozróżniał zapachów. Dlatego też pod jej nosem a nie pod innym, wykopał Piotr Fiodorowicz dół kloaczny. — Pusto, jak gdyby kto wy-

miół ludzi. Tylko kury Zacarynnych wydziobywały pokarm spomiędzy kocich łebków, gdacząc swojsko.

Kola rzekł poważnie:

— Ty wciąż i stale o wyjeździe mówisz, a szklą ci się oczy, jakbyś do domu wrócił. Twój dom pewnie w bajce, na szklanej górze. Stupaj!

Chciałem do Radionowny, gdzie mieszkał, a on mnie sztykiem w lewo.

— Do Sawickowo cię prowadzę.

— Widzę i dziwię się.

— Jeszcze ci ze zdziwienia gały wyjdą.

Przez ganek ocieniony winem, wszedłem do pokoju. Stół nakryty serwetą, dwa bochenki chleba, rodzynki, kipiący samowar. Posadził mnie zdumionego w krzesło. Ktoś z tyłu nakrył mi oczy. Łagodnie, dla żartu. Poznałem te palce nim ściągnąłem je ku wargom. Radionowna!

— Zgadłeś.

Powyłazili inni z kątów i Sawicki zza kotary.

— Zostałem dzisiaj w domu — rzekł. — I tak w domu więcej zrobię niż w biurze. Chciałem być z tobą w tej chwili.

Spojrzałem w oczy Radionowny, mądre, współczujące, uważne. Zarumieniła się. Nie, ona nie zawiedzie, ani mnie, ani innych. Nikogo. Podejrzanie skwituje rumieńcem i wybaczy. Wyjaśniła prędko:

— Byłam u niego.

— Wiem, Daria Radionowna, powiedział mi.

— Nie, kiedy on ci mówił, tom jeszcze nie była. Dopiero potem, jak cię od niego wyprowadzili.

— Kłamał.

— Nie całkiem. Cekał na mnie. Nie wiedział, przyjdę nie przyjdę. Chciał mnie przynaglić. Przez ciebie. A ja i tak już miałam iść. Kolka dał znać, żeś u niego. Cekałam tam aż cię wyprowadzą. Nad ranem. Nigdy u niego nie byłam tylko ten raz. Dzisiaj.

Twarz jej pociemniała. Starsza Zacarynna szepnęła:

— On się na Darii żenić chciał, w rewolucję. Po dziś dzień kawaler.

— Ją jedną kochał — dodała młodsza. — Nikogo przedtem, nikogo potem. Żadnego człowieka.

— Głupstwa. Mnie też nie kocha. Ufał mi tylko. Ufa mi i dziś. Bo wie, że nie zdradliwa. Im potrzebne takie żony, ale nam niepotrzebni tacy mężowie. Mąż nie współnik. Tylko ojciec i brat i kochanek. Oto co nam potrzebne. Jak mój Piotr Fiodorowicz.

— Komisarzem chciał ją zrobić, Kamisarom Narodowo Praszjeszczenija.

— Ja ledwo z książki modlitwę przeczytam. Powiedział, że serce ważniejsze niż wiedza. Może, ale zem do niego serca nie miała, nie miałam go i do komisariatów.

Naląła nam herbaty, wskazała Kolkę:

— Nikołaj Sergejewicz pomógł. Wiedzieć co ryba bierze to najważniejsze.

— Szczęście — rzekł Kolka skromnie. — Słupy traf. — zniżył głos — Kalinin wyjechał, pułkownik. Nie prędko wróci. Borulow tymczasem gospodarz. Słowo Borulowa — zakon. Dla wszystkich. Borulow, wiadomo, duży chłop, ale stopę ma małą. Mniejszą niż pułkownik. I oto poszło. Jak sapożnik przyniósł te buty i dawaj je z pułkownikiem wciągać, nie dali rady. Nasapali się obaj i tyle tylko zmajstrowali, że ani na nogę, ani z niej, ani w dół ani w górę. Borulow stał przy tym. Pewnie nie tak się uśmiechnął. Pułkownik dostał czerwonej głowy.

— Ty co, Borulow, śmiesz się jak durak, a ciągnąć nie łaska?

Pociągnęliśmy we trzech z sapożnikiem i Borulowem, jak rzepkę. Ściągnęliśmy pułkownika z krzesła. Dech mi zaparło. Koniec myślę, wybiła nasza ostatnia godzina. A pułkownik jak nie ucapi but, żyły na szyi jak postronki, oczy na wierzchu, ramię spęczniałe, jak moja noga. Myślałem, urwie but od cholewy. Pac i ściągnął ze stopy. Prasnął butem w sapożnika.

— Ty co błaznie, nie widzisz, że but ciasny. Po co mi go wciągasz? Pożałowałeś skóry, szewra ci było szkoda. A mojej skóry nie szkoda? Ze skórą go zdarłem. O dwa numery mi je rozciągnij, o całe dwa numery!

Borulow tymczasem, czy z głupoty, czy z wyliczenia, czy z zemsty, że tamten go od duraków, wciągnął but, ten drugi. Powiercił nogą jak tancerz i — dobre — mówi. — Na mnie w sam raz. Dla was, pałkownik, nowe by zszyć. Dla waszych odcisków luźniejszy but zdrowszy.

Pułkownik się wściekł. Do sapożnika jak opętany. — Tylko te mi rozciągniesz! Słyszysz! Tylko te buty. Uważaj sapożnik, to nie przelewki. — A potem do Borulowa, już cicho, spokojnie. Ty Borulow pochodzisz jeszcze w swoich butach. Długo pochodzisz, nim w moje wskoczysz. — Przy nas to powiedział. Borulow zbladł i zmilczał.

A teraz pułkownik wyjechał. W nowych butach. Ale drugich. Sapożnik go zwiódł. Nie dało się tamtych rozbić. A może i nie chciał szewc-przechera. Już węszył geszeft z Borulowem. Póki co bał się własny nos wtykać. Ode mnie zaczął. Jakby Borulow

o buty pytał to są. Te same, w nocy pozna. A Borulow, jeszcze pułkownik na dole klamki nie wypuścił, mnie do góry, do siebie i pyta: — Znasz sapożnika? — Znać nie znam, ale znaleźć mogę. Spotkałem przypadkiem, mówi, buty są. Te same. Pułkownik w drugich pojechał. — Borulow w śmiech — biorę te buty. Ileż on żąda. — Tysiąc żąda. — Teraz on dostał czerwonej głowy — Wściekł się łotr — pyta. — Te drugie, mówię, z niczego sklecił, i to pułkownik tysiąc dał. A te pierwsze ekstra, takiego szewra i za tysiąc nie odkupi. — Com ja złodziej — pyta — skąd ja tysiąc na buty wezmę? — On Radionownej znajomy, mówię, dla Radionownej taniej odda. — Tak mnie nauczyła jakby Borulow czegoś chciał. A on w nią jak w Stalina wierzy, albo i więcej. — Radionowna, Daria? Ta z Worowskovo? — udaje, że przypomina. — Ta, co to u niej ten Polak z dołu za lokatora? — Chytry, zaraz wiedział, że już ma te buty. Nie za tysiąc. Za darmo! — Bez znajomości — mówi — daleko u nas nie zajdziesz. Przyszłaby Radionowna to bym ją może i poprosił.

A Radionownę aż na wymioty zdjęło. — Nieprawda, mówi. Miałam go za nic, ale on jeszcze mniej niż nic.

Tu Radionowna dodała od siebie:

— Dać mu te buty to grzech. Bóg widzi, że grzech. Chociaż i bez ludzkiej krzywdy. Złożymy się, niewiele każdemu ubędzie. A że bez krzywdy, więc mu damy. Niech go pieką diabelskim ogniem. Za to robi, jak chcemy. Papieru twojego nie oddasz. Putiowkę do wojska do więzienia ci ściągnie, od Wojenkoma. I nie pojedziesz sam. Bo mu nie wierzę. Z Sawickim pojedziesz. Do samej granicy, do rzeki Bug. A tam, tam pożegna cię Arkady Iwanowicz, pożegna i pobłogostawi. Z serca, z wszystkich naszych serc. A ty jedź z Bogiem. I nie zapominaj. Nie zapomnij o nas, jak my i ciebie nie zapomnimy.

Cela nie była już moją celą. Chyba nie umiałem tego ukryć, może wszedłem inaczej niż zawsze, obojętniej, bo gdym tylko wszedł On przystanął i urwał pieśń. Patrzył mi w oczy. Zaprzeczyłem i potaknałem. Przyskoczył do mnie.

— Wychodzisz!

— Tak.

— Podpisałeś?

— Nie.

— Jedziesz do wojska?

— Tak.

— Do Polski?

— Tak.

— Do Warszawy?

— Nie.

— Ale potem?

— Tak.

— Słuchaj! — Pociągnął mnie w kąt. — Słuchaj mnie! Ty będziesz w Warszawie, ty im się wymkniesz, ty jesteś młody, masz zdrowe czyste serce i jasny mózg. Jak pstrąg jesteś żywy. Ty dojdiesz do źródła prawdy i będziesz pił, pił jak konający z pragnienia, jak Hagar którą Bóg napoił. Ty wrócisz. Ja skonom tutaj. Ty wiesz, że ja tutaj umrę, jak ja wiem, że ty wyjdiesz. Biorę twoją dłoń i Boga biorę na świadka. Pójdiesz, odszukasz mój dom rodzinny. Ten dom, który słyszał krzyk rodzącej i płacz dziecka i radosny głos położnej: Syn się urodził! Pójdiesz i powiesz, syn wasz umarł. Na próżno krzyczała matka, na próżno płakał narodzony, na próżno położna pobiegła z nowiną. Syn wasz umarł. Matko, powiesz, gdybyś nie syna, lecz psa urodziła, może by przeżył twój pies. Gdybyś prosiaka na świat wydała, może by przetrwał prosiak. Wasz syn nie przeżył. Wasz syn nie mógł przeżyć. Wasz syn był człowiekiem. I to jeszcze powiesz, w te słowa: Z miłością w sercu umarł wasz syn. Wasz syn był inny niż dzieci skrycie nad wierszem poety. Tajemnie czytał i tajemnie marzył. Głupi był wasz syn, bo dzieckiem szukał w księgach tego, czego mędrzy na starość w księgach nie znaleźli. Ale dziecko wierzy. Wierzyłem że świat jest brylantem! Ogromnym i jasnym. Oczyścimy ten brylant wspólnymi siłami, oszlifujemy, żeby świecił promiennie, jak nigdy przedtem. Przyłożyłem i ja mój pilnik do bryły świata. Prędko jak dziecko, niecierpliwy jak dziecko, czekałem jutra, które nie miało nadejść. Czekałem szczęścia, braterstwa, pokoju. Nadeszła wojna. Poszedłem na front. Pod Kutnem utkwiliśmy w błocie. Już nigdy z tego błota nie miałem wyjść. W Dachau, tam nas pognali, tam byłem krótko. Wystroili nas w szereg i Niemiec na koniu wskazał wschód: Kto chce do Rosji, kto tam się za Bugiem urodził, wystąp! — Nie wstydzę się tego. Żałowałem wtedy, że jestem z Warszawy. Żałowałem i dziwiłem się. Nikt nie wystąpił. Niemiec powtórzył: Kto chce do Rosji, kto tam się za Bugiem urodził, wystąp! Nikt nie wystąpił. Niemiec przejechał wzdłuż frontu, powoli tam i z powrotem, a potem zatrzymał konia. Podniósł szpicrutę, zawołał: Żydzi wystąp! — Wystąpiłem pierwszy. Zawieźli nas do Brześcia nad Bug. Nie zapomnę Brześcia, nie zapomnę Bugu. Ten brylant którym szlifował świecił tego dnia promiennie, świecił tak czysto i jasno jak w moim marzeniu. Brama z zieleni i napis z czerwieni: Witajcie wolni w wolnym kraju! Bankiet, mowy, toasty. Komisarze w skórzanym płaszczach, generał białoruski, pułkownik mówiący po ży-

dowsku. Brawa, wiwaty i pieśni. Pieśni nad pieśniami. A potem pierwszy niepokój, lęk który wśliznął się w serce i już tam pozostał. Przepadli nagle, zniknęli, jak gdyby ich powietrze wchłonęło bez śladu, komisarze w skórach, generał białoruski, pułkownik mówiący po żydowsku. Przyszli tamci, przyszli ci z góry, przyszli nagle, jak z powietrza, z niczego. Zamknęli nas w ciepłuszkach. Nie zliczę już dni, nie zliczę tygodni. Tutaj jest kres tej drogi. Dopiero tutaj. W tej celi. Smutny koniec? Nie, nie smutny. Ta cela to brylant. Tutaj świeci mój brylant promienny, tylko tutaj.

— Trudfront. Znasz to słowo: Trudfront. Góra węgla, ty i łopata. Barak bez okien i pieca. Ściany i dach. Norma, kasza, chleb. Nie wierzyłem, nie mogłem uwierzyć. Chcą tylko sprawdzić, zbadać naszą wierność, opukać nam serca i mózgi. Nie byłem leniwy, wierzyłem w pracę. Kaszel rozrywał mi płuca, z fufajki zostały strzępy. Nie ustawałem. Wierzyłem, że przyjdą. Za miesiąc, za rok, wyjmą mi łopatę z rąk, zawiozą tam na drugą stronę góry, do baraku z oknami i piecem, do pryczy z kocem, do składu z ciepłą odzieżą. Powiedzą: Zdaliście egzamin. Chorzy poleżą w szpitalu, zdrowi staną do pracy. Do ludzkiej pracy. Wolni w wolnym kraju. Tamte baraki to dekoracja, to tylko na krótko, na okres próby. Wierzyłem, że przyjdą, że muszą przyjść. Chciałem najeść się gorącej zupy. Za ten żołd gotów byłem umrzeć. Jak teraz już tylko śmierci czekam. Potem opadłem z sił. Strażnik w szubie posłał mnie po proszki, żebym wziął i wyzdrowiał. Piętnaście kilometrów przez śnieg. A wróc, kurwo — powiedział. Nazwał mnie kurwą. Powiedz mojej matce, jej syn nie był kurwą. Gdyby nią był, przeżyłby może. Nie byłem kurwą, ale chciałem przeżyć. Nie wróciłem. Poszedłem prosto przed siebie, na oślep. Na zachód. Tylko na zachód, za słońcem. Może przejdę, może dojdę do Warszawy. Ale Niemcy znowu ruszyli. Znowu wojna. Znowu front. Musiałem zejść z mojej drogi na zachód. Dokąd, dokąd miałem pójść. Byłem żołnierzem, chciałem bić się. Za socjalizm? Nie. Chciałem mieć całe spodnie i jedną bodaj koszulę. Chciałem najeść się gorącej zupy. Za ten żołd gotów byłem umrzeć. Nie bałem się już śmierci. Śmierć zniesiesz, chcesz czy nie chcesz. Życia nie mogłem znieść. Poszedłem prosto do Wojenkomantu, dobrowolcem. Zbili mnie jak psa. Dezertor z frontu pracy. A potem już wiesz. Ciepłuszki. Kilometry. Góra ziemi. Farchatstroj.

— Tam łopat nie było. Klęcząc zsuwaliśmy ziemię rękami w szmaty-fartuchy. Pochyleni przenosiliśmy kilogram po kilogramie górę. Ogromną, prawdziwą górę. A kiedy połowa góry znikła, ja już nie mogłem rozprostować pleców. Odtąd miałem żyć

z karkiem przygiętym do ziemi. Stałem się niższy o dwadzieścia centymetrów. Tam już wiedziałem, że to nie dekoracja. Nie marzyłem już o baraku z całymi szybami. Nie śmiałem marzyć. Ja, którym marzył kiedyś o całych domach ze szkła.

— W nocy uciekłem. Wojna nie wojna, front nie front, byle dalej, byle na zachód. Dowlokłem się do Kujbyszewa. Żywy trup, szkielet, garść kości związana szmatami. Wybrałem park i zieloną ławkę. Zwierzęta wybierają miejsce swojej śmierci. Mnie nie pisano umrzeć na ławce. Spławili mnie Wołgą do Astrachania i ciepłuszkami znowu na wschód. Śmierć zwlekąca, wiedziała, że jestem jej.

— Dlaczego nie urodziłem się psem. Miałbym futro i kły i żołądek który wszystko trawi. Nos który z gówna wybierze kęs. Nie miałem tego. Psy nie chorują na tyfus. Psy wściekają się. Człowiek znosi wszystko. I ja zniósłem tyfus. Sanrobotnik zabrał mnie z ulicy na wózek. Położył obok innych. Wybaczyłem mu, byłem mu wdzięczny za to, że zostawił nas wtedy na wózku, że stanął w kolejce po chleb. Myślałem: Może dojdę na tym mrozie. Inni doszli. Wyładował ich w kostnicy, a mnie razem z nimi. Nie był pedantem. Wrzasnąłem ostatkiem sił.

— Przeklęty dzień mojego zmartwychwstania.. Przeklęty dzień w którym narzucono mi koc na ramiona i kazano iść. W bieliźnie jak ziemia, otulony kocem, stałem przed bolnicą i śmiałem się. Śmiałem się do młodego słońca, do wiosny, do ciepła życia. Zamknąłem oczy. Ze szczęścia. Nie wolno zamykać oczu. Nigdy, nigdy nie zamykaj oczu.

— Zabrano mi koc. Zdjęto z ramion. Człowiek. Taki sam człowiek jak ja. Żywy trup. Ledwo się włókł. O krok, o dwa kroki przede mną. Wyciągnąłem ręce. Płakałem. Nie zlitował się. Nie mógł się zlitować. Szedłem za nim, krok w krok. Nie mógł mi uciec, nie miał sił. On skręcił w prawo i ja za nim w prawo, on na szeroki plac za murem i ja za nim. Stanął, nie mógł już iść, i ja już nie mogłem. Nie mogłem iść, i nie mogłem stać. Ziemia kołysała się pode mną. Przykucnij, powiedział, przykucnij to się utrzymasz. Usłuchałem. A teraz, powiedział, wysraj się. Tylko to ci się jeszcze należy. Zapadałem się! Zaprowadził mnie w gówno, na dół po ubornej przysypany ziemią. Zapadałem się w gówno. Nie mogłem wstać! Błagałem go. Nie pomógł. Poszedł. Nie chciał patrzeć jak tonę. Krzyczałem. Nikt nie przychodził. Tu miałem umrzeć.

— Nie umrę w gównie. Bóg otworzył mi uszy. Wyciągnął mnie z gówna Uzbek, którego nie znam. Jeden z trzydziestu sześciu. Nie próbowałem już żyć jak pies. Nie dano mi wybierać życia, chciałem już tylko wybrać śmierć. Ostat-

nie moje prawo. Spieszyłem się. O każdym świcie czaiła się śmierć. Tysiące takich jak ja nie podnosiło się więcej. Nie chciałem umrzeć na ulicy. Tutaj umrę! Zaaresztowali prawdę! Tylko tutaj, w więzieniu tli się jeszcze prawda! Tutaj umrę! Ja skonam, prawda nie umrze. Ona przeżyje nawet ich!

— Do armii mnie namawiają, do polskiej armii. Mam tydzień życia. Oni chcą żebym skonał po drodze. Ja skonam tutaj. Ta armia nie przebiera w chłopcach. Ta armia wie, że jest brzydka i niekochana. Dla niej wszyscy malowani. Nawet ja. Garbus.

— I mnie, garbusa, stworzył Bóg na podobieństwo własne. Mam wolną, dumną wołę człowieka. I tutaj umrę, nie w drodze. Tutaj będę tańczył moje tango, moje tango argentyńskie!

— Kiedy inni tańczyli tango, ja roznosiłem bibułę. Kiedy inni śpiewali tango, myśmy śpiewali o sztandarze co płynie ponad trony! Nie dajcie dzieciom roznosić bibuły! Zabrońcie im śpiewać tak dumne pieśni. Niech tańczą tango. Argentyńskie tango. Pod niebem malowanym. Pod gwiazdami z papieru. Pod palmami z dykty. Nie ma innego nieba, nie ma innych gwiazd, nie ma innych palm. Niech tańczą tango, warszawskie tango, prawdziwe argentyńskie. Tango z Palais de Danse! Jak ja teraz tańczę — wszystkie moje tanga nie odtączone, wszystkie moje tanga nie wyśpiewane: Tra ra ra ra Ratta tarara, Tra ra ra ra Ratta tarara, Tra ra ra ra Ratta...

Jan ROJEWSKI

Wiesloch, w grudniu 1962.

PRZEDSTAWICIELSTWO BANKU P.K.O.

**PRZEKAZY
PIENIĘŻNE
DO POLSKI**

CENTRALA WYSYŁKOWA

HASKOBA LTD

121 Earls Court Rd, London S. W. 5



KATOLICKI OŚRODEK WYDAWNICZY 'VERITAS'
12, Praed Mews, London W. 2

ogłasza

PLAN WYDAWNICZY " BIBLIOTEKI POLSKIEJ "

na rok 1963:

W przedpłacie po cenach znizonych można zamawiać następujące tomy:

Do końca lutego br.:

Ks. Jan Piwowarczyk:

KATOLICKA ETYKA SPOŁECZNA tom II

Cena w przedpłacie: 25/-; dol. 3,75; F. 17,25.

Do końca marca br.:

O. Józef Jarzębowski opr.:

ŁUDZIE ROKU 1863 MÓWIĄ. Antologia nieznanych i mało znanych pism, listów i pamiętników przywódców i uczestników Powstania Styczniowego.

Cena 20/-; dol. 3,00; F. 14.

Do końca maja br.:

Św. Tomasz z Akwinu:

TRAKTAT O SZCZĘŚCIU I CZYNNOŚCIACH LUDZKICH (Sumy Teologicznej cz. 1-2, zagadn. 1-21). Przekład i objaśnienia: O. F.W. Bednarski, O.P.

Cena 20/-; dol. 3,00; F. 14.

Do końca lipca br.:

Stefan Badeni:

WCZORAJ I PRZEDWCZORAJ (Wspomnienia i szkice).

Cena w przedpłacie: 13/6; dol. 2,00; F. 9,45.

Do końca września br.:

Józef Haller:

PAMIĘTNIKI. Z tekstami dokumentów i fotografiami.

Cena w przedpłacie: 30/-; dol. 5,00; F. 21.

Do końca listopada br.:

Św. Tomasz z Akwinu:

TRAKTAT O ROZTROPNOŚCI (Sumy Teologicznej cz. 2-2, zagadnienia 47-56). Przekład i objaśnienia: Ks.dr St. Belch.

Cena w przedpłacie: 10/-; dol. 1,50; F. 7,00.

Poza Anglią termin przedpłaty trwa o miesiąc dłużej. Po upływie terminów przedpłaty ceny księgarskie poszczególnych tomów wyższe o jedną trzecią.

Zamówienia wraz z należnością prosimy przekazywać albo wprost do: VERITAS FOUNDATION PUBLICATION CENTRE, 12, Praed Mews, London W.2 albo do naszych przedstawicieli w poszczególnych krajach.

Archiwum polityczne

Dramat Europy

Europa poszukuje drogi pomiędzy dwoma super-mocarstwami, których polityki mają zasięg globalny. I to stanowi treść europejskiego dramatu.

W okresie wojny nie istniały jeszcze super-mocarstwa i wskutek tego nie istniał problem satelictwa w nowoczesnym tego słowa znaczeniu. O rozstrzygnięcia w skali światowej mogły się kusić tylko koalicje państw. Cechą super-mocarstwa nie jest potencjał atomowy lecz zdolność samoistnego pobierania decyzji w skali światowej. Różnica pomiędzy mocarstwem a super-mocarstwem polega na tym, że mocarstwo nie może obejść się bez sojuszników a super-mocarstwo może obejść się bez sojuszników.

W rezultacie super-mocarstwa dążą do hegemonicznej — jeżeli nie wręcz dyktatorskiej roli w ramach swoich systemów sojuszniczych.

Państwa małe i średnie mają przed sobą tylko dwie możliwości. Albo zadowolili się pozycją klienta-sojusznika — albo zjednoczyć się i utworzyć nowe super-mocarstwo. Koncepcja gen. de Gaulle'a, idzie po tej linii. Zjednoczona Europa zachodnia miałaby szansę stania się prawdziwym partnerem Ameryki. Natomiast żadne z państw europejskich samodzielnie tej szansy nie ma.

Ameryka jest wyjątkowym przykładem super-mocarstw, które jest wolne od problemów narodowościowych. Murzyni uważają się za Amerykanów i walczą o pełnoprawienie jako Amerykanie.

Sytuacja Rosji jest zgoła odmienna. Problem narodowościowy w Zw. Sowieckim jest wielkiej wagi i daleki od rozwiązania.

Pozornie obie metody *melting pot* wykazują pewne analogie. Polak, Francuz czy Chińczyk z chwilą gdy otrzyma papiery naturalizacyjne staje się Amerykaninem. Operacja jest o tyle ułatwiona, że nabywa się „syntetyczną” narodowość. Z wyjątkiem Indian nie ma autochtonicznych Amerykanów. Wszyscy są emigrantami albo potomkami emigrantów. Flaga amerykańska nie reprezen-

Artykuły Juliusza Mieroszewskiego i Aleksandra Kawałkowskiego Redakcja traktuje jako dyskusyjne.

tuje żadnego z historycznych narodów. Reprezentuje ludzi różnych ras i narodowości, którzy nazwali się *American people*. Określenie *American nation* jest bardzo świeżej daty.

Podobnie flaga z sierpem i młotem nie reprezentuje żadnego z istniejących historycznych narodów. Stworzono również „syntetyczną” narodowość „radziecką”. Obywatel radzieckim podobnie jak Amerykaninem może być każdy bez względu na narodowość i kolor skóry. Ale w tym miejscu analogie dobiegają kresu. Obywatelstwo radzieckie nie rozwiązało problemu narodowościowego i w znakomitej większości wypadków stało się instrumentem rusyfikacji. Związek Sowiecki nie ma żadnej szansy stania się nową Ameryką. W przyszłości Rosja będzie zmuszona porzucić rusyfikatorską politykę swego *melting pot* i przekształcić się w *common wealth* niezależnych państw. Inaczej nie rozwiąże swych problemów narodowościowych. Historyczny naród, jakim są Rosjanie, nie ma możliwości budowania super-mocarstwa na wzór amerykański. Rosjanie musieliby zrzec się swej własnej narodowości, wyrwać z korzeniami rosyjski nacjonalizm i imperializm — wszystko w imię mitu „radzieckiego”. Ameryka powstała w wyniku rewolty przeciwko „klasie panów”. Związek Sowiecki jest natomiast instytucją i ostoją „klasy panów”, tj. Rosjan.

W systemach sojuszniczych obu super-mocarstw obserwujemy wewnętrzne tarcia i fermenty. O ile jednak w systemie zachodnim istnieje liczne możliwości przystosowania się do nowej sytuacji — świat komunistyczny stoi zawsze przed alternatywą: jedność lub rozłam.

Spór rosyjsko-chiński posiada dziś potężną literaturę fachową. Kropkę nad „i” w tym sporze postawili Chińczycy w słynnym artykule z 31. 12. ub. r. w „Dzienniku Ludowym”, na który odpowiedziała „Prawda” w numerze z dnia 6.1. 1963.

W oparciu o moją skromną znajomość marksizmu skłonny jestem twierdzić, że w owym sporze ideologicznym rację mają Chińczycy.

„Czy marksizm-leninizm jest dziś doktryną przestarzałą?” — zapytuje Pekin w cytowanym artykule.

Istotnie to jest podstawowe pytanie. Jeżeli zignorujemy bombę atomową, sputniki i rozwój technologii w ostatnim półwieczu, jeżeli oprzemy się na literze „świętych ksiąg” marksistowskich — wówczas bezstronny obserwator musi przyznać rację Chińczykom.

Innymi słowy — jeżeli marksizm-leninizm nie jest przestarzałą doktryną — rację mają Chińczycy. Jeżeli jest przestarzałą doktryną — rację mają Rosjanie.

Najłatwiej jest być klasycznym marksistą w kraju o przeciętnym dochodzie narodowym 75 dolarów na głowę mieszkańca rocznie. Lecz Rosja Sowiecka wykazuje wyższy dochód na głowę obywatela niż Holandia, Irlandia, Austria czy Włochy. W Sowietach dochód ów wynosi od 500 do 1.000 dolarów choć istnieje niepra-

wdopodobna rozpiętość pomiędzy wysokością dochodu narodowego a stopą życiową.

Rosjanie mieliby rację, ale tylko wówczas gdyby spokojnie stwierdzili, że marksizm, podobnie jak większość teorii naukowych sprzed stu laty — jest dziś doktryną całkowicie przestarzałą. Lecz Sowiety oczywiście na taki krok nigdy się nie zdecydują. Moskiewie, w gruncie rzeczy, nie chodzi o jedność doktrynalno-ideologiczną tylko o wspólny front przeciwko Zachodowi. Policentryzm został w ten sposób w pełni usankcjonowany. W interpretacjach Moskwy, Pekinu i Belgradu komunizm rozpada się na trzy różne wersje w wielu punktach ze sobą sprzeczne.

Ruch ideologiczny, który nie umie utrzymać jedności doktrynalnej na zewnątrz — nie ma *de facto* możliwości utrzymania jedności wewnątrz poszczególnych partii. Jeżeli Jugosłowian uważa się za prawych komunistów, jeżeli pozwala im się przemawiać na Kremlu do śmietanki komunistów sowieckich — to trudno równocześnie komunistę polskiego czy węgierskiego zdradzającego sympatie titoistowskie nazywać „lokajem amerykańskiego imperializmu”. Na dalszą metę nie można różnic poglądowych, które toleruje się na zewnątrz — piętnować jako zbrodnicze odchylenie na wewnątrz.

Jeżeli kiedyś doszłoby do otwartego rozłamu — Pekin reprezentowałby ortodoksyjny wschodni komunizm. Spór chińsko-rosyjski jest — między innymi — sporem między Wschodem i Zachodem, starciem pomiędzy pryncypialną, dogmatyczną ortodoksją a pragmatyzmem i oportunizmem przemysłowego mocarstwa. Ów spór uwypuklił — wbrew woli głównych aktorów — że Rosja w gruncie rzeczy „zorientowana” jest na Zachód. Współczesna Rosja ma daleko więcej punktów stykowych z Europą zachodnią czy z Ameryką niż z Chinami.

Można by zadać pytanie: Jeżeli istnieje policentryzm w światowym ruchu komunistycznym dlaczego nie ma go w poszczególnych partiach? Dlaczego proces de-stalinizacji na pewnych odcinkach w Rosji Sowieckiej posunął się dalej niż w Polsce? Cemu przypisać ów całkowity brak inicjatywy i naporu, który obserwujemy w kraju?

Odpowiedź jest tylko jedna. W bloku komunistycznym notujemy wielkie zmiany, lecz Zachód do owych przemian ustosunkowuje się całkowicie biernie. I wskutek tego lekcja budapeszteńska jest nadal w pełni aktualna. W ocenie „kompleksu budapeszteńskiego” nie można przesadzić. Istotą tego kompleksu jest nie tylko lęk przed sowiecką interwencją, lecz przede wszystkim totalna niewiara w Zachód. „Po co mamy się wychylać kiedy nam nikt nie pomoże”. To jest pogląd, który w określonych warunkach może być przejawem przezornej dojrzałości politycznej, a w innych warunkach pokrywać bierność i apatię.

Zachód, a w szczególności Ameryka, nie doceniają kryzysowej sytuacji w Sowietach. Nigdy nie byliśmy zwolennikami teorii, że Związek Sowiecki jest kolosem na glinianych nogach. Maszyna wojenna Rosji jest bardzo potężna. Ale wojna to nie tylko

siły zbrojne, ale i zaplecze. Zapleczem machiny wojennej musi być dobrze zorganizowany przemysł i prawidłowo funkcjonujące rolnictwo. Doświadczenia drugiej wojny światowej wykazały, że w ostatecznym rozrachunku o zwycięstwie decyduje baza przemysłowa.

Sowiecki przemysł jest potężny i rozbudowany, ale nie pracuje ani sprawnie ani wydajnie. W rolnictwie jest jeszcze gorzej. Katastrofalny brak koni, brak małych i średnich traktorów, brak transportu, wielotygodniowe opóźnienia w dostawach nawozów sztucznych, a przede wszystkim bankructwo kołchozów — oto najtypowsze przejawy permanentnego kryzysu, który w pewnych okęgach przybiera formy całkowitego rozprzężenia.

W specjalistycznych pismach na Zachodzie ukazują się stale artykuły omawiające zagadnienia rolnicze w Sowietach. Lecz wszyscy badacze ograniczają się do krytycznej analizy. Wszyscy wiedzą, że sowieckie rolnictwo nie funkcjonuje należycie, lecz dosłownie nikt nie wie co należy zrobić, by je uzdrowić. Byłoby interesujące gdyby grupa specjalistów amerykańskich opracowała *blue-print* dla sowieckiego rolnictwa. Oczywiście opracowanie tego typu musiałyby dawać odpowiedź na pytanie, jak uzdrowić sowieckie rolnictwo w ramach państwa „socjalistycznego”.

W Polsce Ludowej liczba gospodarstw indywidualnych wzrosła o 55 tysięcy i przekroczyła znacznie cyfrę 3,600.000 gospodarstw. Wzrost o 55 tysięcy jest niezmiernie wagi wskaźnikiem potencjalnych możliwości ewolucyjnych polskiego modelu. Może przyjsć moment, że ów fenomen nabierze wręcz kardynalnego znaczenia politycznego.

Głośne artykuły prof. Libermanna — z charkowskiego instytutu inżynierii i ekonomiki — na Zachodzie minęły bez echa. „Libermannizm” jest wyraźnym echem współczesnej polskiej myśli ekonomicznej i sprowadza się do propozycji zastąpienia w gospodarce „ukazów” administracyjnych bodźcami ekonomicznymi czyli zyskiem.

Do czego zmiierzają te uwagi? Chciałem wykazać, że obecna pokojowość Sowietów wypływa z piętrzących się trudności zarówno gospodarczych jak i ideologicznych. Z trudności zarówno wewnątrz Rosji jak i w całym bloku wschodnim.

Sowietom w obecnym okresie potrzebny jest pokój i chcą go kupić jak najtaniej. Obawiam się również, że Zachód gotów jest dostarczyć im tego „towaru” po możliwie najniższej cenie i na najdogodniejszych warunkach.

W rzeczywistości obecnie byłby odpowiedni moment aby wyrzucić na Rosję nacisk i wymusić na niej drogą twardych rękawań pewne istotne ustępstwa. Niestety Zachód przeżywa również kryzys, co niezmiernie utrudnia a nawet uniemożliwia prowadzenie jednolitej polityki wobec Sowietów.

Czytając prasę anglosaską można by nabrać przekonania, że jedynym „winowajcą” i autorem europejskiego kryzysu jest generał de Gaulle. Mimo naszego szczerego filoamerykanizmu należy

stwierdzić, że sprawy nie przedstawiają się tak prosto i jednolicie jak stara się to przedstawić prasa amerykańska i angielska.

Jaka jest różnica pomiędzy dyktatem a współpracą?

Maszynista, który prowadzi pociąg, choć całość decyzji spoczywa w jego rękach, nie jest dyktatorem — bo wszyscy pasażerowie wiedzą gdzie jadą i tam jadą gdzie chcą.

W pociągu „atlantyckim” maszynistą jest prez. Kennedy — ale nigdy nie zostało jasno powiedziane dokąd pociąg zmierza.

Przywódstwo jest zawsze współpracą. Komenderować można tylko satelitami. Dyktator nie musi mieć polityki i często jej nie ma. Przywódca musi mieć politykę — bo jak sama nazwa wskazuje wieść można ku czemuś — ku realizacji jakiegoś celu.

Od kryzysu kubańskiego polityka Wschód-Zachód przybiera coraz wyraźniej formę dialogu pomiędzy Waszyngtonem a Moskwą. Jak wiadomo — Mikołaj po dłuższym pobycie na Kubie złożył kilka wizyt w Białym Domu. Treść tych rozmów jak i seria listów Kennedy-Chruszczow nie zostały ujawnione.

Przykładów tego typu można by przytoczyć więcej. Zredukowanie polityki Wschód-Zachód do dialogu Moskwa — Waszyngton — wywołało serię entuzjastycznych ocen w prasie komunistycznej. Artur Hajnicz w prasie warszawskiej pisał dosłownie:

„Po lekcji kubańskiej, zbliżenie i porozumienie dwóch światowych super-mocarstw stało się już zasadniczej wagi postulatem. Nie ma tu mowy oczywiście o małżeństwie z miłości, lecz jak najbardziej wskazane jest małżeństwo z rozsądku”.

Nikt przy zdrowych zmysłach nie może poddawać w wątpliwość praw Amerykanów do przywództwa i nie prawo przywództwa stanowi istotę kryzysu. Nikt również nie kwestionowałby prawa Kennedy'ego do negocjowania w imieniu Zachodu uzgodnionych postulatów z Sowietami. Budzi natomiast obawy przesłanka, że dwa wielkie super-mocarstwa mogą znaleźć płaszczyznę akomodacji i odprężenia kosztem interesów politycznych średnich i małych państw. Odrzuciwszy postulaty małych i średnich narodów można jeszcze ciągle na naszym globie pomieścić wygodnie dwa super-mocarstwa kalibru Rosji i Ameryki.

Zarówno Związek Sowiecki jak i Stany Zjednoczone są mocarstwami terytorialnie sytymi, tzn. nie pragną nowych zdobyczy. Oba mocarstwa są żywotnie zainteresowane w utrzymaniu pokoju, w maksymalnym ograniczeniu i monopolizacji broni atomowych, a Rosja zainteresowana jest również w przypieczętowaniu *status quo* w Europie wschodniej.

Stany Zjednoczone prowadzą politykę globalną ponieważ linia konfliktu z Sowietami przebiega przez cały świat. Ani Francja, ani Anglia polityk globalnych nie prowadzą. Jest oczywiste, że postulaty polityk regionalnych — a w tym sensie i polityka europejska jest polityką regionalną — muszą być podporządkowane polityce i strategii globalnej.

Ale co to jest polityka globalna? Sowieckie bazy na Kubie były zagadnieniem polityki globalnej, lecz sowieckie bazy w centrum Europy w NRD już nie są zagadnieniem polityki globalnej. Trudno oprzeć się wrażeniu, że tylko sfera bezpośredniego zagrożenia Ameryki wchodzi w zakres polityki i strategii globalnej — natomiast wszystko inne może być przedmiotem układu akomodacyjnego. Lecz dla Niemiec Zachodnich, Belgii i Francji bazy sowieckie w NRD stanowią prawdopodobnie większe zagrożenie niż dla Ameryki sowieckie wyrzutnie na Kubie.

Jednak sprawy obrony, choć niezmiernej wagi, nie stanowią istoty kryzysu. Istotą kryzysu jest polityka. Cały problem można ująć w jednym zdaniu: Gen. de Gaulle ma europejską politykę — Amerykanie jej nie mają. Polityka europejska de Gaulle'a w pewnych szczegółach może być błędna — w całości jest niewątpliwie „na wyrost” — ale istnieje. Natomiast amerykańskiej polityki europejskiej w ogóle nie ma. NATO nie było nigdy niczym więcej jak „korpusem ochronnym” powojennego pogranicza. Nigdy nie było instrumentem politycznym.

Wyjście Amerykanów z Europy — z czym zdaje się liczyć gen. de Gaulle — byłoby katastrofą. Za ideał należy uznać Unię Atlantycką, w której Europa odgrywałaby rolę pełnoprawnego partnera. Lecz jeżeli powyższy cel ma być czymś więcej niż pięknie brzmiącym frazesem — nie tylko Europa winna być partnerem Ameryki, lecz i Ameryka musi być partnerem Europy. Co to oznacza? Oznacza to, że Stany Zjednoczone uzgodnione polityczne postulaty europejskie uznać winny za cele globalnej polityki amerykańskiej. Nie mogłoby wówczas być rozróżnienia pomiędzy Kubą a Berlinem, a tym samym nie mogłoby być trwałego odprężenia i akomodacji z Sowietami dopóki Europa jest przepętowiona.

Należy pamiętać, że obecna europejska polityka francuska zapowiadała się inaczej. Gen. de Gaulle proponował w roku 1958 utworzenie dyrektoriatu trzech mocarstw: Ameryki, Francji i Anglii celem koordynacji obrony, gospodarki i polityki zachodniego świata. Projekt ów w Waszyngtonie odrzucono. Kto wie jednak czy ów dyktariat nie stałby się z czasem praktycznym zaczątkiem kierowniczych instytucji Unii Atlantyckiej.

Jeszcze raz należy podkreślić z całym naciskiem punkt następujący. W Europie, podobnie jak w Ameryce, wszyscy pragną odprężenia, likwidacji „zimnej wojny” i utrwalenia pokoju. Lecz ceną za to nie może być zgoda na przypiętowanie *status quo* w Europie. Amerykańska, a ściślej mówiąc anglosaska, polityka akomodacji i odprężenia nie może być w całości zapłacona przez Europę. W tego typu polityce Europa — z de Gaullem czy bez de Gaulle'a — nie może uczestniczyć jako współ-partner. Celem Europy byłoby wówczas współdziałać na rzecz polityki odprężenia amerykańsko-sowieckiej i zrezygnować z wszystkich postulatów, które owemu odprężeniu mogłyby zagrozić.

Nim słowa niniejsze ukażą się w druku z obecnego odprężenia może nie być śladu ani popiołu. Lecz za kilka miesięcy

mogą pojawić się nowe przejawy odprężenia. W znacznej mierze zależeć to będzie od sytuacji wewnętrznej w bloku wschodnim. I wówczas, znowu w świecie anglosaskim, odżyją tendencje łożenia stosunków amerykańsko-sowieckich na bazie uznania nienaruszalności *status quo* kosztem tych, którzy na *status quo* zgodzić się nie mogą i nigdy się nie zgodzą.



Dla przejrzystości i zwięzłości wypunktujmy nasze wnioski:

I. Amerykanie na zachodniej półkuli mają do odzyskania tylko Kubę — Europejczycy mają do odzyskania połowę Europy. Niemcy mają do odzyskania połowę swego państwa po Odrę i Nysę.

II. Najpotężniejszą siłą na kontynencie jest Francja. Nie można ani rządzić Europą ani współpracować z Europą wbrew Francji. Koncepcje wysuwane przez amerykańskich publicystów „obudowania” Francji blokiem pro-anglosaskim są groźne.

III. Anglosaska polityka odprężenia z Sowietami w oparciu o wzajemne przestrzeganie nienaruszalności *status quo* utrwaliby nie tylko podział Niemiec, lecz oznaczałaby również definitywne przypiętowanie losów narodów wschodnio-europejskich.

IV. Europa francusko-niemiecka — poza ramami globalnej polityki amerykańskiej — nie będzie miała możliwości negocjowania swych postulatów z Rosją z pozycji siły. Będzie miała natomiast możliwość zdyskontowania w Moskwie swego „anty-amerykańskiego” nastawienia. Im owo nastawienie będzie bardziej „anty-amerykańskie” i izolacjonistyczne tym stopa procentowa owego dyskonta oferowanego przez Moskwę będzie wyższa. Ow dyskont z całą pewnością nie obejmie narodów wschodnio-europejskich ale — w razie wyjścia Amerykanów z Niemiec zachodnich — może zmienić perspektywę zjednoczenia Niemiec.

V. W moich artykułach podkreślałem wielokrotnie, że istnieje sprzeczność pomiędzy postulatami Niemiec, a polityką NATO. Owa sprzeczność stanowi fundament porozumienia francusko-niemieckiego. Anglosasi po śmierci Dullesa i upadku jego *roll back policy* ukuli legendę, że Niemcy nie pragną zjednoczenia. Bez owego zwrotu w polityce amerykańskiej oś Paryż — Bonn nie doszłaby do skutku. De Gaulle wie doskonale, że jeżeli kiedyś doszłoby do rozmów europejsko-sowieckich — atomowym partnerem w spółce francusko-niemieckiej będzie tylko Francja. Jeżeli Rosja zgodzi się na jakąś formę zjednoczenia Niemiec to z całą pewnością pod warunkiem ewakuacji Amerykanów i pod warunkiem nie uzbrajania Niemiec w bronie atomowe. Francja w ten

sposób nie tylko zachowa całkowity prymat militarny w stosunku do swego niemieckiego sojusznika, lecz zyska dodatkową gwarancję. Tylko w tej formie zjednoczenie Niemiec nie zachwałoby wewnętrznej równowagi sojuszu francusko-niemieckiego.

Z drugiej jednak strony należy obiektywnie stwierdzić, że Amerykanie nie tylko odbudowali Niemcy zachodnie gospodarstwo, lecz również dokonali rehabilitacji Niemiec przyznając im pełny status sojusznika. Obrona Federalnej Republiki niemal w całości spoczywa na Amerykanach. Nie ma przykładu w historii, by pokonany wróg tyle zawdzięczał swemu zwycięzcy ile Niemcy zawdzięczają Amerykanom. Trzeba by czegoś znacznie więcej niż traktatu przyjaźni Adenauer-de Gaulle, by owe fakty wymazać z świadomości współcześnie żyjących Niemców.

VI. Gen. de Gaulle powiedział kiedyś, że Europa mogłaby być sfederalizowana tylko z zewnątrz, tzn. przez Amerykanów. To jest jedna z przyczyn, dla której generał wypowiedział się za Europą „ojczyznę ojczyzn”.

Anglosasi albo Europę sfederalizują albo ją podzielą. Amerykanie i Anglicy nie są w możności zmusić Francji do zmiany nastawienia w stosunku do Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych, ale są w możności wywierać przemożny nacisk zarówno na Niemców jak i na pozostałe cztery państwa z europejskiej szóstki.

VII. Bez zgody i współdziałania Amerykanów nie będzie jedności w Europie. Bez zgody i współdziałania Francji nie będzie również jedności w Europie. Podstawą zjednoczenia Europy musi być całkowite zharmonizowanie polityk Francji i Stanów Zjednoczonych. W sprawach kontynentalnej Europy *special relationship* z Waszyngtonem powinien mieć Paryż a nie Londyn.

VIII. Jeżeli nie dojdzie do pełnego zjednoczenia obejmującego Anglię — Europa w konsekwencji rozpadnie się na dwie części — izolacjonistyczną i prawdopodobnie „pro-rosyjską” oraz na blok pro-anglosaski. Przez „pro-rosyjskość” należy w tym tekście rozumieć indywidualne i izolacjonistyczne wyrównanie stosunków z Moskwą. „Anty-amerykańskość” nawet w cudzośćwach, na szczeblu polityki dużego państwa jest potencjalną „pro-rosyjskością” otwierającą nowe możliwości manewru.

To jest negatyw. A jak wyglądałyby pozytyw?

I. Unia Atlantycka musiałaby oznaczać praktycznie inkorporację politycznych postulatów europejskich do globalnej polityki amerykańskiej.

II. Unia Atlantycka nie może być drugim NATO, zarządzanym przez Amerykanów. Należałoby powrócić do koncepcji gen. de Gaulle'a i utworzyć radę atlantycką, w której Francja i Wielka Brytania na równych prawach odgrywałyby czołową rolę.

III. Inkorporacja postulatów politycznych byłaby aktem dwustronnym. Amerykanie uznaliby uzgodnione postulaty europejskie za cele — choćby dalekofalowe — globalnej polityki amerykańskiej — Europejczycy natomiast uznaliby postulaty globalnej polityki amerykańskiej za swoje cele polityczne.

IV. Tego typu *partnership* byłyby możliwe tylko i wyłącznie poprzez uzgodnienie i zdefiniowanie wspólnej polityki globalnej *vis-à-vis* Związku Sowieckiego.

V. Przez politykę rozumiemy zespół akcji, zmierzających do osiągnięcia pewnego celu. Innymi słowy, cel określa daną politykę. Jeżeli celem polityki amerykańskiej jest odprężenie poprzez akceptację *status quo* wówczas niewątpliwie najlepszą formą polityki wiodącej do osiągnięcia tego celu są negocjacje dwustronne pomiędzy Waszyngtonem a Moskwą. Do tego typu polityki sojusznicy nie są Ameryce potrzebni. Na tej bazie jednak nie można zbudować ani Unii Atlantyckiej ani zjednoczyć Europy.

VI. Zjednoczyć Europę mogliby tylko albo Amerykanie, albo Rosjanie. Amerykanie mogliby zjednoczyć Europę w ramach dynamicznej polityki globalnej, zmierzającej do ustalenia zdecydowanej przewagi nad blokiem wschodnim. Budowa owej przewagi miałaby na celu nie zachowanie *status quo*, ale jego rewizję.

VII. Siła potrzebna jest nie tylko do obrony, ale przede wszystkim potrzebna jest do prowadzenia pokojowych negocjacji. Budowa zdecydowanej przewagi jest koniecznością, jeżeli przyszłe negocjacje mają być owocne.

Weźmy przykład najbliższy. Rozładować „kompleks budapeszteński” w narodach Europy środkowo-wschodniej można by tylko poprzez potężną rozbudowę sił zachodnioeuropejskich. Gdyby zamiast wiecznie zdekompletowanego „pospolitego ruszenia” NATO — stacjonowała w Europie zachodniej potężna armia Unii Atlantyckiej — interwencja sowiecka w Niemczech wschodnich czy w Polsce stałaby się mniej prawdopodobna. Narody wschodnio-europejskie odczułyby zmianę atmosfery i z czasem dały temu wyraz. Owa reakcja nie musiałaby przybierać formy powstania lecz przede wszystkim wzmożonego nacisku na aparat partyjny w kierunku poszerzenia sfery wolności. Zredukowanie ryzyka bezpośredniej interwencji sowieckiej z całą pewnością przyspieszyłoby wybitnie procesy ewolucyjne w państwach satelickich.

Negocjowanie spraw: Berlina, zjednoczenia Niemiec, zmiany statusu państw satelickich a nawet form *disengagement* — wymaga wielkiej rozbudowy i koncentracji sił w Europie zachodniej. To jest możliwe wyłącznie tylko przy aktywnym współdziałaniu Ameryki, a nie w izolacji.

Nie jesteśmy przeciwnikami polityki akomodacji i odprężenia. Wprost przeciwnie. Lecz jedyną akomodacją, o którą warto zabiegać w czasie wojny jest — zwycięstwo, a w negocjacjach pokojowych — sukces.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Potwierdzona alternatywa

Tezy artykułu pt. „Alternatywa” (1) dyskutowałem z przyjaciółmi, a więc przede wszystkim z redaktorem naczelnym „Kultury”, w marcu ubiegłego roku. Wbrew domysłom, z którymi spotkałem się później, nie byłem inspirowany przez żadne czynniki francuskie. Przebieg mego rozumowania był następujący: zbycie milczeniem propozycji gen. de Gaulle’a z września 1958 roku zmierzającej do stworzenia dyktatoratu trzech państw, mających interesy światowe, jako organu kierującego Sojuszem Atlantyckim, zmusiło Francję do nadania będącym już w toku drogi statutu partnera Stanów Zjednoczonych, a więc wpływu na decyzje. Ewolucja strategii amerykańskiej, dopuszczająca możliwość przyjęcia ewentualnego najazdu sowieckiego na Europę siłami klasycznymi, bez natychmiastowego wprowadzenia do działań broni nuklearnych, spowodowała ze strony Francji decyzję uniezależnienia francuskiej siły uderzeniowej od kierownictwa Sojuszu Atlantyckiego i uzyskania w ten sposób własnego strasaka strategicznego, którego uruchomienie musiałyby wywołać starcie nuklearne sowiecko-amerykańskie. Rozpoczęcie sondażu politycznych pomiędzy Waszyngtonem i Moskwą, wynikające najwidoczniej z troski o znalezienie *modus vivendi* w porządku nuklearnym, opartym na równowadze terroru, ale nie przestudiowane z pozostałymi członkami Sojuszu i wzbudzające obawy o zlekceważenie ich interesów żywotnych, było przyczyną zamiaru gen. de Gaulle’a przekształcenia Europy na autonomiczną, choć działającą w ramach Sojuszu Atlantyckiego i sprzymierzoną ze Stanami Zjednoczonymi siłą polityczną, zdolną do politycznego współdziałania z kierownictwem Sojuszu. W tym dążeniu dopatrywałem się możliwości własnych inicjatyw politycznych gen. de Gaulle’a, mogących z czasem stworzyć alternatywę w impasie wynikającym ze zrównoważenia potęgi sowieckiej z amerykańską.

(1) „Kultura”, nr. 9/179 (1962).

Wkrótce potem przysły wydarzenia kubańskie. Obie strony wstrzymują się, jak dotychczas, od ogłoszenia korespondencji, w pewnych chwilach dramatycznej, która doprowadziła do załatwienia tej sprawy. Ale okazało się, bardzo szybko, że Kuba nie była jednostronnym zwycięstwem prezydenta Kennedy. Negocjacja miała przebieg mozolny i doprowadziła do wyniku połowicznego. Sowiety wycofały z wyspy pociski nuklearne, ale pozostawiły znaczną siłę, liczącą podobno 17 tys. ludzi, z zadaniem — według oficjalnych oświadczeń moskiewskich — nauczenia Kubańczyków obchodzenia się z bronią nowocześniejszymi. Kuba zamieniła się w bazę już nie tylko politycznego, ale i wojskowego oddziaływania na kraje Ameryki Łacińskiej. Jednocześnie rozpoczęła się likwidacja amerykańskich baz raketowych we Włoszech i w Turcji. W Paryżu wysnuto z tej sytuacji jedyny wniosek, jaki mógł być wysnuty: kompromis został zawarty na zasadzie przywrócenia poszanowania wzajemnych sfer wpływów. Istnienie impasu zostało potwierdzone.

W tej sytuacji moja „Alternatywa”, jak również pismo, na łamach którego się ukazała, odniosły niemały sukces prasowy i polityczny. Doszły do moich rąk omówienia artykułu na łamach dzienników: berlińskiego „Tagespiegel”, szwajcarskiego, „Journal de Genève”, paryskiego „Le Figaro”, oraz dwa artykuły w „Le Monde”, oparte na moim. Na łamach dzienników i periodyków francuskich zaczyna się spotykać coraz częściej tezy i argumentację „Alternatywy”. Artykuł spowodował dużą ilość spotkań i rozmów w sferach politycznych, gospodarczych i prasowych. Jeden z wielkich tygodników paryskich zrobił mi propozycję napisania portretu politycznego gen. de Gaulle’a. Zdaje mi się, że zainteresowanie „Alternatywą” wynikało z wcześniejszego, niż w prasie francuskiej „rozszyfrowania” (o ile wyrażenie nie jest zbyt ambitne) niektórych aspektów polityki Prezydenta Republiki. Nie uważam tego za szczególną zasługę autora, trzymającego się z dala od francuskich namiętności politycznych i z natury rzeczy posiadającego warunki do zachowania dystansu. Wydarzenia, które nastąpiły po konferencji prasowej gen. de Gaulle’a z dnia 14 stycznia, nie odebrały „Alternatywie” aktualności. Przeciwnie.

W. Brytania i Europejska Wspólnota Gospodarcza

Po zerwaniu rokowań brukselskich premier Mac Millan wystąpił z zarzutem, że skoro Francja była od początku zdecydowana sprzeciwić się kandydaturze W. Brytanii do E.W.G. z zasadniczych względów politycznych, należało to oświadczyć od razu, zamiast prowadzić w ciągu 15 miesięcy rokowania, których wynik był z góry przesądzony. Zarzut powyższy świadczy o zręczności taktycznej angielskiego premiera, ale nie odpowiada prawdzie. Nie było z góry powziętej decyzji niedopuszczenia W. Brytanii do Europy, ale była z góry powzięta decyzja dopuszczenia W. Brytanii pod warunkiem uznania przez nią wszystkich warunków

traktatu rzymskiego z 1957 roku, stanowiącego rodzaj konstytucji Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej. Co do tej zasady, mimo różnych odcieni, europejscy partnerzy Francji byli zgodni, choć woleli, aby ciężar walki o obronę postanowień traktatu rzymskiego spoczywał na delegacji francuskiej. Wbrew propagandzie, ogłoszonej po zerwaniu, w dniu 29 stycznia daleko było jeszcze do uzgodnienia poglądów, zwłaszcza w sprawach wspólnej polityki rolnej, oraz wspólnego ustawodawstwa społecznego. Wiadomo jednocześnie i to co najmniej od podpisania traktatu rzymskiego, że Europejska Wspólnota Gospodarcza była jednym z wyrazów procesu scaleniowego Europy i miała prowadzić do unii politycznej. Nowa orientacja polityki amerykańskiej, zmierzającej do rozwodnienia koncepcji europejskich w szerokich ramach Wspólnoty Atlantycznej, obudziła napięcie uwagi i ostrożności ze strony francuskiej. Wprawdzie administracja amerykańska wysuwa zasadę współprzewództwa amerykańsko-europejskiego Wspólnoty Atlantycznej, ale nie pozostawia europejskiemu współprzewódcy czasu na przekształcenie się w prawdziwego partnera. O ile bowiem Europa gospodarcza, a przynajmniej jej trzon kontynentalny istnieje, o tyle Europa polityczna jest dopiero w fazie projektów. Inaczej mówiąc, polityka amerykańska prezydenta Kennedy przekreśla etap europejski i zmierza bezpośrednio do stworzenia Wspólnoty Atlantycznej pod amerykańskim autorytatywnym przywództwem, o tyle wyłącznym, że europejski partner polityczny jeszcze nie istnieje. W tych warunkach rozpoznanie kierunku ewolucji polityki brytyjskiej nabrało zasadniczego znaczenia z punktu widzenia interesów europejskich. Mimo opozycji partii Pracy i części partii Konserwatywnej wydawało się, że orientacja europejska uzyskuje przewagę, i że W. Brytania skłania się do związania swych losów organicznie z Europą. Jeszcze w czasie spotkania z premierem Mac Millanem w Rambouillet gen. de Gaulle miał prawo spodziewać się, że W. Brytania ewoluje szczerze w kierunku europejskim. Wyniki konferencji w Nassau przekreśliły te nadzieje. Łatwość, a przede wszystkim szybkość, z jaką W. Brytania skapitulowała na rzecz koncepcji atlantycznej, obecnie — z punktu widzenia interesów Europy — co najmniej przedwczesnej, w porównaniu z 15 miesiącami wyczerpujących i niedostatecznie owocnych dyskusji z przedstawicielami E.W.G., usprawiedliwia w zupełności tezę gen. de Gaulle, według której W. Brytania nie dojrzała jeszcze do wejścia do Europy. Od kapitulacji w Nassau, ale dopiero od tej chwili, sprzeciw Francji przeciw przedłużaniu rokowań z W. Brytanią nabrał także charakteru politycznego. Jeżeli w polityce chce się zachować lojalność wobec partnerów, to aktem bardziej lojalnym ze strony Waszyngtonu i Londynu byłoby raczej wystąpienie z propozycją rewizji traktatu rzymskiego, zamiast dążenie do rozszarpania go od środka. Jak wiadomo, choćby z oświadczenia premiera Pompidou, sprzeciw Francji nie jest definitywny. W. Brytania musi naprawdę dojrzeć do wejścia do Europy. To znaczy — musi się związać z interesami kontynentu europejskiego i w

ich ramach, na równych prawach i ale i obowiązkach z pozostałymi członkami Wspólnoty, poszukiwać rozwiązania własnych problemów, stawiając solidarność europejską ponad wszelkimi innymi kryteriami. Zresztą i Europa musi dojrzeć do przyjęcia W. Brytanii. Wyrazem tego dojrzenia będzie wykrystalizowanie się procesu scaleniowego w formie co najmniej związku konfederalnego.

Opozycja przeciwko gen. de Gaulle

Spotkałem się, z wielu stron, z objawami niepokoju, powstałego na skutek reakcji prasy, osobistości i organizmów politycznych, zarówno w Europie, jak w szerszym świecie z powodu rzekomo zbyt brutalnego potraktowania W. Brytanii przez gen. de Gaulle'a zarówno w czasie konferencji 14 stycznia, jak przez sposób zerwania rokowań brukselskich. Może będę odosobniony, ale uważam, że gen. de Gaulle potraktował W. Brytanię na konferencji prasowej z 14 stycznia z wyjątkową elegancją, mówiąc o jej przeszłości wojennej. Ostatecznie jednak trzeba było powiedzieć to, co było istotą wystąpienia, ale i to było dokonane przyzwyczajenie. Wbrew pozorom to nie forma obudziła reakcję, lecz treść, ale to było nieuniknione. Od dawna wiadomo, że gen. de Gaulle posiada właściwą sobie metodę działania, która, choć mało konformistyczna, okazuje się na dłuższą metę skuteczna. Po pierwsze, gen. de Gaulle ma zwyczaj mówienia: „król jest nagi” wówczas, kiedy jeszcze ogół ulega złudzeniom. Następuje okres popłochu, po czym okazuje się, że istotnie, król jest nagi. Po kilku dniach osłupienia i zamieszania w kołach prasowych i politycznych głosy rozsądku, wzywające do dokonania spokojnej analizy polityki gen. de Gaulle'a zaczynają rozlegać się coraz częściej. Po drugie, gen. de Gaulle, nie uważa polityki za monopol klasy uprzywilejowanej, zorganizowanej w partiach politycznych, lecz usiłuje dla swoich idei wytworzyć jak najszerszy nurt masowy w warstwach ludowych. Francuskie partie polityczne przypisują utratę swoich wpływów w masach depolityzacji społeczeństwa, m.in. na skutek poddania się autorytetowi opatrnościowej jednostki. W istocie każdy, kto zna Francję, przyzna, że nigdy społeczeństwo francuskie nie było tak obudzone politycznie, jak od chwili zastosowania przez Prezydenta Republiki metody bezpośredniego kontaktu przez referendum, podróże na prowincję, konferencje prasowe i przemówienia. Nie ma żadnej pewności, czy protesty i krytyki osobistości politycznych i prasy w krajach E.W.G. posiadają pełne pokrycie w nastrojach mas. Co do Francji, to wiadomo, jako o tym świadczą chociażby sondaże Instytutu Badania Opinii Publicznej, że tego pokrycia nie ma. Raczej przeciwnie.

Są jednak i głębsze, a nawet uzasadnione przyczyny głosów krytycznych. Kraj, który przegrał wojnę, jak Francja, potrzebuje czasu, aby obudzić zaufanie i to pomimo niewątpliwej dynamiki

rozwojowej, jaką od zakończenia wojny wykazuje we wszystkich dziedzinach i pomimo, że nareszcie, po długich dekadach anarchii parlamentarnej, wszedł w okres stabilizacji politycznej i skutecznego systemu rządów. Nad wszystkimi, najbardziej uzasadnionymi interesami panuje poczucie zagrożenia przez Sowiety i przekonanie, że tylko Stany Zjednoczone przedstawiają realną gwarancję bezpieczeństwa. Przyzwyczajenia, rutyna i brak wyobraźni klas przywódczych odbierają im odwagę poszukiwania rozwiązań nowych, a w każdej próbie tego rodzaju każą dopatrywać się ryzykanctwa i awanturniczości. Mało kto zadaje sobie wysiłek zrozumienia de Gaulle'a. Osobiście przypuszczam, że mało który z polityków czytał jego wspomnienia wojenne, zwłaszcza tom III, będące kluczem do całej działalności generała, jako męża stanu. Większość dopatruje się raczej aspektów negatywnych, a zamiast koncepcji, widzi uprzedzenia. Polityka szefa państwa francuskiego uchodzi za antyamerykańską gdy jest tylko gaullistowską. Rzadko można spotkać polityka tak zimnego, tak zupełnie wyzutego z pasji i z uczuć, z sympatii i antypatii (jako motywów działania), jak de Gaulle. Jego jedyną pasją jest otwarcie przed Francją drogi do wielkości. To ta pasja spowodowała, że stał się bardziej europejski, niż inicjatorzy idei europejskiej. Większość z nich opuściła swój ideał na rzecz innej koncepcji wtedy, gdy właśnie zaczyna on dojrzewać do realizacji. Mało kto z oficjalnych Europejczyków zdaje sobie sprawę z faktu, że supermocarstwo amerykańskie może znakomicie prosperować i współżyć z sowieckim supermocarstwem mimo przepełnienia Europy. Wszyscy się łudzą, że bezwarunkowa wierność Ameryce prowadzi do rozwiązania problemów, wynikających z kontroli sowieckiej nad połową Europy, mimo, trzeba to przyznać bezstronnie, że Ameryka nie wprowadza nikogo w błąd i nie czyni niczego, co upoważniałoby do przypisywania jej innych zamiarów, jak ułożenie *modus vivendi* ze Związkiem Sowieckim na zasadzie zachowania *status quo* terytorialnego. I wreszcie, trzeba się nauczyć rozróżniać pomiędzy zamierzeniami i rzeczywistością. De Gaulle dopiero tworzy instrument swego działania politycznego na wielką skalę, ale jego europejscy partnerzy są pod presją zagrożenia bezpośredniego. Podchwycenie przez Niemcy i Włochy amerykańskiego projektu utworzenia w ramach Sojuszu Atlantycznego zbiorowej siły nuklearnej zapewnia tym państwom jedyną możliwość dostępu do zbrojeń atomowych, mimo, że iluzoryczną, na skutek niedopuszczenia do udziału w decyzji. Nie przesądza to jednak o ich stosunku do Francji, jako gwaranta bezpieczeństwa europejskiego członka Sojuszu Atlantycznego z chwilą, kiedy francuska siła uderzeniowa wejdzie w stan gotowości, czyli w ciągu najbliższych dwóch lat.

Stosunek do Sowietów, odwrócenie aliansów

Na ten temat zadano mi najwięcej pytań, zarówno ze strony

polskiej, jak francuskiej. Widać, że wytworzyło się w tej dziedzinie coś w rodzaju psychozy i czasami zadają sobie pytanie, czy nie przyczyniłem się do jej wywołania jakimiś niezręcznościami, popełnionymi we wrześniowym artykule. Powstało we mnie to podejrzenie, gdy znalazłem w liście wybitnego, polskiego dziennikarza następujące zdanie: „Dziś, gdy tyle się mówi o planach de Gaulle'a negocjacji z Rosją, Pańska interpretacja zasługuje na szczególną uwagę”. Odpowiedziałem mu, że wyczuwam u niego domysł, który niebardzo mi odpowiada. Moim zdaniem nie ma planu de Gaulle'a negocjacji z Rosją, istnieje natomiast plan stworzenia Europy, w której Francja znalazłaby możliwość powrotu do roli, którą de Gaulle uważa za jej misję dziejową. W dalekiej wizji politycznej de Gaulle'a Europa zajmuje własną pozycję, na równi z Ameryką i z Sowietami, ale na bliską metę zamierza on niewątpliwie przeprowadzać proces emancypacji Europy w ramach i pod osłoną Sojuszu Atlantycznego. Ten proces emancypacyjny jest koniecznym warunkiem bądź wprowadzenia do celów politycznych Sojuszu Atlantycznego postulatów, obchodzących żywotne interesy Europy, bądź, gdy to się nie uda, próby rozwiązania spornych spraw europejskich bezpośrednio z Sowietami. Ta druga ewentualność wynika z przekonania de Gaulle'a o niezdolności Stanów Zjednoczonych do rozwiązania spraw europejskich w ewentualnej negocjacji z Sowietami inaczej, jak przez usztywnienie żelaznej kurtyny. Claude Serreulles pisze na łamach „Le Monde” z dnia 8 lutego, że Stany Zjednoczone wysnuwają ze swej wyjątkowej pozycji w ramach Sojuszu Atlantycznego wnioski, że są lepszymi sędziami w sprawach bezpieczeństwa Europy, niż sami Europejczycy. Wszystko, co może ofiarować Ameryka, to dożywotnie zainstalowanie się w zimnej wojnie. „Po raz pierwszy mąż stanu Zachodu sugeruje inną drogę. Ta droga nie będzie w niczym sprzeczna z tą, którą posuwają się Stany Zjednoczone. Będzie to drogi równoległa. Ale będzie ona właściwą dla Europy i tylko sama Europa z własnej inicjatywy może się w nią zaangażować”.

Trzeba tylko, aby Stany Zjednoczone zechciały uznać pożytek tego równoległego toru europejskiego.

„Oczywiście, pisze Serreulles, nie będzie to sprawą jednego dnia. Jedno pokolenie zostało poddane reżymowi Jałty. Może trzeba będzie czasu drugiego pokolenia, aby się od Jałty uwolnić. Trzeba jednak mieć odwagę zacząć tę ewolucję. Tymczasem już samo zapoczątkowanie wywołuje skandal i osłupienie. Zrywa bowiem z 20 latami przyzwyczajęń myślowych. Proponowana przez gen. de Gaulle, który wykazał w sprawie Berlina (a także w sprawie Kuby — przyp. mój) stanowczość bez skazy, może ona z trudem uchodzić za ustępstwo wobec Sowietów. Idea wywołuje szok, po prostu dlatego, że jest nowa”.

Obok przypuszczeń sensownych, choć źle rozmieszczonych w czasie, zaroilo się w świecie od pogłosek panicznych, będących bądź wytworem wyobraźni dziennikarskiej, bądź wręcz wynikiem

intryg, mających poderwać zaufanie do Prezydenta. Do tej kategorii należą insynuacje o dążeniu do zerwania, a nawet odwrócenia systemu sojuszków, którymi Francja jest związana. Przypisuje się Francji zamiar przejścia z bagażami z Obozu Atlantycznego do sowieckiego. To już nie jest antycypacja, a zwykły absurd. Idea poprowadzenia przyszłej Europy, opartej na pojednaniu z Niemcami, do obozu sowieckiego, należy do niedorzeczności, które nie bawią nawet Chruszczowa, pomimo cechującego go poczucia humoru. Dowiódł tego protestem przeciwko traktatowi paryskiemu, podpisanemu w styczniu przez de Gaulle'a i Adenauera. Co prawda, nota sowiecka ostrzega głównie przed zbrojeniami nuklearnymi Niemiec. Ponieważ Francja nie ma, jak na razie, wiele do ofiarowania Niemcom, w przeciwieństwie do zrobionej im przez Amerykę propozycji udziału w zbiorowej sile nuklearnej Paktu Atlantycznego, wolno przypuszczać, że protest skierowany jest właściwie pod adresem Stanów Zjednoczonych. Francja odgrywa w tym wypadku rolę Albanii, to znaczy, rolę adresu pośredniego.

Wspomniany wyżej mój polski korespondent nie jest wcale odosobniony, gdy mi zadaje pytanie, czy bliski jest moment, kiedy de Gaulle wystąpi pod adresem Moskwy z propozycją negocjacji, której możliwość dopuszczałem w „Alternatywie”. Odpowiedziałem, że o wiele trudniej jest przewidzieć posunięcia taktyczne, niż odcyfrować ideę operacji. Mnie się zdaje, że jeżeli de Gaulle będzie miał całkowitą swobodę manewru taktycznego, to znaczy — jeżeli nie będzie potrzebował liczyć się z przeciwdziałaniem, a zwłaszcza z pośpiechem Departamentu Stanu, który zmierza do układu wyłącznie rosyjsko-amerykańskiego, to wystąpi z inicjatywą nie prędko, co nie wyklucza ewentualnych posunięć sondażowych za pośrednictwem jednego z państw satelickich, najprawdopodobniej Polski. Wychodzi on bowiem z założenia, że skutecznie mogą rozmawiać tylko partnerzy i że dopiero stworzenie przynajmniej pierwszej generacji *force de frappe* uczyni z Francji partnera dla Rosji. Jak zresztą i dla Stanów Zjednoczonych. De Gaulle jest zbyt wielkim realistą, aby się narażać na ryzyko. Oceenia on na chłodno wszystkie atuty swej gry i gdy wychodzi z inicjatywą publiczną, to najczęściej w dwóch wypadkach: albo dla dokonania rozpoznania, albo gdy sprawa na jego szczeblu myślenia już jest rozegrana. Wbrew posądzeniom, opartym na pozorach, de Gaulle nie zamierza dążyć do rozwiązania Paktu Atlantycznego tak długo, jak długo uważać go będzie za pożyteczny. Przeciwnie, to pod jego osłoną chce zrealizować swoją politykę. Więcej, moim zdaniem nie zaniechał on wcale zamiaru zjednania Stanów Zjednoczonych dla swej polityki choć to się może wydać w obecnym stanie nastrojów nieprawdopodobne. Oceenia on, słusznie czy niesłusznie, że Kennedy i jego sztab polityczno-wojskowy mają swój plan, który uważają za jedynie dobry i na temat którego nie przyjmą żadnej dyskusji, a tym bardziej korektyw. W tej sytuacji wybrał metodę faktów dokonanych, sprawiających wrażenie nieodwracalności. Zdaje mi się, że rozu-

mowanie jego pod adresem Amerykanów jest następujące: „Nie chcecie ze mną rozmawiać, wobec tego będziecie musieli się do mnie przystosować. A gdy już nie będziecie mogli się przystosować, to wówczas zaczniecie rozmawiać. A wtedy zobaczymy...”.

Siła uderzeniowa jako atut polityczny

Główny wysiłek propagandy przeciwko tworzeniu przez Francję niezależnej siły atomowej ześrodkowany jest na jej rzekomej bezskuteczności i na marnotrawieniu funduszków, które, zdaniem krytyków, powinny być użyte na rozbudowę sił klasycznych. Trzeba zacząć od zburzenia legendy, jakoby Francja ograniczyła swój wysiłek zbrojeniowy wyłącznie do siły atomowej. W wykonaniu zarówno budżetowym, jak technicznym, znajduje się poważny program wzmocnienia i rozwoju nowoczesnych sił morskich, których główna eskadra skoncentrowana będzie w r. 1965 w portach bretońskich. Co do sił lądowych, to niezależnie od 2 dywizji „atlantycznych”, oddanych do dyspozycji dtwa OTAN-u, zapadła decyzja stworzenia 5 do 6 najnowocześniejszych dywizji interwencyjnych, z których każda kosztować będzie 400 mln. dolarów rocznie. Okres realizacyjny tego programu trwać będzie około 10 lat, z uwagi na kosztą i możliwości wytwórcze przemysłu wojennego, zmuszonego liczyć się z szybkością postępu technicznego i wynikającą stąd koniecznością częstych zmian prototypów. Jest jednak prawdą, że główny wysiłek został skierowany na budowę atomowej siły uderzeniowej, jako atutu, mającego podnieść Francję do rangi partnera Stanów Zjednoczonych i Związku Sowieckiego. Pierwsze pokolenie siły uderzeniowej, złożone z 50 lekkich bombowców ponaddzwiękowych typu „Mirage IV”, wyposażonych w bomby atomowe zacznie wchodzić w życie pod koniec bieżącego roku i będzie skompletowane w roku 1965. Drugie pokolenie mające się składać z raket jest jeszcze w końcowej fazie studiów. Pomiędzy różnymi problemami technicznymi, które wymagają decyzji, odbywają się rozważania nad wyborem najbardziej celowego środka transportowego pocisków, które będą już uzbrojone prawdopodobnie w bombę H. Chodzi o wybór pomiędzy wyrzelnikiem z wyrzutni naziemnych, z samolotów i z okrętów podwodnych, lub innych jednostek ruchomych. Realizacja tego programu przewidziana jest na lata: 1968-70.

Z punktu widzenia naszych zainteresowań politycznych istotne jest wiedzieć, w jakim stopniu skromniutka siła uderzeniowa, jaka powstaje obecnie we francuskich zakładach przemysłu atomowego, posiada warunki do odegrania roli atutu w polityce granicznej epoki gaullistowskiej. W „Alternatywie” użyłem określenia: „zapalnik” w stosunku do siły nuklearnej Stanów Zjednoczonych. Ten efektowny termin zrobił wrażenie, a nawet zaczyna się przyjmować w języku dziennikarskim, ale naraził mnie na zacięte dyskusje i zmusił do bliższych precyzji. Czytelnik „Kul-

ture" wybaczy mi apokaliptyczny obraz, jaki muszą roztoczyć i niech mi zaufa, że chodzi tylko o dialektykę. Właściwe rozważania techniczne przeprowadzili dawno i wysnuli z nich właściwe wnioski doradcy Kennedy'ego i Chruszczowa.

Trzeba przedtem zburzyć drugą legendę, tę mianowicie, która mówi o nieaktualności samolotu, jako środka, mającego donieść pocisk atomowy na cel, strzeżony siecią radarów i nowoczesną obroną przeciwlotniczą. Eskadra samolotów typu „Mirage IV” o szybkości ponaddzwiękowej i wyposażonych w narzędzia elektroniczne do mylenia radarów będzie miała straty, ale posiada wszystkie warunki doniesienia ładunku na odległość Leningradu, Moskwy, lub urządzeń przemysłowych Dnieprostroju. Z chwilą dostarczenia zamówionych w Ameryce samolotów cystern, które pozwolą na uzupełnianie paliwa w powietrzu, promień działania „Mirage IV” wydłuży się w stopniu, pozwalającym na powrót do bazy.

Wyobraźmy sobie teraz najazd sowiecki na Europę Zachodnią armiami klasycznymi, wspomaganymi przez zagony spadochronowe na tyłach frontu i działaniami rewolucyjno-sabotażowymi piątych kolumn. Prezydent Republiki wydaje rozkaz użycia siły uderzeniowej. W kilka godzin później kilka wielkich miast sowieckich leży w gruzach, a straty ludzkie wynoszą wiele milionów. Przeciwko komu szef rządu sowieckiego skieruje masowy, potężny odwet nuklearny? Przeciwko Francji? Rozwój nowoczesnej techniki wojennej przekreślił większość zasad strategii napoleońskiej, ale przecież niektóre z nich zachowują ciągle swoją moc. Między innymi zasada koncentracji sił przeciwko głównemu przeciwnikowi i na głównym kierunku. Albowiem klęska głównego przeciwnika powoduje automatycznie upadek przeciwników drugorzędnych. Kto jest głównym przeciwnikiem w razie zaatakowania Europy, objętej Sojuzem Atlantyckim? Oczywiście Ameryka z jej potęgą nuklearną. To przeciwko niej, może nie wyłącznie, ale przede wszystkim przeciwko niej poszedłby odwet sowiecki. Oto rola zapalnika, doprowadzona do końca przez skromniutką, francuską siłę uderzeniową.

Przeciwstawiono mi jednak argument. A co będzie, jeżeli Sowiety będą miały zapewnienie neutralności nuklearnej Stanów Zjednoczonych pod warunkiem, że same nie uciekną się do bombardowań nuklearnych przeciwko terytorium Ameryki? Aby taki układ mógł stanąć, trzeba, żeby Ameryka pogodziła się z góry z opanowaniem przez Sowiety europejskiego potencjału przemysłowego, złożonego z 300 wielkich pieców hutniczych, z tysięcy fabryk chemicznych i mechanicznych, (produkujących m.in. 5 milionów samochodów rocznie), elektrycznych, elektronicznych itd. Otóż supermocarstwo amerykańskie może znakomicie istnieć i prosperować obok supermocarstwa sowieckiego, ale nie pod warunkiem zamknięcia się w twierdzy amerykańskiej, z której nie byłoby już innego wyjścia, jak tylko kapitulacja. Ale przyjmijmy dla celów dialektycznych i taką ewentualność. Sowiety kierują

odwet nuklearny tylko na Francję i zamieniają ją w radioaktywne rumowisko. W kilka godzin po zakończeniu operacji odwetowej przekonamy się, że Stany Zjednoczone wygrały wojnę nie kiwnąwszy palcem. Do kogo bowiem, jak nie do Ameryki mógłby się zwrócić sowiecki „zwycięzca” o pomoc i ratunek ze skutków swego zwycięstwa? Na warunki, które Ameryka miałaby możliwość wówczas narzucić, nie można byłoby odpowiedzieć nowym atakiem nuklearnym, bo w takiej zabawie nie może już być drugiego zrywu. Powstanie francuskiej atomowej siły uderzeniowej, pomimo jej skromnych rozmiarów, otwiera tylko dwie perspektywy: skierowanie odwetu przeciwko Ameryce ze wszystkimi skutkami tego ataku, albo wyrzeczenie się idei zbrojnego najazdu na Europę. W jednym wypadku zapalnik, w drugim straszak. Walter Lippmann nie ma racji obecnie, gdy troszczy się o finanse francuskie. Ale miał rację w lipcu roku 1962, gdy pisał pod bezpośrednim wrażeniem pomysłu gen. de Gaulle: „...jeżeli Francja będzie w stanie zadać pierwszy cios w wojnie atomowej i zmusić Stany Zjednoczone do przyłączenia się do niej, decyzja o wywołaniu konfliktu przestanie należeć do Waszyngtonu. Inicjatywa strategii nuklearnej przypadnie Europie kontynentalnej”.

Perspektywy

Wśród steku inwektyw, którymi obrzucono gen. de Gaulle'a po zerwaniu rokowań brukselskich, nie było ani logiki, ani zdrowego sensu, ani oryginalności. Zarzucono mu upokorzenie W. Brytanii, zapominając o policzku, wymierzonym jej nieco wcześniej przez Achesona („W. Brytania straciła imperium, a nie znalazła swej roli”) i o upokorzeniu jej przez prezydenta Kennedy wymuszeniem kapitulacji w Nassau. Posądzono go o zamiar odwrócenia aliansów, ale to nie francuska, lecz angielska delegacja, złożona ze stu kilkudziesięciu kierowników firm pod przewodnictwem magnata prasowego Roy Thomsona znalazła się w Moskwie w pierwszym tygodniu lutego, co świadczy o tym, że ta wyprawa po problematyczne złote runo została przygotowana jeszcze przed konferencją prasową z 14 stycznia i przed zerwaniem w Brukseli. Nie brakło porównań z blokadą kontynentalną, z Napoleonem, z Hitlerem, świadczących zarówno o niezajomości historii, jak o braku zrozumienia dla tego, co się dzieje obecnie. Mówiono nawet o represjach, padła pogrózka na temat możliwej izolacji Francji. Zapomniano, że nabywca, który ma czym płacić i może zmienić dostawcę jest dobrym klientem, a dobry klient nie lęka się izolacji. Ta prawda dotyczy zarówno jednostki, jak państwa. Francja w samy tylko r. 1962 zarobiła w handlu zagranicznym 1,2 miliarda dolarów, z czego połowę wypłaciła Stanom Zjednoczonym tytułem spłaty długów (150 milionów spłat terminowych, 450 milionów spłat przedterminowych). Rezerwy finansowe Francji wynoszą 4 miliardy dolarów, z czego 70% w złocie, a reszta w dola-

rach. Na postawie niepisane go porozumienia z Bankiem Federalnym główne banki europejskie zobowiązały się nie wymieniać na złoto całości swych rezerw dolarowych, aby nie pogarszać słabości dolara. Gdyby Francja znalazła się w sytuacji, zmuszającej ją do usprawiedliwionej obrony, mogłaby z łatwością wprawić Amerykę w wielki kłopot, wystawiając miliard dolarów do wymiany na złoto i pociągając za sobą innych europejskich posiadaczy dolarów, którzy nie wahaliby się długo, aby pójść w jej ślady z obawy o dewaluację tej monety. Aby sobie zdać sprawę z wagi tego problemu, wystarczy pamiętać, że zapasy złota Stanów Zjednoczonych odpowiadają wartości 13 miliardów dolarów, a w Europie sześciu i w Europie „strefy wolnej wymiany” 20 do 23 miliardów dolarów. W Ameryce panuje pełna świadomość tego stanu rzeczy i dlatego Walter Lippmann, z właściwą sobie finezją, próbuje grozić:

„Europejczycy dysponują hipoteką na znacznej części naszych rezerw złota, które nie przestają się kurczyć; może to spowodować pewnego dnia zarządzenia ochronne jak najbardziej niepożądane”. Wolne żarty, panie Lippmann. Państwo, przywodzące połowie świata i nie ukrywające swych dążeń do sprawowania hegemonii politycznej i gospodarczej w świecie wolnym, nie może ogłosić niewypłacalności. Przeciwnie, grożąca realnie w wyniku stagnacji gospodarczej W. Brytanii, zwłaszcza po zerwaniu w Brukseli, dewaluacja funta zmusi Stany Zjednoczone do porozumienia się z Europą, a więc i z Francją, w sprawie niedopuszczenia do tej ewentualności, a gdy ona okazałaby się nieuniknioną, to przynajmniej w sprawie ograniczenia jej następstw.

„Obok współzależności finansowej jakiegokolwiek represje ze strony Stanów Zjednoczonych są nie do pomyślenia z uwagi na pozycję strategiczną Francji w ramach Sojuszu Atlantyckiego. Przez jej terytorium przechodzą linie komunikacyjne sił amerykańskich w Niemczech, od jej stanowiska zależy możliwość uszykowania w głąb całego europejskiego dyspozytywu obronnego, ona zapewnia warunki jakiegokolwiek manewru sił klasycznych”.

Podobnie nierealne są możliwości rozkładu Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej, lub antyfrancuskich złośliwości w jej łonie, proponowanych w pierwszej chwili przez pp. Lunsę i Spaaka. Nikt nie rozwiązuje spółki, która się udała, a nie było jeszcze w historii gospodarczej świata przedsięwzięcia tak prosperującego, jak Wspólny Rynek. W chwili, gdy piszę te słowa, mijają dwa tygodnie od przerwania rokowań brukselskich i namiętności zaczynają opadać. Wspólnota gospodarcza trwa i będzie trwać mimo nieobecności Anglii. Jedyńm, praktycznym skutkiem złęgo humoru jest odroczenie proponowanej przez Francję konferencji w sprawie inwestycji amerykańskich. Ponieważ narada w tej sprawie leży w interesie wszystkich członków Wspólnoty, odroczenie ma z całą pewnością charakter chwilowy. Francja nie proponuje zresztą jaskrawych zarządzeń protekcyjnych, które trudno stosować w ustroju liberalnym. Chodzi raczej o położenie zrębów,

wspólnej polityki inwestycyjnej i finansowej, oraz o uniknięcie takich anomalii, jak ta, na którą zwraca uwagę „Financial Times” w artykule swego czołowego publicyisty, Lombarda. Dowodzi on mianowicie, że amerykańskie inwestycje kapitałowe w Europie wynoszą od kilku lat średnio 2 miliardy dolarów rocznie przekraczając tylko nieznacznie wysokość wpływów dolarowych z Europy z tytułu spłaty długów długoterminowych i ich kosztów. Innymi słowy, Europa finansuje amerykańskie inwestycje kapitałowe na swoim własnym terenie, co już wkracza w dziedzinę absurdu. Drugim zagadnieniem, które zmusi Europejską Wspólnotę Gospodarczą do zacieśnienia współpracy, jest objaw zadyszki w zakresie ekspansji przemysłowej. Objaw ten wynika z wysokiej skali nasycenia produkcyjnego, osiągniętego w ciągu ostatnich lat. Stopa ekspansji przemysłowej utrzymywała się przez długi czas na poziomie średnim 6% rocznie, czyli 3 razy więcej, niż w Ameryce, a 4 razy więcej, niż w W. Brytanii. Utrzymanie tego rytmu wzrostu produkcji bez końca jest, oczywiście, niemożliwe bez rozszerzenia rynków zbytu wewnętrznych i zewnętrznych, oraz bez stworzenia rynków nowych drogą uprzednich inwestycji w krajach gospodarczo niedorozwiniętych. Brak rąk roboczych powodujący nacisk płac, oraz konieczność utrzymywania niskich cen, wynikająca z konkurencji, wywołały zmniejszenie dochodowości przedsiębiorstw, a w następstwie — kurczenie się inwestycji prywatnych. Od 2 lat widać objawy zadyszki w zakresie przemysłu ciężkiego, a więc w stali i w ciężkim przemyśle mechanicznym. Idą na pełnych obrotach przemysły przetwórcze, zwłaszcza samochodowy, ale już wiadomo, że osiągnie on koło roku 1970 zdolność produkcyjną 8 milionów pojazdów rocznie przy wzroście pojemności rynku do 6 milionów. Powaga zarysowujących się problemów z jednej strony, a wyniki skoordynowanej gospodarki z drugiej strony przybrały rozmiary, wykluczające niebezpieczeństwa rozkładowe wewnątrz Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej.

W drugim tygodniu lutego zaczęły się rozlegać głosy otrzeźwienia i zrozumienia dla polityki francuskiej. Pojawiły się one nawet w Anglii, są coraz liczniejsze w Ameryce i wszystko przemawia za tym, że będą się wzmacniały na sile. Powinny one doprowadzić do pogodzenia się z tym, co jest nie do uniknięcia, a na tym gruncie do rozwiązań pozytywnych, leżących w interesie całego świata zachodniego, a nie tylko w interesie jego amerykańskiego przywódcy. Jest nie do uniknięcia autonomia Francji w dziedzinie atomowej, bo de Gaulle'a nie można zmusić do kapitulacji, jak Mac Millana. A skoro uznać nieodwracalność tego faktu, to w interesie samej Ameryki powinno by leżeć wysnocenie wniosków pozytywnych. Powinny one prowadzić do uznania równoległego faktu europejskiego i pozostawienia mu czasu dla rozwinięcia się. Decyzja stworzenia zbiorowej siły nuklearnej wewnątrz Sojuszu Atlantyckiego przy udziale jego europejskich partnerów oznacza już początek ustępstw amerykańskich. Ich dalszym, logicznym ciągiem będzie przyznanie Europie prawa na-

ciśnięcia jęczyczka spustowego w oddanym do jej dyspozycji i zbudowanym przy jej finansowym udziale karabinie nuklearnym. Ponieważ nie można tego prawa przyznać Niemcom ze względów, dla nich samych doskonale zrozumiałych, ponieważ W. Brytania nie umiała tego prawa obronić, dlaczego nie przyznać go Francji, która je sobie i tak wzięła, przystępując do niezależnego wysiłku atomowego? Tylko na tej drodze można stworzyć europejską siłę nuklearną i nadać Sojuszowi Atlantyckiemu nową treść. Jeżeli chodzi o politykę Stanów Zjednoczonych, to znany i zrozumiały jest tylko jeden jej aspekt, polegający na dążeniu do ułożenia *modus vivendi* nuklearnego ze Związkiem Sowieckim. Jeżeli ta polityka ma prowadzić do utrwalenia podziału świata na dwie strefy wpływów w oparciu o *status quo* terytorialne, czyli do impasu w stosunkach ze Związkiem Sowieckim, to taka polityka Europie nie może odpowiadać i będzie przez nią, prędzej czy później odrzucona. Wiadomo, jak bardzo wsłuchany jest gen. de Gaulle w odgłosy procesów, zachodzących po drugiej stronie żelaznej kurtyny i znane jest jego dążenie do wyjścia z impasu i do podjęcia próby rozwiązania wytworzonych przez drugą wojnę światową problemów europejskich. Dlaczego nie powrócić do idei, rzuconej w roku 1958 i nie stworzyć dyrektoriatu Sojuszu Atlantyckiego, do którego przedstawiciel Europy wniósłby cele polityczne swego kontynentu, cele, których realizacja doprowadziłaby do odprężenia na obszarze od Atlantyku do Uralu? Przemawiając w izbie na temat polityki francuskiej, min. spr. zagr. Couve de Murville oświadczył, że traktat z Adenauerem nie powoduje żadnej zmiany w zajętych poprzednio stanowisku Francji wobec innych problemów. Wśród nich znajduje się, oczywiście, sprawa granicy na Odrze i Nysie. Podobno, jak wynika z komentarzy waszyngtońskiego przedstawiciela „Journal de Genève” z 11 lutego, prezydent Kennedy również poruszył zagadnienie tej granicy w rozmowie z niemieckim podsekretarzem stanu do spraw zagranicznych, Carstensenem, ale w formie pogroźki, że gotów ją uznać, jeżeli Republika Federalna zamierza solidaryzować się z Francją w polityce granicznej. W tych warunkach moralnych któż, jak nie Francja, może być bardziej powołany do przyjacielskiego wytłumaczenia Niemcom, że ich pojednanie z Polską jest tak samo możliwe, jak z Francją, ale pod warunkiem dokonania aktu wstępnego, polegającego na uznaniu obecnej granicy zachodniej Polski. Któż, jak nie Francja, jest bardziej powołany do wytłumaczenia Niemcom, że ich zjednoczenie może się dokonać tylko w klimacie odprężenia, kiedy Sowiety przestaną być uważane za jedyne gwaranta granicy, której i tak żadna siła na świecie zmienić już nie potrafi bez wojny. Pozostawiając Anglii czas dla dojrzenia do wejścia do Europy, gen. de Gaulle zrobił jednocześnie propozycję przystąpienia Danii i Norwegii. Wymowa tego gestu jest jasna: Francja nie ogranicza Europy do sześciu jej członków dzisiejszych, ale ją rozszerza na obszar całego kontynentu. Przedłużając Europę w kierunku Skandynawii, a w przyszłości i w kierunku Madrytu, otwiera gen. de Gaulle perspektywę na prze-

dłużenie w kierunku Warszawy, Pragi i Budapesztu, w kierunku Bukaresztu i Sofii, a po dokonaniu się pewnych warunków także w kierunku Moskwy i Uralu. Wszystko zdaje się wskazywać na to, że alternatywa, otwarta przez powrót Francji do czynnej roli w polityce międzynarodowej po zakończeniu wojny algierskiej wyszła z kryzysu brukselskiego nie tylko potwierdzona, ale wzmocniona.

12 lutego 1963 r.

Aleksander KAWAŁKOWSKI

Kronika angielska

„CHAMY I ŻYDY”

Artykuł W. Jedlickiego pod powyższym tytułem ogłoszony w grudniowym numerze „Kultury” — wywołał liczne echa i komentarze listowne. Prasa emigracyjna w większości przemilczała Jedlickiego. Dla naszych „niezłomnych” już 6 lat temu było oczywiste, że Październik był wyreżyserowaną szopką więc po co dziś tym się zajmować.

Jedlicki jest młodym człowiekiem i nieodrodnym dzieckiem swojej epoki. Podobnie jak komuniści, zdradza tendencje do upraszczania i sprowadzania całości zjawisk danego okresu do wspólnego mianownika. Historia nie ma wspólnego mianownika ani nie ma generalnego „klucza”. Owym wspólnym mianownikiem, do którego Jedlicki stara się sprowadzić cały polski Październik, jest międzypartyjna walka o władzę. W tym stwierdzeniu nie ma fałszu. Fałszem byłoby natomiast twierdzić, że nie było niczego więcej.

Wyobraźmy sobie salę kinową w której odbywa się wyświetlanie wstrząsającego, tragicznego filmu. Wszystko jest wyreżyserowane. Aktorka na ekranie płacze glicerynowymi łzami, lecz wzruszenie widza na widowni jest autentyczne i jego łzy nie mają nic wspólnego z gliceryną.

Październik ma dwa oblicza — część reżyserowaną i autentyczną. Rozmawiałem z dziesiątkami ludzi Października, z których wielu było członkami partii. Linia pomiędzy reżyserią a autentyzmem nie zawsze była łatwa do wykreślenia. Wielu młodych, wykształconych komunistów wierzyło w odnowę i zdemokratyzowanie partii, w odrzucenie dogmatyzmu i wyzwolenie nauki i literatury. Młodzi komuniści i inteligenci przeżywali na ogół Październik daleko głębiej i szczerzej niż starsi panowie niepartyjni, którzy w Październiku dojrzeli szansę umożliwiającą im „naturalizację” w Polsce Ludowej. Można by w tym miejscu przytoczyć piękną serię nazwisk katolickich i mniej katolickich gentlemanów, którym Październik dostarczył argumentu na rzecz zalegalizowania współpracy z *Establishment*. To byli ludzie, którzy chcieli zakończyć okres „emigracji wewnętrżnej” i godzili się na oszukaństwo byle były zachowane pozory

patriotycznej *respectability*. Nie ci panowie przeżywali dramat upadku październikowych nadziei.

Zawodowi antykomuniści oburzają się w tym miejscu, niemniej twierdzą, że zachowania się Gomułka nie można w całości wyjaśnić schematem Jedlickiego. Jego mowy na VIII Plenum (którą „Kultura” wydała w oddzielnej broszurze) — niepodobniestwem byłoby zredukować do chwytu taktycznego czy manewru wystudiowanego na zimno. Istnieje szeroko rozpowszechniona tendencja przedstawiania przywódców komunistycznych od Stalina w dół — jako negatywnych „nad-ludzi”. Ci „nad-ludzie” wszystko rzekomo planują chłodno i cynicznie — traktując ludzkie życie jak i partię szachów. Takich ludzi nie ma ani w komunizmie ani poza komunizmem. W moim przekonaniu Gomułka w październiku 1956 szczerze myślał tak, jak mówił. Lecz wkrótce przeraził się własnej popularności. On, mały, prowincjonalny aparatczyk przeraził się roli trybuna ludu, roli „męża opatrznościowego” w skali narodowej. Była chwila, że miał za sobą wszystkich — 100 procent Polaków w kraju i 90 procent Polaków na emigracji. Do roli i do szansy jaką zaferowała mu na mgnienie oka koniunktura historyczna — Gomułka nie dorósł. Na chwilę dał się unieść fali entuzjazmu i atmosfery lecz bardzo szybko wziął w nim górę aparatczyk, którym był całe życie. Ten prowincjonalny aparatczyk krzychał mu do ucha, że władza to jest aparat i policja, a nie masowe poparcie społeczeństwa. Przywódcy komunistyczni w krajach wschodnio-europejskich są psychicznie uwarunkowani faktem, że zawsze reprezentowali i nadal reprezentują ideologię zmniejszości. I dlatego boją się tłumu — bo nie ma tłumów komunistycznych. Tłumy w Warszawie, w Pradze czy w Budapeszcie są zawsze antykomunistyczne. Antykomunistyczne z definicji.

Imre Nagy był również aparatczykiem. Lecz w przeciwieństwie do Gomułka — patriotyzm ludzki i krótkowzroczny owładnął nim pod koniec bez reszty. Mimo, że otrzymał bardzo staranne przeszkolenie w Sowietach — w chwili otwartego konfliktu stanął po stronie narodu. Węgier wziął w nim górę nad komunistycznym aparatczykiem.

W momentach wielkich kryzysów kończą się wszystkie schematy i „klucze” historyczne. Postępowanie ludzi w takich chwilach bywa improwizacją pełną sprzeczności. Jestem przekonany, że gdyby ktoś Imre Nagy’emu na sześć miesięcy przed powstaniem budapeszteńskim przepowiedział dokładnie jak postąpi, nigdy by w to nie uwierzył.

Na VIII Plenum przemawiał nie aparatczyk i nie sekretarz, lecz człowiek świeżo wypuszczony z więzienia, własną krzywdą zbliżony do krzywdzonego społeczeństwa. Mowa na VIII Plenum — rewolucyjna i śmiała — to był „Budapeszt” Władysława Gomułka. Z całą pewnością był wówczas szczerzy i z całą pewnością później tej szczerości żałował.

Październik wykazał z jednej strony tradycyjną nienawiść Polaków do dyktatury i rządów policyjnych — z drugiej strony wykazał niemniej tradycyjną bezradność Polaków w walce o demokrację.

Obalenie dyktatury sanacyjnej nie groziło żadną obcą interwencją. Przelknęliśmy Berezę, Brześć i nawet w chwili śmiertelnego zagrożenia nie zdołaliśmy wywalczyć dla kraju demokratycznego rządu koalicyjnego.

Październik wykazał również, że oficjalne polityczne ośrodki emigracyjne, mając po temu wszelkie dane, nie wypracowały żadnej polityki alternatywnej. Ten stan rzeczy przetrwał do dziś.

Rewizjoniści nie mieli żadnego programu, nie mieli go skąd wziąć i nie mieli czasu dopracować się własnych konkretnych wytycznych. Ich wysiłki nie poszły jednak na marne. Pozostały pisma, wśród nich wiele b. wybitnych pozycji — pozostały pewne zdobycze, które wyróżniają Polskę w bloku wschodnim i pozostał ferment, który w sprzyjających okolicznościach wydobędzie się na powierzchnię. W partii pozostał niepokój. Artykuły prof. Schaffa („Humanizm czy Rewizjonizm”) — są próbą skierowania owego rewizjonistycznego fermentu w ortodoksyjne łożysko. Gdyby owego fermentu nie było, prof. Schaff w 6 lat po Październiku nie musiałby bawić się w wynajdowanie „marksistowskiego humanizmu”.

Emigracja zawiodła i na tym niezmiernie ważnym odcinku. Poza Zbigniewem Jordanem na łamach „Kultury” nikt nie podjął dyskusji rewizjonistycznej. Nie chodzi o przekonanie prof. Schaffa czy innych dostojników partyjnych, którzy trwać będą na swych pozycjach dopóki będzie to politycznie przydatne. Lecz dyskusję taką, gdyby się toczyła, śledziliby z uwagą rewizjoniści w krajach wschodniej Europy i nie tylko rewizjoniści. Intelktualny spadek po rewizjonistach powinna była przejąć lewica emigracyjna. Lecz lewica na emigracji bardziej jest zainteresowana własnymi rozłamami niż tym co się dzieje w Polsce.

Dlaczego interesujemy się rewizjonistami? Rewizjonizm oferuje pokojowe, ewolucyjne przejście od totalizmu ku demokracji. Choć zabrzmiało to paradoksalnie twierdzą, że w Polsce łatwiej byłoby zdemokratyzować komunizm niż ideologie prawicowe. Rewizjonistów na strajnej prawicy nie ma, natomiast amatorów dyktatury znalazłoby się bardzo wielu.

Rewizjoniści w okresie Października nie mieli wiary w powodzenie i zdawali sobie sprawę z faktu, że przekroczenie Rubikonu pociągnęłoby za sobą interwencję sowiecką. Wielu chciało natomiast dotrzeć do brzegów Rubikonu, by mieć wielką przestrzeń umożliwiającą stopniowy odwrót.

Obiektywna wartość Października sprowadza się do trzech punktów.

I. Osiągnięto pewne konkretne zdobycze polityczno-społeczne. Najistotniejszą z tych zdobyczy jest przekonanie, że powrót do metod sprzed Października nie jest możliwy.

II. Październik ujawnił, że znaczny procent komunistów w sferze robotniczej i inteligenckiej nie wierzy w komunizm i w demokratyzacji ustroju widzi jedyną drogę naprawy.

III. Polski model ustrojowy w większym stopniu niż model sowiecki nadaje się do zdemokratyzowania, lecz „drugi etap” nie zostanie osiągnięty bez pomocy z zewnątrz.

Przez „pomoc z zewnątrz” nie mamy na myśli *liberation* — lecz zmianę koniunktury międzynarodowej. Ta zmiana przybrać może najrozmaitsze formy. Lecz jej polityczną treścią, bez względu na formę, musi być umniejszenie ryzyka interwencji sowieckiej oraz gotowość Zachodu pomocy Polsce gospodarczo i finansowo. No i sytuacja w samej Rosji.

Październik pociągnął również za sobą serię skutków ujemnych. Jak każda klęska, dostarczył legitymacji ostrożnym miernotom. Iluż spotyka się ludzi, którzy chwają się, że nie brali udziału w Powstaniu Warszawskim. To byli ci „mądrzy”, którzy przewidywali klęskę i daremnie ofiary. Gdy nadejdzie chwila podjęcia zdecydowanej próby — ci ostrożni i „pozytywni” podniosą alarm apelując do rozumu i dojrzałości politycznej —

jakby najwyższą cnotą polityczną narodu było dbać o posady i stanowiska tych, którzy zdołali się urządzić i... pogodzić.

„ZWYCIĘSTWO PROWOKACJI”

Jest rzeczą zdumiewającą jak wielu ludzi upiera się robić to — do czego się nie nadają. Józef Mackiewicz posiada wybitny talent literacki. Jego „Droga do Nikąd”, „Karierowicz” — piękne opowiadania i nowele — zapewniają mu miejsce w pierwszym szeregu współczesnych prozaików polskich. Lecz Mackiewicza to wszystko nie zadawała. Chce być politykiem a raczej politycznym publicystą, do czego najzupełniej się nie nadaje.

Publicystyka wymaga całkowicie innej organizacji psychicznej niż powieściopisarstwo. Krańcowość, bezkompromisowość, ślepa nienawiść — mogą stać u kolebki dzieła literackiego. Lecz trzeźwa, zrównoważona analiza polityczna musi być oparta na zupełnie innych elementach. Owa ślepa, bezkompromisowa nienawiść w „Drodze do Nikąd” zadecydowała o literackim walorze książki. Ta sama ślepa nienawiść przekształciła „Zwycięstwo prowokacji” w bezsensowne curiosum.

Główna furia Mackiewicza skierowana jest przeciwko granicy na Odrze i Nysie. Polska utraciła niepodległość i wskutek tego nie mogła jednocześnie niczego odzyskiwać. „Nie można bowiem tracąc całość — odzyskiwać zarazem jej części”.

Skoro nie odzyskaliśmy ziem nad Odrą i Nysą — jaki był cel tej operacji a raczej prowokacji? Komunistom chodziło o „uznanie przez Polaków PRL za państwo polskie”. Gdyż tylko przez uznanie „państwa polskiego” — cytując dosłownie — „dochodzi się do uznania Odry i Nysy za granicę państwową”.

Przyjmując powyższe stwierdzenie musiałoby się dojść do wniosku, że istnieje na świecie tylko jeden autentyczny polski antykomunista p. Józef Mackiewicz. Pozostałe 30 milionów Polaków w kraju i niemal 10 milionów zagranicą uległo prowokacji i za miskę Ziem Odzyskanych zaprzedało się komunizmowi. Jeżeli pierwszym przykazaniem antykomunizmu byłaby rezygnacja z granicy na Odrze i Nysie to obawiam się, że obóz antykomunistów polskich liczyłby tylko jednego człowieka.

Złe pojęty filogermanizm Mackiewicza idzie niestety znacznie dalej. Na stronie 197 omawianej broszury czytamy m.in. co następuje:

„Jeżeli chodzi o ogólny potencjał UB, WOP'u, KBW i pokrewnych formacji policyjno-politycznych, to liczbowo nie ustępują one formacjom SS Niemiec hitlerowskich. Dalej: na Hitlera Niemcy dokonali bądź co bądź kilku zamachów. Na Bieruta i Gomulkę Polacy, ani jednego. Mało tego, nie jakiś jeden odłam Polaków, ale w tej chwili wszyscy Polacy na świecie, zarówno w kraju jak na emigracji, uważają namawianie do zamachów, strzelanie do reprezentantów reżymu, słowem każdą próbę obalenia totalitarnego ustroju siłą, za prowokację, za którą płacić będzie naród, czyli za zbrodnię. Wynikałoby z tego, że poczytujemy Niemcom za zbrodnię to (nie obalenie Hitlera), co sobie samym za cnotę. I odwrotnie: za obowiązek dla każdego Niemca to, co sobie za zbrodnię”.

Skąd biorą się te absurdalne nieporozumienia? Mackiewicz pod wpływem kompleksu czy urazu stawia znak równania pomiędzy hitleryzmem i komunizmem. Jeżeli potępiono Skińskiego za współpracę z hitlerowskimi Niemcami — dlaczego w równej mierze nie potępiano pisarzy, którzy współpracują w kraju z władzami PRL? Czy wniosek sąd, że Skińskiego i jemu podobnych należałoby rehabilitować?

Polska nie jest niepodległa, lecz nie jest również okupowana w ścisłym tego słowa znaczeniu. Polska jest krajem satelickim. Lecz jeżeli nawet przyjmiemy tezę, że Polska jest krajem okupowanym — to dla każdego nie uprzedzonego obserwatora musi być oczywiste, że istnieje totalna różnica pomiędzy okupacją hitlerowską a okupacją sowiecką. Okupant hitlerowski zmierzał do likwidacji narodu polskiego — okupant sowiecki nie zmierza do likwidacji narodu polskiego tylko do narzucenia Polsce ustroju komunistycznego. Cele obu tych okupacji są całkowicie różne.

Należy wyjaśnić jeszcze jedno nieporozumienie. Słowo „kolaborant” od czasów okupacji hitlerowskiej ma podźwięk czysto negatywny. Lecz co to jest kolaboracja? Kolaboracja to jest współpraca. Małe i średnie narody w naszej epoce są skazane na kolaborację. Oczywiście wszystko zależy od odpowiedzi na pytanie z kim się kolaboruje? Polaków można podzielić z grubsza na tych, którzy kolaborują z Rosją i na tych, którzy kolaborują z Zachodem, ściślej mówiąc z Ameryką.

Kolaborujemy z obcym mocarstwem wówczas jeżeli istnieją dane do twierdzenia, że polityka danego mocarstwa idzie po linii polskich interesów, względnie części polskich interesów. Mówimy wówczas o orientacji austriackiej, rosyjskiej, czy amerykańskiej. Piłsudski współpracował początkowo z Austrią — mimo, że Austria była potęgą zaborczą — oceniał bowiem, że w danej sytuacji współpraca tego rodzaju jest zgodna z polskimi interesami.

Termin „kolaborant” ukuty w czasie okupacji dla politycznego publicysty, w tym kontekście jest dziwołagiem. Nie ma bowiem kolaboracji czy współpracy z jawnym wrogiem. Jest tylko zdrada. Ludzie, którzy kolaborowali z hitlerowcami nie byli kolaborantami tylko zdrajcami.

Polacy, którzy jak Stefan Kisielewski są zwolennikami orientacji rosyjskiej — są naszymi przeciwnikami politycznymi, ale nie są zdrajcami. Dla Polaków, którzy PRL uznają za państwo polskie — a takich Polaków są miliony — sojusz z Rosją Sowiecką idzie po linii interesów PRL zwłaszcza, że Sowiety są jedynym mocarstwem, które uznaje granice na Odrze i Nysie.

Leży przede mną świeżo wydany przez „German Information Center” w Nowym Jorku, pięknie ilustrowany pamflet pt. „Germany's Eastern Territories — a European Problem”. To nie jest broszurka wydana przez rewizjonistów. Niestety to jest oficjalne wydawnictwo rządu w Bonn. Dopóki Republika Federalna nie zmieni swego nastawienia w tej sprawie — nie powstanie polska orientacja pro-niemiecka i nie upadnie orientacja pro-rosyjska.

90 procent Polaków w kraju i zagranicą pragnie zmiany ustroju i przywrócenia demokracji w Polsce. Lecz do tej pory nie spotkałem Polaka, który uważałby, że za przywrócenie demokracji należy zapłacić nowym rozbiorem Polski. I to jest oczywiste. Polska w obecnych granicach przy zmianie koniunktury ma szanse odzyskania niepodległości w wymiarze dos-

tepnym w 20 wieku dla średniego państwa. Lecz Polska bez ziem, do których pretensje zgłaszają Niemcy — przy najkorzystniejszej koniunkturze międzynarodowej nie miałyby szansy ani odzyskania ani zachowania niepodległości.

Ponieważ myślenie kategoriami politycznymi jest Mackiewiczowi całkowicie obce — nie rozumie, że wolność w sensie narodowo-państwowym nie jest abstraktem. Aby być wolnym i niepodległym trzeba odpowiadać pewnym warunkom. To minimum warunków Polska dziś potencjalnie posiada. Lecz każdy zamach na to minimum godzi nie tylko w całość terytorium, lecz i w naszą niepodległość i wolność jutrzejszą.

SZPIEG W U.S.A.

Paweł Monat dopiero gdy został pełnym pułkownikiem przekonał się, że Pakt Warszawski jest nie tylko defensywną organizacją. Plany ofensywne wychodzące z założenia, że Rosja atakuje pierwsza — są dostępne tylko dla oficerów najwyższych szczebli.

W razie ofensywy w Europie wojska polskie i czechosłowackie zajmowałyby pozycję centralną mając za sobą i po obu skrzydłach dywizje sowieckie. Uderzenie polskiej armii — studiowane w czasie gier wojennych — skierowane byłoby na Niemcy północne. Zajęcie Europy — z wyjątkiem Szwajcarii, Hiszpanii i Portugalii — według planu sowieckiego winno być dokonane w 6 do 8 tygodni. Operacja byłaby przeprowadzona wyłącznie siłami konwencjonalnymi.

Monat w swojej książce „Spy in the U.S.A.” wyraża pogląd, że Polacy w takiej sytuacji nie mieliby innego wyjścia tylko walczyć u boku swych sowieckich towarzyszy broni. W chwili wybuchu wojny polskie dywizje od pierwszego dnia zaangażowane byłyby w walce z Niemcami co uniemożliwiłoby w praktyce bunt czy przejście na stronę Zachodu.

Inny interesujący szczegół dotyczy intronizacji Rokossowskiego jako marszałka Polski i naczelnego wodza. Władze sowieckie wydelegowały do wszystkich garnizonów oficerów polskich, obywateli sowieckich. Monat był obywatelem sowieckim i oficerem sowieckim „wypożyczonym” armii Berlinga. Każdy z delegowanych oficerów otrzymał zalakowaną kopertę z dokumentami o „historycznej” doniosłości. Koperta była adresowana do dowódcy danej jednostki. Z dokumentów w kopercie dowódca dowiadywał się, że delegowany oficer obejmuje komendę i odpowiedzialność za całość przedstawienia. Przede wszystkim odbierano amunicję i zabezpieczano ją w zamkniętych i strzeżonych składach. Gdy dana jednostka była już rozbrojona i spacyfikowana — delegowany oficer z Warszawy w płomiennym przemówieniu obwieszczał żołnierzom „historyczną” nominację Rokossowskiego na marszałka Polski i wodza naczelnego.

W chwili gdy Monat zdecydował się wybrać wolność — stał u szczytu swojej kariery. Miał zaledwie 38 lat — był pełnym pułkownikiem i szefem wszystkich polskich attachés wojskowych zagranicą. Tylko dlatego, że nie budził absolutnie żadnych podejrzeń mógł spokojnie wyjechać z żoną i z synem do Wiednia, gdzie zgłosił się do amerykańskiego attaché wojskowego prosząc o azyl w Stanach Zjednoczonych.

Dlaczego to zrobił? Na to pytanie książka nie daje jasnej i przekonującej odpowiedzi. Monat nie jest ani intelektualistą, ani ideologiem, ani politykiem. Uważa się za zawodowego, lniowego oficera. Pobyt

na Korei, gdzie widział Amerykanów w akcji, a następnie dłuższy pobyt w Stanach Zjednoczonych na stanowisku polskiego attaché wojskowego — przekonał go, że z Ameryką wojny nikt nie wygra. Przez wiele lat szpiegował i studiował potęgę Ameryki i trzeba powiedzieć, że robił to niezmiernie dokładnie. Monat wie o Ameryce niepomnie więcej niż niejeden zachodni znawca przedmiotu.

Zalamanie się ideologiczne było konsekwencją utraty wiary w zwycięstwo. Z całą pewnością otoczenie, dobrobyt, styl życia wywarły wielki wpływ na Monata, który nie znał Zachodu. Lecz o wszystkim zadecydowało zafascynowanie technologiczną potęgą największego super-mocarstwa świata.

OBCE PIENIĄDZE

Biuletyn prasowy Federacji Ruchów Demokratycznych (nr 1/63) — oskarża grono osób w Zjednoczeniu o uzurpowanie sobie prawa „do potajemnego przyjmowania subwencji ze źródeł obcych na budżet tej instytucji, bez wiedzy i zgody Rady Jedności Narodowej”.

Obce pieniądze nie są niczym hańbiącym pod warunkiem, że są wpłacane jawnie i w formie daru. Osobiście nie miałbym nic przeciwko temu; by „obce źródła” — powiedzmy jakieś bogate fundacje amerykańskie wpłacały w formie daru na fundusz prasowy „Kulturze” kilka czy kilkanaście tysięcy dolarów co kwartał. Dar, z podziękowaniem Redakcji, byłby odnotowany w odnośnym numerze „Kultury” i wszystko byłoby w idealnym porządku.

Podobnie każdemu przysługuje prawo wpłacać czy przekazywać dary na rzecz Skarbu Narodowego. Jeżeli pewne instytucje amerykańskie przegazują w formie daru kwoty pieniężne na rzecz Skarbu Narodowego nie ma w tym nic złego czy politycznie podejrzanego. Skarb Narodowy w swych sprawozdaniach powinien oczywiście ujawnić amerykańskich ofiarodawców na równi z wszystkimi innymi płatnikami.

Są wypadki, że ofiarodawca zastrzega sobie anonimowość. Lecz przywilej anonimowości nie może być okupiony łamaniem procedury demokratycznej. Jeżeli instytucja „X”, która wpłaca dary na Skarb Narodowy zastrzegła sobie anonimowość — obowiązkiem przewodniczącego Egzekutywy było zarządzić posiedzenie Rady przy drzwiach zamkniętych i powiadomić członków TRJN o wysokości wpłat i o życzeniu ofiarodawcy zachowania incognito.

Przewodniczący Egzekutywy miał jeszcze inne wyjście dające gwarancje większej dyskrecji. Mógł być wezwać do siebie przewodniczących klubów stronnictw opozycyjnych wchodzących w skład TRJN i poufnie powiadomić ich o całej sprawie.

Nasi politycy mieszkają w Anglii od 22 lat ale niczego się nie nauczyli i procedura demokratyczna jest dla nich nadal taką samą chińszczyzną jak przed wojną.

WOJNA PREWENCYJNA?

Sprawa wojny prewencyjnej z 1933 roku zajmuje wciąż historyków i publicystów tak polskich jak i zagranicznych. Jest to jedno z najbardziej kontrowersyjnych zagadnień w historii drugiej Rzeczypospolitej.

Zeszyt Historyczny nr 3, będący w sprzedaży — przynosi w tej sprawie niezmiernie interesujący artykuł Piotra Wandycza. Wandycz publikuje trzy nieznane dotąd dokumenty, które na problem wojny przewencyjnej rzucają nowe światło.

W tym samym zeszycie Michał Borwicz drukuje dłuższy szkic historyczno-pamiętnikarski poświęcony pierwszej sowieckiej okupacji Lwowa. Jest to temat do tej pory zupełnie nie opracowany i szkic Borwicza jest pierwszą próbą podjętą w tej dziedzinie.

Tadeusz Katelbach w artykule pt. „Łoże” odsłania nieznane kulisy polskiej i europejskiej masonerii i analizuje wpływy wolnomularstwa na politykę polską w czasie ubiegłej wojny.

Zeszyt Historyczny nr 3 przynosi na 240 stronach 14 szkiców, rozpraw i wspomnień, które stanowią jedyną w swoim rodzaju dokumentację najnowszą historii Polski. To jest jedna z tych dziedzin w której emigracja stanęła na wysokości zadania. Często jednostronnej dokumentacji krajowej — przeciwstawić musimy dokumentację obiektywną, a przede wszystkim bogatą i wyczerpującą.

Prenumeratory „Kultury” korzystają z 50 procentowej zniżki abonując „Zeszyty Historyczne”, które ukazują się dwa razy do roku.

WYRÓŻNIENIE POLSKIEGO HISTORYKA

Dobrze znany Czytelnikom „Kultury” dr Piotr Wandycz, profesor historii na Indiana University, Bloomington — otrzymał za swą książkę pt. „France and her Eastern Allies, 1919 — 1925” nagrodę „George Louis Beer Prize” nadawaną przez „American Historical Association”.

„George Louis Beer Prize” przyznawana jest corocznie za najlepszą pracę z zakresu najnowszej historii europejskiej i stanowi najwyższe wyróżnienie w tej dziedzinie.

Książka dr. Wandycza będzie w najbliższym czasie omówiona na łamach „Kultury”.

INICJATYWY ARGENTYŃSKIEGO „GŁOSU POLSKIEGO”

„Głos Polski” ukazujący się w Buenos Aires jest jednym z najlepiej redagowanych pism polonijnych. Ostatnio ukazały się dwa numery specjalne „Głosu Polskiego”. Pierwszy poświęcony był stosunkom polsko-litewskim — drugi 50-tej rocznicy śmierci Bolesława Prusa.

Numer „prusowski” przynosi na 8 stronach liczne artykuły i eseje, wśród których warto wymienić Romana Dąbrowskiego artykuł pt. „Pisarz krzywdy społecznej”, interesujące uwagi Tadeusza Kozłowskiego o pozytywizmie autora „Lalki” oraz Aliny Szczepka „Rozmowy z Madzią Brzeską”.

Redaktorem naczelnym „Głosu Polskiego” jest Roman Dąbrowski, który przed wojną pisywał powieści i artykuły dziennikarskie pod pseudonimem „Marek Romański”.

LONDYŃCZYK

Kraj

Glossa autorska do „Chamów i Żydów”

Reakcja na „Chamów i Żydów” jest zjawiskiem dziwnym. Pod względem ilościowym przewyższa znacznie to, czego się spodziewałem. Artykuł trafił, jak się zdaje, do szerszego kręgu czytelników niż normalny krąg odbiorców „Kultury”. Co więcej, są dane na to, żeby twierdzić, że artykuł nie był przyjmowany obojętnie, że reakcje zarówno pozytywne jak i negatywne były gorące, że był on dla wielu czytelników czymś więcej niż jeszcze jedną pozycją lekturową, którą odkłada się po przeczytaniu i szybko o jej treści zapomina. Takie przyjęcie mojego artykułu daje mi, jako autorowi, zrozumiałą satysfakcję mimo że nie sędzę, żeby spowodowane tym artykułem poruszenie było trwałe. Satysfakcja ta nie może mi jednak przesłonić faktu, że w tych reakcjach jest wiele rzeczy zaskakujących, niepokojących, nie waham się powiedzieć nienormalnych. Przede wszystkim polaryzacja: masa reakcji entuzjastycznych i masa głosów najskrajniejszego oburzenia; stosunkowo najmniej czytelników mógłbym umieścić gdzieś w środku pomiędzy tymi dwoma ekstremami. Tkwi w tym chyba jakaś nerwowość. Druga rzecz zastanawiająca: masa reakcji typu „z ust mi to wyjął”, „ja już dawno doszedłem do podobnych wniosków”. Ci ludzie mówią prawdę: oni to rzeczywiście dawno wiedzieli zanim mój artykuł został napisany. Twierdzą tak dlatego, że cała koncepcja „Chamów i Żydów” nie jest oparta na żadnych faktach, które nie byłyby znane szerszemu kręgowi osób. Najzupełniej fałszywe są analogie pomiędzy mną a byłymi aparatczykami, którzy — jak światło i tyłu innych — mieli rzeczywiście dostęp do wielu tajnych faktów a potem uciekli na Zachód i tam rozpoczęli działalność, polegającą na publikowaniu tych faktów. Ja, poza krótkim epizodem wczesnej bardzo młodości, do PZPR-u nie należałem, a tym bardziej żadnym aparatczykiem nie byłem. Domysły tego rodzaju, które powtarzają się w listach i artykułach prasy emigracyjnej, są najzupełniej fałszywe. Co więcej, nie miałem żadnego szczególnie dobrego „punktu

obserwacyjnego", jak to sformułował publicysta „Myśli Polskiej” p. Wojciech Wasiutyński. Ja wiedziałem tylko to, co jakoś do opinii publicznej przenikało. Moja rola polega na czymś innym: na wiązaniu izolowanych faktów w jakąś koncepcję, na szukaniu ich sensu. Nie robię tego zresztą po raz pierwszy. Poglądy podobne do tych, jakie się znajdują w „Chamach i Żydach”, głosiłem nie raz w Polsce w rozmowach a nawet wystąpieniach publicznych. W każdym razie kryć się ze swoimi poglądami nie miałem w zwyczaju i mam na to setki świadków. I dlatego wiem, że to co napisałem, to są istotnie rzeczy pewnej ilości osób znane. Ale sam fakt, że dopiero ja o tym napisałem po raz pierwszy, zmusza do zastanowienia. W moim przekonaniu działają tu różne naciski. Bynajmniej nie mam na myśli jakichś nacisków agenturalnych czy jakichś inspiracji. Mam na myśli rzeczy subtelne: naciski dobrego tonu, sumienia, instynktu społecznego. Do tych rzeczy jeszcze powrócę; tu chodzi mi tylko o rzucenie myśli, że są powody, dla których pewna suma wiedzy o komunizmie nie zostaje werbalizowana w druku. To nie jest normalne, że ku swemu największemu zdumieniu wyrosłem nagle na pioniera wiedzy o historii Polski.

Wspomniałem o polaryzacji, o tym, że artykuł był przyjmowany najczęściej albo bardzo pozytywnie albo bardzo negatywnie. Jest już dzisiaj pewien materiał do wniosków, kto przyjmował artykuł pozytywnie, a kto negatywnie i dlaczego. Tak więc głosy pozytywne dochodziły do mnie: a) z kół emigracyjnych „niezłomnych”, b) z niektórych kół intelektualistów z kraju, c) z niektórych kół syjonistycznych. Natomiast głosy oburzenia dochodziły do mnie: a) z kół intelektualistów zachodnich, wśród nich emigracyjnych, ale takich którzy mają duże powiązania międzynarodowe, b) z innych kół intelektualistów w kraju. Koła partyjne pomijam: one milczą.

Dlaczego?

a) Reakcja emigracyjnych „niezłomnych” jest w tej całej sprawie rzeczą najbardziej jasną. Sprowadza się ona do tego: „myśmy od początku wiedzieli, że paździenik to lipa. A teraz zjawia się dobrze poinformowany przybysz z kraju, który czarno na białym pokazuje, że paździenik to lipa. Jego artykuł pokazuje, że wszyscy komuniści bez wyjątku to takie wcielenie cynizmu i draństwa, że nie ma mowy o żadnych pośrednich formach rządów, o jakimś półkomunizmie i półniekomunizmie. Albo w Polsce będą rządili komuniści, obojętne jacy, albo komunizm zostanie całkowicie obalony. Żadnej drogi pośredniej nie ma, o czym myśmy od dawna wiedzieli”.

Panowie ci rzeczywiście zawsze mówili, że paździenik to lipa. Ale uzasadnieniem tej tezy była dla nich dedukcja z twierdzeń ogólnych, dotyczących istoty komunizmu. Te twierdzenia ogólne głoszą, że komunizm się nigdy nie zmienia, że jest szczytowym draństwem i że opiera się na oszustwie. Z takich przesłanek wniosek, że paździenik był lipą wynika nawet dosyć logicznie. Tylko, że mnie chodziło o coś zupełnie innego. Elementy oszu-

stwa politycznego na wielką skalę, które pisząc o całej paździenikowej historii starałem się pokazać, wynikały nie z żadnej istoty komunizmu, bo żadnej takiej istoty nie ma, tylko z konkretnego układu sił politycznych, jaki w roku 1956 istniał w Polsce. Ta różnica ma niesłychaną doniosłość praktyczną. „Niezłomni” rozumują bowiem w ten sposób: „skoro istota komunizmu jest niezmienna, to w żaden pozytywny sposób na rozwój stosunków w Polsce wpłynąć nie można. Albo komunizm w Polsce pozostanie i wtedy będzie taki jaki jest, bo zgodnie z założeniem zmienić się przecież nie może, albo zostanie zniszczony”. Niepodpisany publicysta „Jutra Polski” sformułował to najlepiej: „Wolność może przyjść tylko w drodze całkowitego obalenia komunizmu”. Tymczasem ja twierdzę, że wcale nie. Ja twierdzę, że wolność może przyjść właśnie w ten sposób, że się będzie wpływać na rozwój stosunków, że się będzie dążyć do zmiany konkretnego układu sił. (Konkretny układ sił jest rzeczą zmienną: istoty komunizmu w niczym on nie przypomina). I co więcej, mówię nawet, i to zupełnie wyraźnie, w jaki sposób wolność może przyjść w drodze zmiany konkretnego układu sił. Poprzez wzmaganie presji społecznej na władze w co jakiś czas powracających okresach liberalnej koniunktury. Proszę zauważyć: nie przez żadną wojnę, nie przez żadną rewolucję i w ogóle bez rozlewu krwi. Doszło do mnie, że pojawiły się pewne wątpliwości co do sensu końcowej konkluzji „Chamów i Żydów”. Pragnę tu autorytatywnie wyjaśnić, że sens był właśnie taki.

b) W sprawie wyraźnie pozytywnego przyjęcia „Chamów i Żydów” przez pewne koła intelektualistów krajowych została sformułowana pewna hipoteza przez jednego z niezliczonych mi publicystów emigracyjnych. Wedle tej hipotezy mój artykuł uwalnia intelektualistów polskich z poczucia winy i poczucia odpowiedzialności za dopuszczenie do popaździenikowego antydemokratycznego regresu i brak dostatecznego oporu przeciwko antydemokratycznym tendencjom władz. Mnie ta hipoteza wydaje się fantastyczna. Można ją bowiem rozumieć chyba tylko tak, że intelektualści, którzy przyjmują pozytywnie mój artykuł, okoliczność dla siebie łagodzącą widzą w tym, że padli ofiarą diabelskich machinacji, skutek których tylko wydawało im się, że mają jakiś głos, którego w rzeczywistości nigdy nie mieli: choćby się więc nie wiem jak wysilali i tak niczego zrobić nie mogli. Pomijam, że tego rodzaju interpretacja mojego artykułu byłaby najzupełniej fałszywa; to w tym wypadku nie jest argument, bo wiemy dobrze, że artykuły bywają interpretowane fałszywie. Natomiast jest argumentem to, że hipoteza ta opiera się na założeniu, które jest moim zdaniem zupełnym nieprawdopodobieństwem psychologicznym. Na założeniu, że świadomość, że się padło ofiarą oszustwa, rozładowuje poczucie winy. Ja twierdzę, że świadomość, że się padło ofiarą oszustwa powoduje przede wszystkim wściekłość na siebie; innymi słowy świadomość taka wzmacnia poczucie winy. Specjalnie w polityce, gdyż polityk, który się pozwala oszukiwać jest powszechnie uważany za polityka złego.

Zgodnie z tym, w fakcie, że intelektualści dawali się oszukiwać Puławianom, ja bym widział okoliczność ich obciążającą a nie łagodzącą. W „Chamach i Żydach” zajmuję zresztą wyraźnie pozycję krytyka społeczeństwa a specjalnie intelektualistów i na pewno ich nie usprawiedliwiam.

Ja bym sformułował wyjaśnienie inne, dużo prostsze. Mój artykuł, mianowicie, pewnym kołom intelektualistów w kraju podobał się dlatego, że październik staje się od dłuższego już czasu rzeczą niepopularną. Mówiąc stylem marksistowskim, od jakiegoś już czasu istniało w Polsce „zamówienie społeczne” na rozbicie legendy października i dlatego „Chamy i Żydy” trafiły tu na przygotowany grunt. Moim zdaniem, październik zbyt silnie kojarzy się z Gomułką, żeby spadek popularności Gomułki nie wpływał na spadek popularności października. Reszty dopełniła propaganda oficjalna. Warto zwrócić uwagę na to, że tezę, iż antykomuniści byli w grubym błędzie jeżeli się czegoś po październiku spodziewali, głoszę w pełnej zgodności z tym co twierdzi przez cały czas „Trybuna Ludu”. (Zgodność ta idzie nawet dalej, gdyż propaganda partyjna przyznaje, że „wróg klasowy” mógł mieć uzasadnione nadzieje w przedpaździernikowym okresie rozbicia i słabości władzy). Ta teza propagandy oficjalnej ulega konfrontacji z ogólnym rozczarowaniem całym okresem popaździernikowym. I w końcu nie tylko intelektualista, ale zwykły, przeciętny człowiek zaczyna myśleć, że październik to był *business* partii a nie jego. „Chamy i Żydy” spotkały się w Polsce z tymi nastrojami.

c) Wyrazy ogromnego uznania, jakie docierały do mnie kilkakrotnie z kół syjonistycznych w Izraelu, mogą być rzeczą przypadku. Ale mam podejrzenie, że nie są. Podejrzenie to pochodzi stąd, że istnieje pewna zbieżność pomiędzy tym co pisałem o sprawie żydowskiej w „Chamach i Żydach”, a tezą klasycznego syjonizmu, tzw. politycznego Herzla, że Żydzi w diasporze muszą z konieczności zajmować pozycje socjalne jakoś fałszywe i jakoś dwuznaczne i że wskutek tego oni sami powodują antysemityzm. Jeżeli to moje przypuszczenie jest słuszne, to jest w tym też pewne nieporozumienie. Historia grupy Puławskiej może być doskonałą ilustracją tezy Herzla, to pewne. Ale tylko ilustracją. Osobiście, mimo wszystko, nie mogę absolutnie uwierzyć w to, żeby antysemityzm był zjawiskiem nieuniknionym w każdej strukturze społecznej i w każdym ustroju, gdzie są Żydzi. Piszę „mimo wszystko” gdyż niestety krańcowy pesymizm syjonistów ma się na powołanie, podczas gdy naiwny optymizm takich np. Bundowców, którzy wierzyli, że antysemityzm zniknie wraz ze zmianą warunków społecznych po socjalistycznym przewrocie, może budzić dzisiaj tylko pełen goryczy śmiech. Ale, choć już dzisiaj dobrze wiadomo, że antysemityzm pojawia się w wielu bardzo różnych typach ustrojów społecznych, to stąd jeszcze nie wniosek, że musi się pojawić we wszystkich. Nie było więc moją intencją uzasadnianie słuszności tezy Herzla. Natomiast było moją intencją coś innego. Chciałem się przeciwstawić potocznemu, typowemu spo-

sobowi reagowania opinii żydowskiej na wiadomości o aktach antysemityzmu. Opinia żydowska, co jest najzupełniej zrozumiałe, daje się szalenie łatwo elektryzować takimi wiadomościami i przyzwyczaiła się zawsze w takich wypadkach widzieć w Żydzie tylko niewinną ofiarę. Przejawia przy tym pewną tendencję do przesadzania rozmiarów zająć czy liczby sprawców. Natomiast mniej powszechnie widzi się problem Żyda aferzysty, który wzrusza naiwnych bajkami, że jest prześladowany przez antysemitów i w konsekwencji, wtórnie rzeczywiście prowokuje antysemityzm. Moim zdaniem, opinia żydowska nie przeciwstawia się dostatecznie mocnym takim jednostkom. Osobiście spotkałem się w Izraelu z wyrazami uznania właśnie za to, że ten problem poruszyłem i właśnie za to stanowisko, jakie w tej sprawie wyraziłem. I to mnie ucieszyło.

Po omówieniu powodów życzliwego przyjęcia „Chamów i Żydów” pora na powody oburzenia.

a) W gwałtownych sprzeciwach, jakie doszły do mnie ze strony pewnych intelektualistów zachodnich, uderzają przede wszystkim dwie rzeczy. Po pierwsze powtarza się zarzut, że ostrze mojego artykułu jest zwrócone przeciwko Puławianom, natomiast dla Natolińczyków pozostaje jakiś cień sympatii. Tego w artykule naprawdę przecież nie ma: nie pozostawia on chyba wątpliwości, że obie frakcje są mi jednakowo wstrętne. Natomiast wrażenie takie powstaje wyraźnie stąd, że „Chamy i Żydy” burzą obraz jaki ci intelektualści posiadają o grupie Puławskiej, natomiast ich obraz grupy natolińskiej pozostaje niezmienny. Zaryzykuję tutaj śmiało tezę. Powodem, dla którego ta właśnie sprawa budzi taki niepokój, jest to, że mój obraz kruszy wiarę w możliwość „dialogu”. Zachodnioeuropejski intelektualista pragnie rozmawiać ze swoim kolegą komunistą z Rosji, Chin, Polski czy Rumunii. Wierzy w możliwość jakiegoś porozumienia. Do tego pragnienia i do tej wiary pasuje zniuansowany obraz układu sił w partii komunistycznej. Natomiast obraz, który ja wprowadzam, jest jakiś chamski, jednoznaczny. Pamiętam, że obraz kierownictwa partyjnego, podzielonego na elementy względnie liberalne i na zwolenników absolutnego terroru, pojawiał się w swoim czasie w prasie zachodniej, także w stosunku do NSDAP i WKPB w czasach Stalina. Supozycje szły przy tym, o ile pamiętam, przeważnie w tym kierunku, że *number one* jest wynikiem kompromisu pomiędzy tymi dwoma grupami i zajmuje pozycję pośrednią pomiędzy zwalczającymi się wzajemnie dwoma tendencjami. Wiemy dziś dobrze, jak bardzo te supozycje były fałszywe. Wiemy że w walce o władzę zwyciężała właśnie jednostka najbrutalniejsza, której, po usadownieniu się na dyktatorskim fotelu, reszta towarzysztwa fagasowała. Sytuacja w PZPR nie przypomina tego modelu zupełnie. Ale obraz sytuacji w PZPR, jaki ja zwalczam w „Chamach i Żydach” bardzo przypomina te supozycje na temat NSDAP i WKPB. Czy fakt, że ten wzór widzenia sytuacji w partiach totalitarnych okazuje się taki trwały, nie da się wytłumaczyć tym, że wzbudza on wiarę w jakąś możliwość dogadania

się, podczas gdy obraz tyrańca otoczonego usłużnymi fagasami wiarę tę kruszy? Nie wiem, to jest ostatecznie tylko podejrzenie.

Druga sprawa jest i ciekawsza i rysuje się wyraźniej. Intelktualista Zachodu nie wierzy rewelacjom o *conspiracies*. Wie, że jeżeli wybucha wojna, głód, kryzys lub bezrobocie, to nie dlatego, że istnieją mafie mędrców Syjonu czy bankierów z Wall Street, zainteresowane w wybuchu wojny, głodu, kryzysu lub bezrobocia. Rozumuje on mniej więcej w ten sposób. Nie jest wykluczone, że jest ktoś zainteresowany w tym, żeby takie masowe nieszczęścia wywołać i je planuje. Ale plan i to co faktycznie z tego planu wychodzi, to są dwie rzeczy zupełnie różne. Żeby plan był nie wiedzieć jak dokładny i genialny, to żadna realizacja nie będzie z nim całkowicie zgodna: zawsze będą istniały jakieś odchylenia, jakieś skutki nieprzewidziane i najczęściej przez planującego niepożądane, nigdy wszystko nie wychodzi dokładnie według planu, zawsze coś się nie udaje. Tak jest już wtedy, kiedy mamy do czynienia z jakimś jednorazowym aktem, dokonywanym przez jedną osobę. A cóż dopiero tam, gdzie chodzi o zachowanie zbiorowe na wielką skalę. Przecież tam, gdzie istnieje masa osób planujących, masa planów sprzecznych i nieprzewidzianych, które sprawiają, że pierwotne plany ulegają kompletnemu wypaczeniu, gdzie nadto, wszystko te plany, działania i ich skutki stale wzajemnie na siebie oddziałują, tam w ogóle trudno mówić o jakiejś *relevance* planu do faktycznego przebiegu wydarzeń. Plany wynikłe z motywów najczarniejszych mogą mieć skutki błogosławione, a plany wynikłe z motywów najszlachetniejszych mogą mieć skutki katastrofalne. Przy analizie jakiegoś ciągu wydarzeń historycznych istotna jest wobec tego nie ocena motywów osób czy grup w te wydarzenia zaangażowanych, lecz ocena funkcji tych wydarzeń, ocena ich skutków. Konkretnie więc cóż z tego, że grupa, która dążyła do liberalizmu, dążyła do niego z pobudek nie całkiem szlachetnych? Ważne jest to, że wskutek tego co grupa ta robiła, pojawiały się stosunki coraz liberalniejsze. Cóż z tego, że grupa ta zwalczała antysemityzm dlatego, że w ten sposób chciała się wykpić z odpowiedzialności? Ważne jest to, że dzięki temu uniknęło się antysemityzmu. I tak dalej. Ocenę etyczną możemy uzależniać od motywów, ale tam gdzie chodzi o ocenę polityczną, czy tym bardziej o opis naukowy, tam powinniśmy oceniać na podstawie skutków działań bez względu na to, jakie były motywy tych działań.

Na mocy rozumowania tego typu zarzucono, że „Chamy i Żydzi” są nieprawdopodobną bajeczką o mędrkach z ulicy Puławskiej, którzy jak za naciśnięciem guzika kierują masami jak automatami, zawsze w pożądanym dla siebie kierunku i tylko w tym kierunku. Zarzucono mi przy tym, że bajeczka ta ma walor emocjonalny, że może mobilizować czytelników budząc oburzenie i nienawiść w stosunku do sprawców tyłu nieszczęść, ale że do wiedzy historycznej o okresie październikowym nie wnosi nic nowego, gdyż nie kwestionuje obrazu skutków działań a tylko

obraz motywów działających. Innymi słowy, dopatrzono się w „Chamach i Żydach” tylko propagandy i to propagandy żerującej na ignorancji czytelnika, nie orientującego się w charakterze działań masowych. Słowem uznano „Chamów i Żydów” za jeshcze jedne „Protokoły Mędrców Syjonu”.

W odpowiedzi na całe to rozumowanie mam jeden argument podstawowy i parę argumentów ubocznych. Argument podstawowy głosi, że przedstawiona tu teoria nie ma ważności powszechnej, że jest to pewien model teoretyczny zachowań ludzkich, którego zasięg stosowalności jest podobnie ograniczony jak np. zasięg stosowalności marksowskiego determinizmu ekonomicznego. Sprawa zaczyna się od tego, że są różne typy zachowań zbiorowych. Jeżeli weźmiemy przykład kryzysu nadprodukcji, to istotnie obciążanie bezpośrednią odpowiedzialnością za jego wybuch jakichś bankierów z Wall Street byłoby grubym nadużyciem. Natomiast jeżeli weźmiemy przykład jakiegoś zamachu stanu, w szczególności typu łaćwińsko-amerykańskiego *Pronunciamento*, to jest jasne, że rola planu jest w tym przypadku o wiele większa, przede wszystkim dlatego, że jeżeli plan jest zły jeżeli nie jest rozpracowany we wszystkich szczegółach, to zamachowcy ponoszą klęskę najdalej po paru godzinach. Już tu widzimy więc, że rola planu jest w różnych sytuacjach różna: raz większa raz mniejsza. Ale relatywizacja do rodzaju działania to nie wszystko; ważniejsza, moim zdaniem, jest relatywizacja do ustroju i struktury społecznej państwa oraz kultury środowiska w jakim wyjaśniane wydarzenia mają miejsce. Zgadzam się w zupełności, że tego typu analiza motywacyjna, jakiej przykładem mogą być „Chamy i Żydzi”, do krajów Zachodu ma minimalne zastosowanie. Ale przecież piszę o ludziach, którzy sztuki wymanewrowania politycznego przeciwnika uczyli się na specjalnych uczelniach, których działanie jest wysoce zróżnicowane, którzy mają do przedmiotu swojego działania stosunek również inżynierski, jak konstruktor do planowanego przez siebie samolotu czy architekt do planowanego przez siebie domu, a z drugiej strony o masie ludzkiej, która nie miała nigdy okazji zapoznać się z elementami politycznego myślenia. Czy w takim układzie stosunków rola planu i szanse powodzenia planu nie są o wiele większe niż w solidnej zachodniej demokracji? Czy w takim układzie stosunków nie pojawiają się naprawdę szanse manewrowania masami i czy naprawdę nie ma szans na to, żeby wynik manewru tak bardzo od planu nie odbiegał? W „Chamach i Żydach” pisałem, że rola „jednostki” zależy od tego w jakim państwie, w jakim ustroju i w jakim społeczeństwie ta jednostka żyje: identycznie to samo stosuje się do roli planu i szans manewru na skalę masową. Czy wobec tego kwestia motywów jest rzeczywiście tak bardzo *irrelevant*? Czy w ocenach politycznych nie należy wtedy zwracać na nie uwagi baczniejszej niż gdy się ma do czynienia z solidną demokracją zachodnią? W każdym razie kwestia jaka jest w konkretnej sytuacji rola planu i rola motywów jest kwestią empiryczną, tzn. że tezy na ten temat mogą być

obalane tylko przez fakty, a nie jak to czynią moi przeciwnicy przez dedukcję z przesłanek ogólnej teorii, która, jak twierdzą, nie ma zastosowania do faktów którymi się zajmuję. Porzucając na chwilę ton merytorycznej polemiki, nie mogę się powstrzymać przy tym od uwagi *ad personam*, jak bardzo ograniczeni w swojej „zachodniości” są ci intelektualiści, którzy przytoczoną tu argumentację przeciwko mnie wysuwali, jak bardzo niezdolni są wyobrazić sobie sytuację społeczną, odmienną od tej w jakiej żyją, taką, w której ich model teoretyczny upada.

To jest argument podstawowy. Ale nawet gdyby nie było tej konieczności relatywizacji modelu do warunków w jakich wyjaśniane wydarzenia mają miejsce, albo gdyby przeciwstawiany mi model teoretyczny pasował do warunków polskich doskonale, to i tak uważam, że ani przytoczona tu argumentacja nie jest teoretycznie całkiem trafna, ani jej stosowanie do „Chamów i Żydów” nie jest całkiem *fair*. Nietrafność teoretyczna tej argumentacji polega na tym, że rola motywów jest w niej mimo wszystko niesłusznie pomniejszona. Argumentacja ta mianowicie nie bierze pod uwagę różnych procesów uczeniowych. Przecież w zależności od tego, czy i w jakim stopniu skutek działania pokrywa się z planem, ludzie powtarzają następnie to samo działanie lub nie. Na tej podstawie ludzie uczą się czy dany rodzaj działania kontynuować czy zmienić, skorygować itp. Stąd większe szanse trwałości działania o skutkach zgodnych z planem, niż działania o skutkach niezgodnych z planem. (Jest od tej reguły jednak masa wyjątków, tzw. zachowań fiksacyjnych). Słowem, działania jest korygowane lub nie w zależności od motywów. Czyżby więc kwestia motywów była aż tak bardzo *irrelevant*? Ale to jest nie tylko zależność trwałości działania od zgodności jego skutków z planem, to jest także zależność trwałości działania od tego czy motyw jest jawny czy ukryty. Przyjmijmy na chwilę, że rzeczywistość motywy Puławian były nieistotne, że istotne były tylko skutki ich działania. Chętnie się godzę, że jak długo faktycznym skutkiem ich działania była demokratyzacja, to jest ostatecznie rzeczą obojętną, co oni sobie tam kombinowali. Ale przecież moim zadaniem jest wyjaśnienie faktu, że ta demokratyzacja była skutkiem ich działania tylko bardzo krótko. A gdyby byli oni rzeczywiście zainteresowani w demokratyzacji to *other things equal* należałoby się spodziewać, że po zdobyciu władzy demokratyzacja byłaby kontynuowana. Coś jest więc z ustawieniem roli motywów w formułowanej przeciwko mnie argumentacji nie w porządku.

Także jest coś nie w porządku w stosowaniu tej argumentacji do „Chamów i Żydów”. To prawda, że zagadnienia motywacyjne są w moim artykule silnie zaakcentowane. Ale to przecież jawnie nie wszystko. Ja przecież pokazuję, jak Puławianie rozbudzali opinię publiczną, a później musieli ponosić ofiary, żeby zaspokoić jej żądania. Przecież mówię o tym, że oddolny ruch masowy coraz bardziej wymykał się spod kontroli Puławian i w końcu zaczynał wzbudzać strach u tychże Puławian. Obok sukcesów

pokazuję także błędy i porażki Puławian. A więc nie wszystko idzie jakoś tak bardzo zgodnie z planem, jak za naciśnięciem guzika: pojawiają się jakieś niepożądane skutki, które oddziałują tak, że plany biorą w łeb. A w sprawie antysemityzmu? Owszem, demaskuję motywy, ale pokazuję także jak manewry Puławian przynajmniej groziły sprowokowaniem wzrostu nastrojów antysemitycznych, na pewno wbrew ich intencjom. Nie trudno stwierdzić, że kompletna lista takich przykładów byłaby dosyć długa. Od „Chamów i Żydów” do „Protokołów Mędrców Syjonu” droga jest jednak daleka.

Czy wobec tego mogę powiedzieć z czystym sumieniem, że w „Chamach i Żydach” nie ma grubych uproszczeń i groźnych prymitywizmów? Czy naprawdę uważam, że pod względem teoretycznym jest tam wszystko w porządku? Są uproszczenia, są prymitywizmy i bynajmniej nie jest wszystko w porządku. Na swoją obronę mogę powiedzieć tylko to, że rozmiary mojego artykułu były i tak ogromne i dlatego pewne rzeczy trzeba było pomijać, oraz to, że jego pamfletowy charakter wymagał pewnej przesady, pewnego wypunktowywania jednych zagadnień kosztem innych. Tak więc zarzucano mi wielokrotnie, że niesłychanym uproszczeniem jest dychotomizacja obrazu podziału partii na frakcje, że w rzeczywistości obraz ten przedstawiał się zawsze w sposób o wiele bardziej skomplikowany, że frakcje nie były monolitami, a wewnątrz każdej z nich zawsze istniały prądy rozbieżne i tendencje odśrodkowe. To prawda. O tym nie pisałem, bo nie mogłem się zagłębiać w różne niepewne szczegóły, ale nie twierdziłem, że tego nie było. Jedno chciałbym przy tym wprowadzić zastrzeżenie: nie należy lekceważyć zjawisk solidarności frakcyjnej, dyscypliny frakcyjnej i faktu, że frakcje jako całości miały określone koncepcje polityczne. Uproszczenia dopatrzono się także w pomniejszaniu przeze mnie roli poglądów w walce o władzę. Jeżeli nie poglądy, to co — zapytano mnie — jest podstawą tworzenia się frakcji? Dlaczego poszczególni ludzie grupują się w taki a nie inny sposób? Nie umiem odpowiedzieć na to pytanie w sposób zadawalający. Mogę tylko przytoczyć odpowiedź osoby dobrze zorientowanej w stosunkach w KC, której parę lat temu to samo pytanie zadałem, ale bez ponoszenia za tę informację odpowiedzialności. Otóż zdaniem mojego rozmówcy podstawami grupowania się ludzi we frakcje i kliki są 1) pobyt w Rosji *versus* pobyt w Polsce w czasie wojny, 2) chrzest *versus* obrzezanie, 3) rozmaite stare antagonizmy personalne tego np. typu, że jeden towarzysz z KC miał kiedyś wykonywać na innym towarzyszu z KC wyrok śmierci. Ale powtarzam, że nie wiem co to wyjaśnienie jest warte.

I wreszcie ostatni zarzut teoretyczny. Zarzut, że operuję niesłychanie uproszczonym obrazem motywacji głównych aktorów wydarzeń, że wszystko sprowadzam do jednego motywu walki o władzę, że nie zdaję sprawy z istnienia u jednostek i w grupach wielu różnych motywów nieraz sprzecznych. Sprawy tej jednak

omawiać tu nie będę, gdyż zamierzam jeszcze do niej wrócić i potraktować ją obszernie.

b) Wyrazy skrajnego oburzenia na „Chamów i Żydów”, które dochodziły do mnie z kół intelektualistów w kraju są rzeczą ciekawą, tym bardziej, że z tych samych środowisk dochodziły do mnie, jak już o tym mówiłem, także reakcje pozytywne. Od razu więc powstaje pytanie od czego zależało to, czy artykuł był przyjęty pozytywnie czy negatywnie. (Z tego środowiska nie doszła do mnie ani jedna reakcja pośrednia). Przede wszystkim chciałbym uchylić domysł, jakoby wyjaśnienie mogło tkwić w stosunku danej osoby do rządu, czy stopniu jej zaangażowania w „rzeczywistość”. O tym że tak nie jest przekonuje analiza nazwisk. W moim przekonaniu powód leży gdzie indziej.

Opublikowanie takiego artykułu jak „Chamy i Żydy” było pogwałceniem całego szeregu kanonów. Nie chcę bynajmniej twierdzić, że te kanony są czymś nieracjonalnym. Przeciwnie, one mają głębokie uzasadnienie. Ale to ich nacisk sprawia, że masa wiedzy faktograficznej o państwach komunistycznych nigdy nie pojawia się w druku. Wskutek nacisku tych kanonów możliwe są takie paradoksy, jak uznanie „Chamów i Żydów” za rewelację.

Może najmniej ważne jest to, że jeżeli się z kimś współżyje, to chce się unikać zbędnych napięć i otwartej wrogości. Intelektualiści w kraju są zmuszeni do codziennego współżycia z komunistami, tzn. zarówno ze swoimi zawodowymi kolegami należącymi do PZPR, jak i z urzędnikami i funkcjonariuszami partyjnymi. To współżycie wymaga usuwania kwestii drażliwych, usuwania różnic. W każdym razie w środowisku inteligentnym, a myślę że i w innych środowiskach, nie ma dziś w Polsce już zupełnie zjawiska bojkotu towarzyskiego członków PZPR. Wręcz przeciwnie, dominuje chęć lojalnego współżycia i porozumienia. Podkreślam słowo „lojalnego”: to znaczy gdyby ktoś np. otwarcie ścisnął ręce swoim partyjnym kolegom, a po cichu wysyłał anonimowe artykuły do prasy sowieckojęzycznej na Zachodzie, to byłoby to w najwyższym stopniu nie *fair*. To jest jakieś „kochajmy się”. I dlatego jeżeli ktoś, jak ja w „Chamach i Żydach” powiada: „Nie, przepraszam, nie kochajmy się. Są między nami takie a takie nieregulowane pretensje”, to to jest pogwałcenie kanonu.

Ale to jest najmniej ważne. O wiele ważniejsze jest tabu antykomunizmu. Ma ono dwa odcienie: odcień polityczny i odcień *bon ton*'u. Odcień polityczny to w zasadzie kombinacja stalinowskiego „kto nie z nami ten przeciwko nam” ze starym *fellow-traveller*'skim *pas d'ennemis à la gauche*. Piszę w „zasadzie” gdyż jest w tym także niewątpliwy element zdrowego przerażenia tym, co rzeczywiście antykomunistom potrafi przychodzić do głowy. W każdym razie jest opinią dość powszechną, że antykomunizm, a w szczególności pisarstwo antykomunistyczne, to „obiektywnie”, „bez względu na intencje piszącego”, przymierze z najczarniejszą reakcją, z bęcwałszczyzną, z oderwanymi od rzeczywistości grupkami niepoważnych, zachłystujących się nienawiścią, „wewnętrznych” i zewnętrznych emigrantów, z którymi się nikt nie liczy. Te

opinie łatwo napotkać u ludzi, których faktyczny stosunek do komunizmu jest wrogi, a którzy mimo to dość gwałtownie odłączają się od antykomunizmu. Można to przy tym spotkać nad Wisłą, nad Sekwaną, nad Tamizą bez wielkiej różnicy. Ale jest w tym także odcień *bon-ton*'u: antykomunistą a tym bardziej pisarzem antykomunistycznym być „nie wypada”. Nie z powodów politycznych, tylko dlatego, że to jest w złym tonie. Gdyby próbować pytać dlaczego, to niewątpliwie usłyszałoby się w odpowiedzi jakąś argumentację klerkowską, jakiś nacisk na potrzebę obiektywizmu. Otóż stawiam jako zagadnienie: czy ta motywacja jest rzeczywista i w jakim stopniu? Czy przypadkiem nie odgrywa tu roli motyw inny: motyw indyferentyzmu i to o dość cynicznym zabarwieniu; jakieś takie „nie przejmuj się, nie żołądkuj się, i tak nic z tego nie wyjdzie, i tak nic nie zmienisz”. Stawiam to jako zagadnienie, bez przesądzenia odpowiedzi.

Ale jest także kanon etyczny, głoszący, że każdy ma prawo narażać siebie, ale nie innych. Pole obowiązywania tego kanonu jest niesłychanie rozciągliwe. Tak więc oburzenie kieruje się przeciwko każdemu korespondentowi zagranicznemu, który napisze z uznaniem o jakimś zachowaniu opozycyjnym jakiegoś obywatela polskiego, choćby to zachowanie było zupełnie jawne i publiczne, albo który opublikuje jakąś wiadomość poufną, nawet bez podania źródła; sądzi się bowiem, że publikacja taka zawsze ułatwia śledztwo w sprawie źródła tej wiadomości. W obliczu ryzyka narażania innych cofają się w Polsce przed śmielszymi posunięciami ludzie, których odwadze osobistej nie można nic zarzucić. Pod naciskiem tego kanonu „Wolna Europa” wykreśla ze swojego programu wszystko, co mogłoby choć trochę „podburzać”. To o czym tu mówię, to są przykłady, w moim przekonaniu, przesadnego stosowania tego kanonu, jakieś marginesy zakresu jego stosowalności. Nie powinny one przesłaniać faktu, że sam kanon jest jak najbardziej uzasadniony i słuszny; jestem też ostatni, który by nie doradzał w tych sprawach jak najdalej idącej rozważi. Upominam się tylko o to, żeby rozumieć, że obawa narażania innych ludzi jest środkiem pacyfikowania opinii. Twierdzę, że pacyfikacja opinii jest nie tylko funkcją tej obawy, ale także, że UB marzy o tym, żeby strach o innych ludzi był podniesiony do jak najbardziej kolosalnych rozmiarów. (Znowu te „Protokoły Mędrców Syjonu”!). Jestem całkowicie gotów przyznać, że każdy akt, choćby w najmniejszym stopniu wrogi, opozycyjny lub tylko niewygodny dla reżymu pociąga za sobą pewne ryzyko nie tylko dla sprawcy, ale także dla innych osób, często zupełnie przypadkowych. I dlatego zasada nienarażania innych, stosowana z absolutną konsekwencją, doprowadziłaby do tego, że nikt by się w niczym reżymowi nie sprzeciwił. Widzę w tym miejscu uśmiechy czytelników krajowych, że łatwo tak mówić, kiedy się siedzi w Izraelu, albo we Francji. Otóż ja tak samo mówiłem, kiedy siedziałem w Polsce.

Z dylematami tego samego typu mamy do czynienia ciągle w najróżniejszych dziedzinach. Zarzucano mi na przykład, że po

latach zapominam jak straszliwa była groźba interwencji sowieckiej w październiku 1956 r. i w „Chamach i Żydach” groźbę tę bagatelizuję. Nic podobnego. W pełni przyznaję, że groźba była straszliwa. Ja tylko pamiętam jak najwyżsi urzędnicy partyjni mówili ludziom, którzy zgłaszali się do nich z propozycjami uzdrowienia stosunków w jakimś okręgu, albo poruszenia jakiejś sprawy w jakimś artykule: „no oczywiście towarzyszu, macie rację, wszyscy byśmy tego chcieli, no ale zrozumcie, nie można, czołgi sowieckie...”. Mówi się tyle o dojrzałości politycznej społeczeństwa polskiego w tych dniach. Tymczasem społeczeństwo wyraźnie nie miało własnego rozeznania, co było możliwe do osiągnięcia bez prowokowania rozlewu krwi i w braku własnego rozeznania opierało się na rozeznaniu cudzym. Czy na tym polega dojrzałość polityczna? Osobiście nie mogę w to uwierzyć, aby nie było wtedy rzeczą całkowicie realną doprowadzenie, np. poprzez wywarcie odpowiedniej presji na władze, do zniesienia Małego Kodeksu Karnego, albo do założenia solidnych fundamentów rozwoju drobnego handlu i rzemiosła, i tym samym do usunięcia podstawy prawnej, na której w każdej chwili mógł z powrotem wkroczyć terror policyjny i do złamania monopolu państwa na rynku pracy. Nie mogę w to uwierzyć, żeby Rosjanie zainterweniowali zbrojnie, gdyby to się udało. Ale według rozeznania cudzego — zainterweniowaliby.

Jeszcze jeden przykład, już bez związku z dyskusją nad „Chamami i Żydami”. Ziemię Zachodnie. Gdybym był Hindusem, albo Brazylijczykiem, też bym prawdopodobnie był za granicą na Odrze i Nysie. Z prostego powodu. Nowa zmiana granicy praktycznie oznaczałaby znowu konieczność przesiedlenia przymusowych w skali masowej. Ale istnieje chyba jakaś droga pośrednia pomiędzy hasłem powrotu do granic z 1939 r. a systematycznym uleganiem prymitywnemu szantażowi: „kto jest przeciwko rządowi, ten faktycznie popiera rewizjonizm zachodnio-niemiecki i działa na rzecz rewizji granicy na Odrze i Nysie”. Tej drogi pośredniej wydają się absolutnie nie dostrzegać w szczególności koła katolickie w Polsce. A swoistym dowodem, jak bardzo centrala była z wyniku tego szantażu w Polsce zadowolona, może być próba zastosowania go w Finlandii, gdzie nagle została wystosowana sowiecka nota dyplomatyczna z propozycją układu wojenskowego gwarantującego obronę Finlandii przed groźącą jej agresją zachodnio-niemiecką!

◆

Popełniłem tu wielką nieprzyzwoitość. Dobre obyczaje polemiczne wymagają, żeby gdy się otrzymuje zarzut, odpowiadać na zarzut *ad rem* i nie uzależniać swojej odpowiedzi od tego, kim jest osoba, która zarzut wysunęła. Ja zaś przede wszystkim dzieliłem te osoby na kategorie i zacząłem się zastanawiać dlaczego takie a takie osoby takie a takie zarzuty wysuwały. Zrobiłem tak z dwóch powodów. Po pierwsze dlatego, że temat jaki

sobie tu postawiłem, to nie tylko odpowiedź na zarzuty. To także analiza recepcji „Chamów i Żydów” jako zjawiska. Drugi powód był ten, że nie chciałem ograniczać się do zarzutów wysuniętych w druku lub publicznie: byłem przecież świadomy, że cały szereg osób, które mi swoje zarzuty zakomunikowały, nie mogły tego zrobić jawnie; stąd w przypadku większości zarzutów nie mogłem podawać nazwisk. Moja klasyfikacja dyskutantów na kategorie była więc środkiem zastępczym, który mi pozwolił na uniknięcie jakiegoś bardzo bezosobowego zwracania się do polemistów.

Padł wszakże cały szereg zarzutów, na które nie będę tutaj odpowiadał szczegółowo, ale które chciałbym w pewien ogólny sposób skwitować bez żadnego zastanawiania się, kto je wysunął i dlaczego. Jest to cała masa najczęściej bardzo cennych zarzutów historycznej, faktograficznej natury.

Wbrew temu, jak mój artykuł został przyjęty, nie roszczę sobie żadnych pretensji do tego, żeby uważać się za historyka. Fakty które podawałem są z natury rzeczy niepewne i niesprawdzone. Było to programowe: chciałem się przeciwstawić jakiemś takiemu niby pozytywistycznemu stanowisku, że o faktach niepewnych i niesprawdzonych nie należy pisać. Moim zdaniem należy pisać, tylko nie należy czuć się pokrzywdzonym, jak potem biją. Należy pisać z intencją zainicjowania dyskusji, a nie odkrywania rzeczywistości. To jest jedyna droga rozwoju wiedzy o komunizmie: publikować plotki, a potem przypatrywać się co z tych plotek zostaje, jak się do nich dobiorą znawcy i krytycy.

Ryzyko lania jakie podejmowałem pisząc „Chamów i Żydów” było więc duże. I lanie to faktycznie dostałem. Tylko mój program sprawił, że nie odczuwałem bólu. Odczuwałem satysfakcję, że obraz wydarzeń pod wpływem mojego artykułu zaczynał się klarfikować. I dlatego wszystkim tym, którzy niekiedy z narażeniem siebie, swoje zarzuty mi nadsyłali, chciałbym tą drogą za tę satysfakcję całym sercem podziękować.

Witold JEDLICKI

Zastępcze plenum

(LIST Z WARSZAWY)

Plenum miało być zwołane jeszcze we wrześniu. Potem parokrotnie przesuwano terminy. Nic w tym dziwnego. Kiedy odkryto dziury w gospodarce, załamanie się planów inwestycyjnych, niedostateczną wydajność pracy oraz generalny bałagan — nasunęła się konieczność zanalizowania wszystkich błędów maszyny gospo-

darceży. Ale tego właśnie zlekęło się kierownictwo partii. Tym razem Gomułka nie miał odwagi, tak jak w 1959 r., w okresie „kryzysu mięsnego” i ucieczki Monata, zrobić wielkiego prania i przeprowadzić zmiany personalne. Nie bardzo było już w kim wybierać (wszyscy więksi kretyni już wówczas zostali wprowadzeni do aparatu państwowego i obdarzeni wicepremierostwami, tekami ministerialnymi i kluczowymi pozycjami w partii). Jednocześnie narastał w świadomości partii problem odpowiedzialności. W samym aparacie partyjnym, ba nawet w KC i w jego Wydziale Ekonomicznym szeptano po cichu: „Ci co nie umieją rządzić, powinni odejść”. Ale kto? Jak wysoko? W tym miejscu sugestie zawiślały w powietrzu.

Niezadowolenie stale rośnie. Stopa życiowa, która w latach „odwilży” popaździernikowej, tj. w 1957 i 1958, wyraźnie się podniosła, po okresie zatrzymania jej dalszego rozwoju w r. 1959 — została w 1962 r. brutalnie przykręcona. Przeszła przez rodzaj fazy cyklicznej i doszła do poziomu niższego niż w r. 1956-ym. Cyfry mogą ten stan rzeczy ukryć tym bardziej, że wiadomo iż w coraz większej mierze są one z powrotem „preparowane”. Ale rzeczywistość czują wszyscy, choćby przy swoich codziennych zakupach. Załamanie jest niemniejsze niż w okresie kiedy trzeba było zmieniać nieudany plan sześcioletni. Ta sama radosna twórczość, brakoróbstwo i bałagan, bałagan, bałagan...

Tym razem Gomułka nie wystąpił w ulubionej roli nauczyciela i promotora zmian, było bowiem jasne że nie będzie się mógł uchylić od osobistej odpowiedzialności. A przy tym każde śmielsze decyzje wymagałyby zasadniczych zmian personalnych, a to przy chwiejnej równowadze w partii groziło komplikacjami.

W międzyczasie był V Kongres CRZZ, na którym Gomułka wystąpił z przemówieniem gospodarczym. Było ono tak kompromitujące, że może i to wpłynęło na dalsze odkładanie plenum. Gomułka bowiem odkrył nowe przyczyny złej sytuacji gospodarczej w Polsce: spadek cen towarów sprzedawanych przez Polskę na zachód. Obliczono „straty” licząc o ile obniżyły się ceny tych towarów od 1956 r., pięknie wszystko dodano, no i wniosek jest jasny: kapitaliści są winni, że w Polsce jest źle, mniej z nimi handlować a będzie zaraz lepiej.

Podobne obliczenia robią tylko ekonomiści w Południowej Afryce, którzy obliczają, że Stany Zjednoczone są winne Afryce Poł. 11 miliardów dolarów bo od blisko trzydziestu lat utrzymują ceny złota na niskim poziomie.

Tylko że kopalnie złota są jednak przedsiębiorstwem, które przynosi zyski. Ale kto każe Gomułce inwestować w kopalnie węgla miliony i miliony kosztem obniżania stopy życiowej całej ludności? O tym że istnieje strukturalny kryzys węgla wszyscy wiedzą co najmniej od 5 lat. Na zachodzie zamyka się nierentowne kopalnie, racjonalizuje pozostałe. W Polsce zaś kopalnie się rozbudowuje, bo inne kraje socjalistyczne potrzebują węgla.

W niejasnych komunikatach na temat prac RWPG w Buka-

reszcie istnieje mała wzmianka o zmianie cen. W Polsce o tym nie pisano. Trochę światła na to rzuciły prasa NRD i Czechosłowacji. Pisano tam o cenach i że zdecydowano je przystosować do poziomu ostatnich lat. A więc nie tylko kapitaliści nie chcą płacić cen których już dziś nie ma.

Używanie byle argumentu mści się. Ale nawet tych byle argumentów nie umiano znaleźć w dostatecznej ilości, by nimi żonglować na Plenum. Zrobiono więc plenum o innej tematyce, tematyce działającej w kierunku zgody partyjnej. Idzie o nowe synekury i posady.

Temat ten został określony jako „Węzłowe zadania w dziedzinie szkolnictwa wyższego i badań naukowych”. Przedtem jeszcze pośpiesznie załatwiono sprawę zmiany na stanowisku Prezesa Akademii Nauk, co w praktyce oznacza ostateczne rozprawienie się z O. Langem, którego kandydatura przez pewien czas była uważana za niemal pewną.

Materiały plenum stanowią dokument godny uwagi. Na korzyść partii zapisuje się nie jej zasługi, a ukłon pod adresem uczonych „starszego pokolenia” jest bardzo wymuszony. Nie ma natomiast ani słowa o karierowiczostwie i niedouczeniu nowej kadry nauczającej, wychowanków partii z najgorszego okresu. Należy spodziewać się cofania się Polski na odcinku naukowym, w pierwszym rządzie w porównaniu z Rosją. Dotąd, dzięki kadrom sformowanym w okresie międzywojennym, mieliśmy sytuację uprzywilejowaną. Dał temu wyraz np. Chruszczow w życzeniach noworocznych, mówiąc o zdolnym polskim narodzie. Należy także liczyć się z dalszą biurokratyzacją nauki polskiej, m.in. na skutek schematycznego sposobu traktowania stopni naukowych.

Nie zapobiegnie temu mianowanie nowego wicepremiera do Spraw Nauki i Techniki (ma nim być obecny ambasador PRL w Moskwie, Bolesław Jaszczuk).

XI Plenum było więc wyraźnie plenum odcinkowym. Ważniejsze sprawy odłożono znowu na później. Zapewne decydująca rozgrywka nastąpi na IV Zjeździe Partii, który ma się odbyć jesienią. Przygotowania obu grup są już w pełni. Wzmożono np. przyjmowanie do partii, licząc że nowe elementy „technokratów” będą antypułaskie. Mogą być jednak niespodzianki, bo Zambrowski bardzo się rusza. Puławianie liczą na dalsze głupstwa w polityce gospodarczej, na zadrażnienie przez partyzantów stosunków z kościołem i chłopami.

Ubierają się oni w toż obrońców inteligencji, po cichu popierając antyinteligentką akcję Gomułki (powszechnie się mówi że antyinteligentkie akcenty w mowie Chruszczowa były zasugerowane przez Gomułkę w czasie pobytu lidera sowieckiego w Polsce). Jednym słowem gra polega na nagromadzeniu się głupstw, czego konsekwencją będzie poszukiwanie rozwiązania w powołaniu z powrotem do czołowych ról „starych, wypróbowanych towarzyszy”.

Gra klik partyjnych nie tylko się zaostrza, ale nabiera na perfidii.

Rafał Glücksman

Rafał Glücksman popełnił samobójstwo. Umarł redaktor naczelny publikacji z zakresu wiedzy o sztuce w Państwowym Instytucie Wydawniczym, redaktor naczelny Oficyny Wydawniczej „Auriga”. Strzępy wiadomości o jego śmierci i jej powodach docierają tu do Paryża.

Nie było w Polsce wydawcy, redaktora, specjalisty od książki artystycznej, który mógłby się z nim równać, o którym wszyscy by mówili z takim uznaniem, zachwytem. Ocena książek które wydawał była taka sama zagranicą jak i w kraju. Niejedną z nich — jak „Ołtarz Wita Stwosza”, jak „Rzeźba nagrobna”, jak wspaniały „Michałowski” — pokazywałem wielkim wydawcom francuskim. Ich ocena była zawsze entuzjastyczna. W Polsce narzekano na trudny charakter Glücksmana, nieustannie ścierał się ze współpracownikami, pracował wolno, uparcie bronił nie tylko każdej ze swych koncepcji, ale każdego błahego detalu, wydanie każdej książki trwało lata, ale każda nowa książka przemyślana, stworzona przez Glücksmana była wydarzeniem artystycznym. Nikt nie wątpił przy tym, że to człowiek najszlachetniejszy i bezinteresowności absolutnej.

W ostatnim okresie swego życia żył planem wydawniczym obliczonym na rynek światowy. Chodziło o dzieła sztuki, fragmenty obrazów przeróżnych epok, przez niego dobrane, wydane idealną techniką, komentowane przez najwybitniejszych, nie tylko polskich historyków. Wydawnictwo miało powstać w spółce z firmami holenderskimi, niemieckimi. Wyższe czynniki w Polsce poszły na ten plan. Glücksman wracał do Polski po ostatni podpis. I wtedy właśnie cały projekt został zerwany, Glücksman zaś traktowany podejrzliwie, gnębiony kontrolami i nadkontrolami finansowymi. Czuł, że zaangażował się zbyt daleko, żeby się cofnąć. Gorzki, żyjący samotnie wśród stosów ukochanych książek, nie wytrzymał tego nerwowo. Wiemy, że dzień przed samobójstwem odesłał wszystkie swoje orderki do ministerstwa, że prosił, by go pochowano na cmentarzu żydowskim i dołączył 30.000 złotych na koszt swego pogrzebu. Pogrzeb odbył się tak, jak sobie tego Zmarły życzył. Czarny tłum ludzi na żydowskim cmentarzu, wszyscy, kto tylko miał coś ze sztuką wspólnego. Pełno kwiatów. Nikt z ministerstwa nie pożegnał go słowem wdzięczności i nikt z czynników oficjalnych nie przemówił.

Tłum rozszedł się po półgodzinnym milczeniu. Ile się w Polsce pisze o złej, nieodpowiedzialnej pracy, o tym że brak nam rzetelnych, namiętnych, oddanych swemu zawodowi pracowników. Glücksman był takim właśnie pracownikiem.

Kto jest za śmierć Glücksmana odpowiedzialny? Intrygi konkurentów, którzy się z nim równać nie mogli, siuchty czy tępota urzędników bez wyobraźni i bez śmiałości, gdy tylko trzeba na siebie wziąć odpowiedzialność? „Wyższa polityka” tych urzędów, która jak tylko dotknie żywych spraw sztuki wszystko potrafi poplątać, każdą szerszą koncepcję zniszczyć?

To nie jest ani metafora, ani frazes nekrologiczny — śmierć Glücksmana jest ciosem dla kultury polskiej, której całym sobą służył od 1945 roku.

Józef CZAPSKI

Jeszcze jedna nieudana próba

Przeszło rok temu pisałam (1) o próbie wprowadzenia w Polsce społecznych sądów robotniczych, opartych na wzorach sowieckich. Warto się dziś zorientować, jakie są dalsze losy tego eksperymentu.

Wiele ciekawych informacji i wniosków w tej sprawie można wyciągnąć z seminarium, jakie odbyło się w marcu br. w Warszawie w ramach „Dni Prawniczych Polsko-Radzieckich (2). Referaty i dyskusje na tym seminarium pozwalają też zorientować się, jak różny jest stosunek społeczeństwa w Związku Sowieckim i w Polsce do tego typu wymiaru sprawiedliwości.

W Rosji Sowieckiej sądy społeczne zostały wprowadzone dekretem Lenina już w 1919 r. i od tej pory obowiązują bez przerwy, choć przechodziły wiele organizacyjnych i ustawowych przemian. Pierwsze sądy pod nazwą robotniczych dyscyplinarnych sądów towarzyszy (*rabocizje disciplinarnyje towarzyszeskije sudy*) powołane zostały tylko w zakładach pracy i miały za zadanie pociąganie do odpowiedzialności robotników wyłącznie za przekroczenia dyscypliny pracy. Stopniowo zasięg ich i zakres kompetencji był rozszerzany, a począwszy od 1931 r. kierownictwo ich działalnością przeniesiono z Ministerstwa

(1) *Kultura* — nr 10/168/1961.

(2) Referaty i dyskusje na seminarium zostały omówione w artykule mgr. J. Jasińskiego: Problematyka społecznych sądów robotniczych — *Praca i Zabezpieczenie Społeczne*, nr 8/1962. Ponadto streszczenie referatu polskiego ukazało się w *Prawie i Życiu*, nr 5, 6 i 7. 1962.

Sprawiedliwości do związków zawodowych. Dziś pod skróconą nazwą sądów towarzyszy (*towariszczeskiye sudy*) są one powołane przymusowo nie tylko we wszystkich zakładach produkcyjnych, w urzędach, instytucjach państwowych i społecznych, ale i w wyższych i średnich zakładach naukowych, przy komitetach blokowych, w kołchozach, we wsiach i w osiedlach. Również szeroki jest zakres ich kompetencji: podlegają im nadal sprawy dyscypliny pracy, należą do nich również „czyny godzące w zasady współżycia społecznego” wewnątrz zakładu pracy i poza nim, drobne wykroczenia administracyjne, sprawy o obrazy, zniewagi, uszkodzenia ciała, drobne sprawy majątkowe itd., itd. Do sądów tych mogą kierować sprawy urzędy, sądy, władze bezpieczeństwa, milicja, dyrekcje zakładów pracy oraz różne instytucje — np. „dobrowolne ludowe drużyny ochrony porządku” — i poszczególni obywatele. Sędziowie są wybierani na ogólnym zebraniu bądź to załogi zakładu pracy, bądź urzędników, uczących się, mieszkańców bloku, wsi, pracowników kołchozu.

W referacie sowieckim na seminarium stwierdzono, że po XX Zjeździe KPZR (luty 1956) „obnażono słabości i błędy” poprzedniej — tj. w okresie „kultu jednostki” — działalności tych sądów. Z podanego w prasie streszczenia nie wynika jednak, na czym błędy te polegały i czy referent sowiecki wierzy, że przy tego rodzaju koncepcji i rozpowszechnieniu sądów można ich w ogóle uniknąć. Z pewnych danych natomiast w prasie widoczne jest, że są one terenem porachunków osobistych lub zwalczających się grup jak też i narzędziem kontroli politycznej (np. oskarżenia o zbyt bliskie kontakty z cudzoziemcami).

W przeciwieństwie do tak łatwego i tak powszechnego narzucenia w Związku sowieckim tego typu społecznego sądownictwa, próby wprowadzania go w Polsce nie udawały się dotychczas. Pierwsza próba to wydana w 1945 r. ustawa o „sądach obywatelskich”. Sądy te spotkały się od razu ze zdecydowaną niechęcią społeczeństwa, nie odpowiadały zupełnie psychice polskiej, nie próbowano więc nawet rozwijać ich działalności i wkrótce „zmarły one śmiercią naturalną” — jak stwierdzono na odbytym w tym roku posiedzeniu Stowarzyszenia Prawników Polskich w Warszawie (3).

Po 10 latach — w końcowym okresie „stalinizmu” — podjęto nową próbę wprowadzenia sądów społecznych, tym razem nieco ostrożniej, bo nie w formie ustawy, a tylko uchwały Centralnej Rady Związków Zawodowych. Uchwała o „sądach koleżeńskich w zakładach pracy, instytucjach państwowych i urzędach”, podjęta w październiku 1955 r. miała mieć jednak charakter obowiązującego zarządzenia administracyjnego. I te sądy spotkały się ze sprzeciwem środowiska pracowniczego, nie przyjęły się w ogóle a nowo wybrana po październiku 1956 r. CRZZ uchwałę poprzednią uchylła.

(3) M. Kulczycki: W założeniu i w praktyce — *Trybuna Ludu* z 4.2. 1962.

Niestety przykład Związku sowieckiego i innych państw bloku (4) ciąży nad życiem społecznym w Polsce i tym też można chyba wytłumaczyć, że w końcu 1960 r. podjęto jeszcze raz próbę wprowadzenia w życie tzw. obecnie „społecznych sądów robotniczych”. Licząc się jednak zarówno z nieudanymi poprzednio eksperymentami, jak i z nastrojami załóg robotniczych, stosuje się dzisiaj znacznie ostrożniejszą metodę. Wprowadzanie sądów tych nie tylko nie zostało poprzedzone wydaniem ustawy czy zarządzenia administracyjnego, ale i dotychczas jeszcze, po dwuletnim już okresie próbnym, żaden przepis prawny w tym zakresie nie został ogłoszony. Co więcej, tłumaczy się nawet obecnie, że zasadniczym powodem dwukrotnego odrzucenia przez społeczeństwo polskie tego typu sądownictwa był fakt, że zostało mu ono narzucone bądź to trybem ustawowym, bądź też administracyjnym i że dziś powoływanie sądów musi być dobrowolne. Trzeba przyznać, że jest to uczciwe stwierdzenie niezależności społeczeństwa w Polsce. Uznaje się też za potrzebne prowadzenie badań socjologicznych, które pozwoliłyby zorientować się zarówno co do skuteczności działania sądów robotniczych jak i stopnia uznania ich przez załogi fabryczne. Badania takie — choć w niewielkim dotychczas zakresie — zostały już przeprowadzone w pierwszej połowie ub.r. przez Centralny Instytut Ochrony Pracy (przy pomocy sił naukowych uniwersyteckich) na terenie województwa wrocławskiego, gdzie powstały pierwsze sądy (5).

Wprowadzaniu sądów społecznych próbuje się dziś nadawać pozory oddolnej inicjatywy załóg robotniczych, choć jest to, oczywiście, zawsze decyzja organizacji partyjnych i związkowych. Ale i tę inicjatywę stosuje się niezmiernie ostrożnie: organizuje się je wyłącznie w dużych zakładach pracy i tylko w takich, w których „pozycja organizacji polityczno-społecznych jest mocna”, a załoga ustabilizowana. Podkreślano momenty te na seminarium, wysuwając jako motyw, że tylko w dużych zakładach pracy „warunki wspólnej pracy i przebywania w danym środowisku tworzą korzystny grunt dla powstawania ogólnych kryteriów i opinii zbiorowych co do zasad współżycia społecznego”.

Przy tak ostrożnych metodach nic dziwnego, że niewiele jest dotychczas w kraju sądów robotniczych, nie łatwo jest bowiem znaleźć zakłady pracy, w których pozycja organizacji politycznych byłaby mocna, a załoga ustabilizowana — zjawiskiem powszechnym dziś w Polsce jest niezmiernie wysoka płynność załóg robotniczych, niezadowolonych z warunków i stosunków pracy.

(4) Sądy społeczne obowiązują, na podstawie ustawy, w Czechosłowacji, Bułgarii, Rumunii, na Węgrzech.

(5) Rezultaty tych badań zostały omówione w dwóch artykułach: E. Modliński i A. Podgórecki: O społecznych sądach robotniczych — *Praca i Zabezpieczenie Społeczne*, nr 2/1962 i A. Podgórecki: Eksperyment w socjologii prawa — *Państwo i Prawo*, nr 1/1962.

W końcu 1961 r. było 16 sądów w województwie wrocławskim, 5 w Warszawie i kilka w poznańskim. Na początku bieżącego roku ukazały się wzmianki w prasie o zamiarach powołania dalszych 20 sądów w województwach warszawskim i poznańskim oraz o próbie rozszerzenia tego eksperymentu na województwa rzeszowskie i białostockie. Nie wydaje się jednak, by zamiary te zostały w pełni zrealizowane, bo pod koniec tego roku pisze się, że „raczej rzadko notuje się obecne fakty uruchomienia nowych sądów robotniczych” (6).

Sądy robotnicze działają dotychczas na podstawie regulaminów, ustalanych odrębnie dla poszczególnych województw — regulaminy te w wielu punktach różnią się znacznie między sobą. Choć w końcu upłynęło już dwa lata od powstania pierwszych sądów (październik 1960) i chociaż od tej pory toczą się stale dyskusje na temat ich organizacji — szczególnie w środowisku prawniczym — nadal sporne są tak zasadnicze zagadnienia jak zakres spraw i kategorie osób, które mają im podlegać, rodzaj kar, stosunek sądów tych do państwowego wymiaru sprawiedliwości, procedura formalna, system odwołań itp., itp. Z żalem piszą gorliwi zwolennicy sądów: „Wszystko wisi na fastrygach, utrzymuje się wrażenie prowizorki” (7).

W praktyce swej istniejące sądy nie zajmują się zupełnie sprawami dyscypliny pracy — co na pierwszym miejscu przewidywała uchwała CRZZ z 1955 r. — uwagę swą skierowały niemal wyłącznie na walkę z drobnymi kradzieżami, które stanowią istotną plagę zakładów pracy w kraju; zajmowały się też potrochu przejawami chuligaństwa, a choć regulaminy ich przewidują również rozpatrywanie spraw, wniesionych z oskarżenia prywatnego, nikt dotychczas spraw takich nie zgłaszał. Rzecz charakterystyczna też, z oskarżeniami występują przede wszystkim przedstawiciele dyrekcji, robotnicy wolą widocznie bronić niż oskarżać swoich towarzyszy.

Jakież wnioski wyciąga się w kraju z dotychczasowej działalności sądów robotniczych, czy uważa się, że zostały one uznane przez załogi fabryczne i że mają szansę dalszego istotnie dobrowolnego rozwoju? We wnioskach z badań socjologicznych pisze się wprawdzie, że „w świetle dotychczas przeprowadzonych badań stopień społecznej akceptacji sądów robotniczych wydaje się (podkr. aut.) być bardzo poważny”, wnioski końcowe jednak mówią znacznie ostrożniej: „Stwierdzenie czy sądy robotnicze są społecznie akceptowane w szerokim rozmiarze, czy będą one działać, gdy codzienna opieka organizacji politycznych i społecznych osłabnie i czy są one skuteczne nie tylko bezpośrednio ale i ze względu na skutki pośrednie, będzie możliwe dopiero po dłuższym okresie ich działania” (8).

(6) J. Topiński: W poszukiwaniu sylwetki sądu robotniczego — *Prawo i Życie* z 30/IX. 1962.

(7) Z. Łakomski: Co dalej? — *Trybuna Ludu* z 12. IX. 1962.

(8) E. Modliński i J. Podgórecki — j.w.

Skutki bezpośrednie powinny by się wyrazić w zmniejszeniu się liczby przestępstw, do sądenia których zostały one powołane. Dotychczas jednak — z nielicznymi wyjątkami i to podawanymi w wątpliwość — nie zdołano stwierdzić ustania czy zmniejszenia się nasilenia drobnych kradzieży pod wpływem działalności sądów robotniczych. Chyba że wpływ ich wyraził się w zwróceniu uwagi dyrekcji na ten problem i zwiększeniu przez nią kontroli nad robotnikami, ale nie taki był cel ich powołania.

Jeśli zaś chodzi o akceptację społeczną tych sądów, przeczy temu stwierdzony, w trakcie badań jak i bardziej kategorycznie w rok później w dyskusji na seminarium — stopniwy zanik zainteresowania się ich działalnością ze strony załóg robotniczych. Tylko pierwsze rozprawy cieszyły się wielką frekwencją robotników; była to nowość, której sztucznie nadano wielki rozgłos w prasie, radio, telewizji, na rozprawy zjeżdżali się korespondenci różnych pism, w których potem ukazywało się szereg reportaży itp.; ale już wkrótce ilość obecnych na sesjach sądowych zmniejszyła się znacznie. Stwierdza się też i inny jeszcze niezmiernie charakterystyczny objaw: zanikanie działalności istniejących sądów; na seminarium mówiono, że część wybranych sędziów nie spełnia w ogóle swych czynności, inni są „łękliwi” w obawie przed oceną ich roli ze strony kolegów w zakładzie pracy, mówiono o braku odpowiedniego „klimatu politycznego” dla działalności sądów, nie tylko bowiem załogi robotnicze, ale i działacze partyjni i związkowi w fabrykach przestają się nimi interesować. Działacze związkowi, którzy byli bardzo czynni przy powoływaniu sądów, potraktowali tę sprawę „od święta” i wkrótce aktywność ich zmalała lub nawet zupełnie zamarła.

Również obojętnie do sprawy sądów odnoszą się dyrektorzy zakładów pracy. Zaabsorbowani problemami produkcji — a wiadome jest z jakimi trudnościami muszą oni borykać się dziś w Polsce — obawiają się, że sądy te przysporzą im dodatkowych kłopotów. I jeszcze jedna ciekawa obserwacja: zarówno dyrektorzy jak i działacze polityczni nie chcą nieraz sądu w swoim przedsiębiorstwie, mógłby on bowiem świadczyć, że aż tak się tam źle dzieje!

W prasie przyznaje się, że są też w kraju zdecydowani przeciwnicy tego sądownictwa, szczególnie wśród sfer prawniczych, tylko że nie ogłasza się ich argumentów, bo publiczna dyskusja z nimi mogłaby być kłopotliwa. A wśród zwolenników widoczne jest wahanie, niepewność czy to sądownictwo będzie działać w kierunku rzetelnego wymiaru sprawiedliwości, czy można i jak obronić się przed wykorzystywaniem go dla interesów poszczególnych osób lub klik, albo też dla celów politycznych — przykład Związku Sowieckiego jest tu dobrym ostrzeżeniem. Niebezpieczeństwo takich wypaczeń stałoby się tym większe, gdyby sądy społeczne miały być wprowadzane we wszystkich zakładach pracy lub też stać się powszechnie obowiązujące. Powstaje też pytanie, kto ma kierować ich działalnością, kto ma decydować

o tak zasadniczym problemie, jak dobór spraw — nie mogą one przecież rozpatrywać wszystkich drobnych przestępstw i oskarżeń. W Związku Sowieckim tę niezmiernie skomplikowaną i trudną rolę powierzono związkowi zawodowemu, którym zresztą narzuca się od dawna w państwach bloku komunistycznego szereg czynności, nie mających nic wspólnego z ich właściwymi zadaniami i których nie są one w stanie wykonywać. Czy i w Polsce miałyby one podjąć się tej roli?

Podkreśla się dziś w kraju wyraźnie, że choć koncepcja sądów robotniczych wyrosła na gruncie zjawisk podobnych jak w Rosji Sowieckiej, to jednak musi ona być dostosowana do „specyfiki społeczeństwa polskiego”. Wydawałoby się, co prawda, że ta polska specyfika wyraziła się już niedwuznacznie w dwukrotnym odrzuceniu tego typu sądownictwa. I dziś zresztą charakterystycznym objawem jest odkładanie w nieskończoność ustalenia jego zasad i dania mu podstaw prawnych. Na pytanie, postawione na seminarium „Jak długo eksperymentować?” — padały i odpowiedzi: „Jak najdłużej!”.

Sądząc więc z nastrojów zarówno w środowisku prawniczym, jak i wśród załóg robotniczych, należy sądzić, że — o ile tylko nie nastąpi dalsze zwiększenie nacisku na robotników — społeczne sądy bądź to zostaną zdecydowanie odrzucone — choć taka decyzja nie byłaby dziś łatwą — bądź też zamrą śmiercią naturalną, jak sądy obywatelskie z 1945 r.

Janina MIEDZIŃSKA

Czerny-Stefańska w Australii

W okresie Wielkanocy 1962 r. odwiedziła Australię znana pianistka polska, Halina Czerny-Stefańska, której towarzyszył jej mąż, profesor Ludwik Stefański.

Zdaniem artystki, była to jej najgorzej zorganizowana tura. Naszym zdaniem — była to najgorzej zorganizowana tura, jaką kiedykolwiek wybitny artysta jakiegobądź kraju odbył w Australii. Zdawałoby się, że wszyscy są zgodni, o czym więc pisać?

Czerny-Stefańska występowała przy pustych salach na wszystkich niemal koncertach (maksimum frekwencji na pierwszym koncercie osiągnęło ok. 30% sali, z czego podobno 15%-20% miało kartki z Konsulatu); recenzenci natomiast byli zgodni, iż jest to pianistka dużej klasy. Jest nawet nadzieja, iż w niedalekiej przyszłości artystka przyjedzie na tournée, urządzone przez Radio Australijskie, co — dzięki systemowi abonamentów i dużej reklamie — zapewnia powodzenie.

Jasne jest, iż katastrofalne niepowodzenie artystki polskiej było wypadkową niedoświadczenia impresaria (który nigdy przedtem poważnych artystów nie sprowadzał, a zajmował się importem filmów europejskich, i to też ze zmiennym powodzeniem) i nieprawdopodobnej głupoty i indolencji czynników oficjalnych (przede wszystkim PAGART — państwowej agencji artystycznej), które na wszelki sposób przyczyniły się do kompromitacji — powtarzamy — nie artystycznej. Ignorancja miejscowego Konsulatu też nie pomogła.

Trudno ustalić, kto był winien temu, iż wynajęto największą salę ratuszową na 5 koncertów dzień po dniu i że wszystkie te koncerty wypadły w czasie Wielkiego Tygodnia, który się w ub. roku pokrywał czasowo ze świętami żydowskimi, a ponadto w Sydney z okresem Royal Show (Targów Rolniczych), które są również poważnym ewenementem życia towarzyskiego. Tak więc wybrano okres, kiedy wszyscy — Polacy i Australijczycy, Chryścijanie i Żydzi — mieli inne zajęcia, gdyż nieszczeremu impresario udało się „zdobyć” salę Ratusza, o którą normalnie nielawo. (Nic dziwnego, iż ją zdobył; w tym tygodniu nie było innych chętnych...). Tak rozpoczęła się pierwsza od wojny polska oficjalna impreza artystyczna. Żeby zaś ten pamiętny wieczór jeszcze bardziej uczcić i utrwalić w naszej pamięci, konsul wdrapał się na scenę przed rozpoczęciem koncertu (czego nawet ambasador sowiecki tu nie robi) i zawiadomiwszy, iż „proszono go” (kto?), by kilka słów powiedział, opowiedział słabą angielszczyzną, iż Chopin, to był wielki kompozytor, *you know...*

Polska publiczność w Australii nie jest nastawiona na chodzenie na koncerty, czytanie *Wiadomości*, czy *Kultury* czy inne rodzaje „mecenastwa” sztuki. Małcużyński miał nieco więcej Polaków (i niepomierne więcej Australijczyków) na swoich koncertach; przyczyniło się do tego nie tylko bardziej znane nazwisko (i płyty), ale lepsze terminy, reklama, organizacja. Małcużyński był oczywiście fetowany przez Polonię oficjalnie i prywatnie, co na pewno też pomogło do rozagitowania ludzi, którzy normalnie na koncerty nie chodzą.

W wypadku małżonków Stefańskich wszystko było na opak. Konsulat — żyjąc poza nawiasem życia Polonii — nie bardzo mógł, nawet gdyby chciał — postarać się o nawiązanie takich kontaktów. Na wielkim przyjęciu w rezydencji konsula, Polaków było bardzo niewiele. Nieliczne kontakty wynikały z prywatnej inicjatywy, a o kontakt z artystami nie było łatwo. Tak więc najprostsze miejsce spotkania — Domy Polskie — były — z jednym wyjątkiem pominięte. O tym wyjątku poniżej.

Po dość spokojnych — raczej zakłopotanych — wywiadach dla lokalnej prasy polskiej w Australii, ukazały się zgłę inne artykuły p. Czerny-Stefańskiej w *Za i Przeciw*. Być może, że odpowiedzialność za różnicę „tonu” ponosi p. A. Ritter, który artykuły „opracował”. Być może, iż czytelnikom w Polsce można było pisać historyjki, których nie można było skonfrontować z czytelnikami australijskimi, którzy wiedzą jak było. Dość na tym, iż oba artykuły są stekiem nieprawdopodobnych pół-prawd i kłamstw najgorszego gatunku. Nawet, gdyby jedynym udziałem p. Czerny-Stefańskiej w napisaniu tych artykułów było położenie podpisu — to i tak powinna się ona była zastanowić; istnieją bowiem chyba jakieś granice przyzwoitości — nawet, jeżeli są one inne tu i tam.

Cel całego przedsięwzięcia jest zupełnie jasny i oczywisty — chodzi o wybielenie czynników oficjalnych (konsulatu i Pagartu), a zwalenie winy na nieszczęsnego impresario (któż go wybrał, jak nie konsul lub Pagart?) i „reakcyjną” Polonię australijską...

W wywiadzie udzielonym pismu *Tygodnik Katolicki* w Melbourne na pytanie „jak doszło do nieszczęsnego przemówienia konsula”, nasza artystka zapewnia, iż to było zrobione całkowicie poza nami”. Natomiast w *Za i Przeciw* krytyka przez polskie pisma lokalne tego przemówienia i całej idiotycznej organizacji tury, oceniona jest przez nią (lub p. Rittera) jako „brudna i oszczerza kampania polityczna”. „Nie brak rodzimej reakcji”, „szepetana propaganda”, oto słowa artykułów podpisanych (nawet jeśli nie napisanych) przez znakomitą pianistkę polską.

Schemat dialektyczny p. Rittera (bo na pewno nie rzeczywistość) spowodowały, iż najczarniejsza sotka reakcyjna uplasowana została w stolicy federalnej Australii, Canberze. Tam też zaczęły się dopiero dzieła cuda.

Na lotnisku wita pp. Stefańskich „mocno zakłopotany wiceprezes tamtejszej Polonii”, gdyż „głowa zachorowała ponoć nagle i obłownie”. (Prawdą jest, iż Prezes S.P.K. w Canberze inż. Konecki był chory). Nie było prasy, za co też obwinia się kolonię, a nie czynniki, które się tym powinny zajmować. (Należy nadmienić, iż Canberga jest małą miejscowością urzędniczą o jednej malutkiej gazecie)...

„Nareszcie zapadła decyzja: jedziemy wszyscy do Domu Polskiego. Powitalna lampka wina to wielka improwizja: herbata, ciastka i kwaśne wino na stołach nieprzyzwoicie gołych — bez skrawka obrusu czy serwety. Żeby chociaż arkusz papieru pakunkowego — wzdycham w myślach — byłoby przynajmniej 'złudzenie bankietu'”.

Pomijając już przyzwoitość opisywania w taki sposób lokalu, do którego się było zaproszonym, jak jest naprawdę? Dom S.P.K. w Canberze jest jednym z największych osiągnięć materialnych i artystycznych Polonii. Projekt zdolnego architekta polskiego — Dom ten jest ładny, wygodny, czysty i bardzo przyjemnie — chociaż nowocześnie i użytkowo — urządzony. Stoly istotnie nie są pokryte obrusami, gdyż zbudowane są z masy ozdobnej zwanej tu „Formica”. Dziwne, iż p. Stefańska w czasie swych podróży po świecie nigdy takich stołów nie widziała. (Może to p. Ritter nie jeździł dotąd na Zachód).

Po tak miłym opisie przyjęcia na swoją cześć zabiera nas autorka do drugiej sali — klubowej — gdzie ludzie są rzekomo tak pijani, iż do czasu koncertu tj. „do jutra” „nie zdążą wytrzeźwieć”... Tak więc zaproszenie, by przyszedli na koncert, wygłoszone do grupy Polaków popijających piwo w sali klubowej zaczęło „napierać cech dramatu”. Nie wątpię, iż są w Australii pijacy i to może nie mniejsi niż w Polsce, ale tak się składa, że klub S.P.K. w Canberze nie jest żadną spelunką, a miejscem, gdzie członkowie spokojnie popijają piwo. I choć piwo australijskie jest mocniejsze, niż Żywiec, lub Okocim, to na pewno jest słabsze od wódki.

Przyjęcie wydane po koncercie przez dra Jerzego Zubrzyckiego, Profesora Socjologii na Uniwersytecie Narodowym w Canberze tak zostało przez gościa honorowego pokwitowane:

„Przyjęcie wystawne, wielu gości, ale nawet głęboka kultura i duże walory towarzyskie obojga gospodarzy nie zdołały rozwiać ciężkiej atmosfery

przy stole. Po prostu większość biesiadników reprezentowała skrajnie reakcyjne poglądy polityczne!”.

A może goście wprowadzili niemiłą atmosferę? Ta możliwość nie niepokoi autorki, mimo że jest warta zastanowienia; nawet może bardziej prawdopodobna, niż scena przyjęcia dla znakomitej artystki polskiej, na którym „skrajnie reakcyjne” poglądy zatrwały atmosferę. Ostatecznie pp. Stefańscy nie przyjechali jako wysłannicy Partii, co mogłoby wywołać niemiłe nastroje wśród „skrajnie reakcyjnych” emigrantów.

Pani Czerna-Stefańska ma dobre usposobienie. Takie wątpliwości nie zaprzatają jej głowy. Potrafi też tak układać swe wrażenia z Australii, by dać czytelnikowi jednolity obraz pijanych reakjonistów. Czasami też pamięć zawodzi ją w bardzo dogodnych chwilach.

Na przykład jeden moment w czasie zwiedzania Domu Polskiego w Canberze. Dom też zbudowany był wysiłkiem fizycznym i finansowym niewielkiej grupy tamtejszych Polaków, którzy są oczywiście bardzo z wyników dumni i chcą się pochwalić przed tak znakomitymi gośćmi. W czasie zwiedzania wszystkich zakamarków Domu, oprowadzający Sekretarz S.P.K. usłyszał następującą rozmówkę między małżonkami Stefańskimi:

„ON: A możebyś coś zagrała dla tych Polaków? — ONA: Co? Zwarowałaś? Dla tych chamów? Mam ich wszystkich w dupie!”.

r. k.

NOWE REPRESJE WOBEC DZIENNIKARZY EMIGRACYJNYCH

Władze warszawskie odmówiły wizej wjazdowej do Polski p. Irenie Gronowskiej, współpracownicy „Tygodnika Katolickiego” w Australii. Odmowa została umotywowana rzekomo niezyczliwym tonem reportażu p. Gronowskiej z poprzedniej jej wizyty w Polsce. W związku z tym Związek Dziennikarzy R.P. Syndykat Australia uchwalił energiczny protest.

Kronika kulturalna

Malarstwo Turkiewicza

Dwie zasadnicze postawy można wyróżnić w dzisiejszej wizji malarskiej; przedstawiającą i przedmiotową. Postawę pierwszą określa dostatecznie jej nazwa; postawą „przedmiotową” nazwiemy tendencję malarza, aby obraz nie starał się przedstawić jakiegoś zewnętrznego przedmiotu, lub jakiejś idei, a był sam przez się suwerennym przedmiotem, dziełem sztuki, które nie potrzebuje żadnego usprawiedliwienia w wyrażaniu czegoś co nie jest nim samym.

Dzisiejsze malarstwo Turkiewicza, którego zbiorową wystawę pokazuje Drian Gallery w Londynie, jest dobitnym przykładem tej drugiej, „przedmiotowej” postawy w wypowiedzi twórczej. Co prawda wśród 46-u wystawionych prac (nie włączając 12-u rysunków o których piszę osobno), tylko kilkanaście jest opatrzonych nazwami, które tę suwerenną przedmiotowość demonstracyjnie podkreślają, np. „Scraffito i Mozaika”, „Inkrustowana Powierzchnia”, „Prostopadłe Formy”, „Czerwone, Niebieskie i Zielone” itp.; pozostałe nazwy zdają się sugerować „przedstawieniowość” malarską np. w siedmiu wersjach „Drzewa Wiadomości”, albo w „Niebieskim Aniole”, albo w „Byku Zodiakalnym”. Ale ta „przedstawieniowość” ma raczej charakter nazwowy; idąc za zwyczajem często teraz stosowanym przez abstrakcjonistów, artysta po prostu wyróżnia obrazy w znaczeniu katalogowym, dając im nazwy pobudzające wyobraźnię i uwagę widza. Dzieło taką nazwą obdarzone nie pozostawia tu wątpliwości, że właściwie tylko jego formalna, przedmiotowo-malarska treść się liczy, a temat „przedstawieniowy” jest dla tej istotnej treści, czysto formalno-malarskiej, tylko pretekstem.

Ten zwrot w stronę czystego formizmu zaznaczył się w twórczości Turkiewicza dopiero w ostatnich latach. W poprzednich fazach (przypomnijmy nagrodzony swego czasu przez „Kulturę” obraz pt. „Marynarz przy Stole”) Turkiewicz był raczej „figuratywny”; twórczość jego wtedy należała do pewnej formy ekspre-

sjonizmu, wiążąc się w treściach formalnych z echem postimpresjonizmu, którego wszelkie ślady właściwe teraz zanikły.

Turkiewicz jest wielkim majstrem technicznym. Jego wrodzone inklinacje w kierunku rzetelnego rzemiosła jeszcze mocniej podkreśliło środowisko przedwojennej Warszawskiej Akademii, gdzie właśnie strona techniczna w sztukach plastycznych była daleko bardziej akcentowana niż w Krakowie. Poza studiami czysto malarskimi pod kierunkiem profesorów Kowarskiego i Pękalskiego, Turkiewicz specjalizował się w tkactwie pod Czajkowskim — i ta surowa dyscyplina znakomicie wyrobiła w nim zrozumienie gęstości nasycenia barwnego i rytmu powierzchni malarskiej oraz konkretności i odpowiedzialności najmniejszego fragmentu w kompozycji obrazu. Te zdobycze i cechy pogłębione zostały wydatnie w czasie podróży przez bliski Wschód — Irak, Persję, Arabię i Egipt — kraje największej kultury dekoracyjno tkackiej, a więc i najpotężniej sugerujące wrażliwemu artyście nieskończone możliwości rozprawy barwnej z dwuwymiarową powierzchnią.

Techniką, którą Turkiewicz stosuje jest specjalna postać fresku, a więc nasycanie przenikającymi barwnikami zaprawy murarskiej; słowo „specjalna” podkreśla odrębności techniczne, które są wynalazkiem artysty i których nie będą tu opisywał.

Należy podkreślić, że wszystkie pokazane prace są owocem ostatniego roku i że ich technika jest nowym wypracowaniem artysty! — jeszcze rok temu widzieliśmy *collage'e* Turkiewicza u Grabowskiego — a już dziś tamta technika została zarzucona na rzecz nowych zdobyczy. Wszystkie te ostatnie realizacje mają charakter monumentalnych kompozycji dekoracyjnych. „Dekoracyjność” bywa czasem interpretowana jako ubiednienie głębi wypowiedzi malarskiej na rzecz doraźnego efektu. Nie może tu być mowy o takim sensie tego pojęcia. Dekoracyjność tych ostatnich dokonań Turkiewicza jest niejako czymś wtórnym, organicznie wynikającym ze znakomitej manifestacji logiki powierzchniowej jego barwnych prostokątów, nasyconych wyrafinowaną materią, wyrafinowaną w kolorze i w fakturze. Każdy obraz bytuje tutaj w zdecydowanej, jednolitej a przecie zróżnicowanej, tonacji. „Słońce” — oznaczone pierwszym numerem w katalogu — jest jednym ze znakomych przykładów tej przebogatej jednolitości tonacyjnej; świeci piaskowo perlistymi żółtawościami o delikatnych zielonawych przebłyskach, a mała niebieska plamka dziwnej odmiany egipskiej lapis-lazuli, umieszczona we właściwym punkcie obrazu jest tak właśnie niezbędna dla jego wizualnej równowagi jak kamień zwornikowy w łuku gotyckim. Kompozycja „Badanie Przestrzeni” („Exploration of Space”, nr 27 kat.) daje rozwiązanie wymyślnej czerni w opozycji do szarawych półtonów, a wszystko spięte trzema niespodziewanymi synkopami: ciepło-niebieską, zielono-żółtą i czerwono-oranżową; świetny sonet barwny. Siedem wariantów „Drzewa Wiadomości” — to siedem różnych gam barwnych i siedem róż-

nych odmian rytmicznego skandowania powierzchni, którym idea „Drzewa” dała sugestie porządków formalnych, powiązanych z pniem, gałęziami, liśćmi lub owocami. Literat będzie tu skłonny do symbolicznych asocjacji form plastycznych z myślami wiążącymi się z „Drzewem Wiadomości”... Malarzowi wystarczy stwierdzenie oryginalności form składowych kompozycji, do której śmiała trawestacja „Drzewa” właśnie się przyczyniła...

Uzupełniając tę wystawę rysunki Turkiewicza można również podzielić na dwie grupy: na figuratywne i „abstrakcyjne”, to znaczy formułujące kształty i rytmy, które nie kojarzą się natychmiast w wyobraźni widza ze światem „realnym”, „zewnątrznym”. W pierwszej grupie tych rysunków jest „Akt” kobiety — jedyna praca, w której poznajemy Turkiewicza sprzed lat dziesięciu. Wszystkie inne realizacje, włącznie z rysunkami, są zdobyciami zupełnie nowej, w ostatnich trzech latach wypracowanej formy.

Turkiewicz należy do tych artystów, którzy nie tyle świecą na firmamencie sztuki jako już uformowane gwiazdy, ile składają się na materię z której istotne kondensacje się tworzą. Pytanie co jest „ważniejsze” jest tu bezprzedmiotowe, bo jednako jest ważne to, co jest autentyczne. Trud zaś Turkiewicza jest *autentycznym* trudem twórczym.

Marian BOHUSZ-SZYSZKO

Jako uzupełnienie omówienia p. M. Szyszko-Bohusza zamieszczamy z niewielkimi skrótami recenzję Pierre Rouve'a, która ukazała się w „The Aris Review”, vol. XV, nr 1 z 26.9.II. br.

Turkiewicz przyszedł za późno — taki mógłby być wyrok niektórych skrupulatnych graczy, co postawili stawkę na wyścig modnej sztuki i ze stoperem śledzą wyniki tego wyścigu.

Abstrakcja się skończyła i koniec.

Ale czy tak jest w istocie?

Ze swej wieży z kości słoniowej, Turkiewicz odpowiada i jego spokojna koncentracja staje się platformą dla polemiki.

Abstrakcja nie umarła — tylko dojrzała. Ona nie może być ani wykresem notującym refleksy układu mięśniowego, ani też bezsensownym mocowaniem się na chybił trafił zmieszanych surowych materiałów.

Przypadek przestał istnieć — pozostał człowiek. Obalenie przypadku zdyskredytowało natychmiastowość. Spontanizacja, która miała być nieomylna, okazała się fałszywym sofizmatem.

Przestała być mitem i stała się środkiem; skrótem dla ukrytej głębi, którą pośpieszna ręka jest w stanie zaledwie musnąć.

Bez tego ukrytego wymiaru malarstwo kręci się beznadziejnie w próżni. Nie mówi nic, bo nie było nikogo kto chciałby coś powiedzieć.

Wypadek jest niemy.

Ten upadek natychmiastowości oznacza rehabilitację czasu.

Błyskawiczność przestała być jedyną szafarką niezafalszowanej prawdy, a trwanie wysiłku malarskiego przestało być przedmiotem wzgardy, jako źródło wizualnych kłamstw. Niegdyś w wyścigu przeciwko czasowi, malarstwo sprzyściło się teraz z czasem; raptowny wybuch ustąpił miejsca powolnej inkubacji.

Obrazy nie wybuchają raptownie, lecz dojrzewają.

Raptowny moment twórczy należy przedłużyć w twórczy stan.

Czas będzie próbą, a ta powolna brzemienność malarska zapewni obecność malarza przy jego pracy twórczej.

Czas jest oczywisty w skondensowanych obrazach Turkiewicza, są to abstrakty, które wykluczają moment i akceptują czas. Artysta zna swoją medytacyjną naturę, jest on pszczołą, która cierpliwie zbiera wizualny pyłek, a nie wiatrem co go rozrzuca z nieodpowiedzialnym wigorem.

Dla niego pośpiech i natychmiastowość jest nieużytkiem. Nawet jego rysunki nie ufają raptownym impulsom ręki. Linie nie śpieszą się w utrwalaniu emocjonalnych ech, one spokojnie poszukują lakonicznej prostoty.

Dla Turkiewicza czas jest drogą do wewnętrznej pewności, ale ta pewność jest także i wątpliwą.

Malarz ciągle rozważa swoje wypowiedzi, roztrząsa każdy kontrolowany spazm faktury; każda chromatyczna modulacja zdradza ten na nowo narodzony problem już w samym akcie jego powstawiania.

Medytacja materializuje się i zastygła powierzchnia staje się świadectwem bezustannego posuwania się w kierunku ekspresji obrazu, który jest także bezustannym marszem w kierunku ludzkiego zaangażowania się malarza.

Faktura jest u Turkiewicza geologią w poszukiwaniu samego siebie. Ale faktura mogłaby się uprzykrzyć swoim niewygodnym związkiem z formą, tak bardzo inną od jej pełnego zrozumienia poprzez kolor.

Chromatyczne modulacje i materialny kształt idą własnymi drogami, ale one nigdy się nie rozchodzą, lecz się uzupełniają, nawet gdy sobie nie ulegają.

Ale u Turkiewicza forma jest arogancka i dyktatorska, a faktura jest zgęszczona i często utrzymana w swoich granicach.

Jeżeli Turkiewicz wydaje się wahać przed użyciem symbolów, to jego wątpliwości mogą wypływać nie tylko z zastrzeżeń czysto formalnych ale może to być spowodowane semantyczną dwuznacznością wszystkich form, które aspirują by być czymś więcej niż samymi formami. Przejście pomiędzy wyrazem ekspresji a ich znaczeniem jest bliźnią w większości dzisiejszych malarzy, a zwłaszcza tych co są sługami wewnętrznej uczciwości. Ten rozwód między doznaniem, które daje forma artystyczna, a jej znaczeniem jest prawdopodobnie spowodowany przepaścią, jaka dzieli nasze indywidualne doświadczenia i przeżycia od przymusów socjalnych, które zostały nam narzucone.

Jeżeli Turkiewicz nie jest zbyt pewny swoich form, wypływa to zapewne z usiłowań, aby stworzyć z nich symbole, które on chce by znaczyły to samo co one wyrażają.

Być może to nie jest próżnym marzeniem. Kto wie, może jednego dnia uda mu się osiągnąć ciemnych głębi naszej wspólnej przeszłości, która nigdy nie przeminęła kompletnie, gdzie nic nie umiera ponieważ wszystko trwa i każda forma opowiada historię. Nasi przodkowie czcili słońce i wierzyli w życiodajną ziemię, albo nasze tęsknoty za wiecznością, której na imię Ogień.

To byłoby zwycięstwem Turkiewicza i próbą ognia i wody.

Pierre ROUVE

Nagrody i konkursy

NAJLEPSZA KSIĄŻKA KRAJOWA I EMIGRACYJNA 1962 R.

Radio Wolna Europa nadało dwie tradycyjne dyskusje poświęcone przeglądowi produkcji literackiej ub.r. i wyborowi najwybitniejszych książek.

Dyskusja poświęcona literaturze krajowej odbyła się, jak w poprzednim roku, przy użyciu kabla łączącego studia radiowe w trzech miastach i w trzech krajach. Ze studia radia włoskiego w Neapolu zabierał głos Gustaw Herling-Grudziński, w monachijskim studio RWE zasiadli Tadeusz Nowakowski i Roman Palester, Londyn reprezentowali Maria Danilewiczowa i Tymon Terlecki, który przewodniczył dyskusji. Zgłoszono następujące książki (zestawienie alfabetyczne): Jan Błoński „Zmiana warty”, Jacek Bocheński „Boski Juliusz”, Jadwiga Hartwig „Apollinaire”, Mieczysław Jastrun „Mit śródziemnomorski”, Anna Kowalska „Oltarze”, Janusz Krasieński „Jakie wielkie słońce”, Ludwik Landau „Kronika lat wojny i okupacji”, Marian Promiński „Sezon w Górach Jowiszowych”, Bogdan Wojdowski „Wakacje Hioba”, Wiktor Woroszyński „Cyryl, gdzie jesteś?”.

Po szczegółowym rozpatrzeniu kandydatur postanowiono wyróżnić *hors concours* jako kategorię specjalną i wyjątkową — „Kronikę lat wojny i okupacji” Landaua; za najlepsze książki 1962 r. uznano *ex aequo* „Mit śródziemnomorski” Jastruna i „Boskiego Juliusza” Bocheńskiego; drugie miejsce zajęła „Zmiana warty” Błońskiego, trzecie — „Wakacje Hioba” Wojdowskiego.

Dyskusja o literackiej produkcji emigracyjnej została jak rok rocznie nadana z Londynu. Wzięli w niej udział: Jan Bielatowicz, Maria Danilewiczowa, Stefania Kossowska, Michał Sambor i Tymon Terlecki (przewodniczący). Zgłoszono następujące kandydatury (wyliczenie w porządku alfabetycznym): „Od Boskiej do Nieboskiej Komedii” Władysława Folkierskiego, „Dziennik” (t. II) Witolda Gombrowicza, „Dzieje Polski porzobiorowe” Mariana Kukiela, „Sprawa pułkownika Miasojedowa” Józefa Mackiewicza, „Człowiek wśród skorpionów” Czesława Miłosza, „Wspólna droga” Kajetana Morawskiego, „Polacy w Australii i Oceanii” Lecha Paszkowskiego, „Opatowa Anna” Jana Rostworowskiego, „Asy i damy” Juliusza Sakowskiego, książka zbiorowa „Norwid żywy” pod red. Władysława Günthera.

W wyniku dyskusji tytuł najlepszej książki emigracyjnej ub.r. przyznano „Dzięjom Polski porzobiorowym” Kukiela, drugie miejsce przypadło „Dziennikowi” Gombrowicza, trzecie — „Asom i damom” Sakowskiego. Ponadto przyznano zaszczytne wyróżnienie wydanemu pośmiertnie zbiorowi esejów Folkierskiego „Od Boskiej do Nieboskiej Komedii”. Ze względów formalnych (udział autora w dyskusji) nie mogła być rozpatrywana „Pani Helena” Terleckiego.

KOMUNIKAT

Jury konkursu na sztukę dramatyczną, rozpisanego dla uczczenia 20-lecia Ogniska Polskiego w Londynie i 20-tej rocznicy powstania pierwszego teatru polskiego na uchodźstwie — zebrało się 20 grudnia w składzie: Stanisław

Baliński, Irena Brzezińska, dr Leopold Kielanowski, dr Zygmunt Nowakowski (przewodniczący), Krystyn Ostrowski, Witold Sikorski i dr Tymon Terlecki.

Rozpatrzywszy 44 nadesłane sztuki, postanowiło:

Zwrócić się do Ogniska Polskiego, jako fundatora — z wnioskiem, aby przyznać nagrodę w wysokości 75 funtów Antoniemu CWOJDZINSKIEMU za sztukę „HIPNOZA”.

Nie przyznawać żadnej z nadesłanych sztuk nagrody Zasp w wysokości 50 £.

Przyznać nagrodę Towarzystwa Przyjaciół Teatru Polskiego w wysokości 30 £ sztuce „LEON I”, której autorem jest Bronisław PRZYŁUSKI.

Ponadto jury postanowiło:

Przyznać szczególne wyróżnienie sztuce, nadesłanej z kraju pt. „POSTACIE DRAMATU I CENZOR”. Po otwarciu koperty, opatrzonej go-dłem „Bezimienny” okazało się, że autor nie podał swego nazwiska, natomiast napisał: „Nie liczę na żadne wyróżnienie, więc nie podaję swego nazwiska. I nie mogę go podać. Jestem bezimienny: Ktoś z milona, kto patrzy i — widzi! Nic wyrzucajcie tej sztuki na śmietnik. Oddajcie do jakiegoś archiwum. To jest dokument. Może nieudolny, ale prawdziwy i przecierpiany. Może przyjdzie taki czas, jeszcze za mego życia, że wyjawię swoje autorstwo. W każdym razie wierzę głęboko w jego przyjsie. Tego uczy mnie historia”.

Jury przyznało dwa dalsze wyróżnienia sztuce „Konik morski” (autorka — Teodozja Lisiewicz) i sztuce „Placki kartoflane” (autor — Napoleon Sadek).

Nadto jury uzyskało od Zasp 20 £., od zarządu Ogniska Polskiego — £. 10, i od Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie — £. 20. na pomoc dla córki Stanisława Wyspiańskiego.

Wychodzący od 1932 roku

ZWIĄZKOWIEC

1475 Queen St. West, — Toronto 3, Ontario, Canada

jest jedynym pismem Polonii ukazującym się dwa razy w tygodniu. Chcesz wiedzieć o Kanadzie, być dobrze poinformowanym o życiu Polonii, mieć bezstronne wiadomości i omówienia wydarzeń międzynarodowych, być w kontakcie z życiem Polaków na całym świecie i w dalekiej Ojczyźnie — czytaj i prenumeruj

PÓŁTYGODNIK „ZWIĄZKOWIEC”

W każdym numerze dwie powieści nowoczesnych pisarzy polskich, artykuły z dziedziny wiedzy, wiadomości, specjalnie redagowane działy: „SPORT” — „ZWIĄZKOWIEC DLA DZIECI” — „KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU” — Za \$ 6.00 rocznie przychodzić będzie do Ciebie dwa razy na tydzień — to największe pismo Polonii Kanadyjskiej.

Książki

Jegor i Iwan Denisowicz

W jedenastym i ostatnim tomie *Dzieł Czechowa* (Warszawa 1962) znajdujemy *Sachalin* w pierwszym (skróconym) przekładzie polskim Ireny Bajkowskiej. Posłowie Natalii Modzelewskiej informuje o genezie książki.

Czechow postanowił zwiedzić „wyspę katorgi” pod koniec lat osiemdziesiątych. Znajdował się wówczas w pełni rozkwitu twórczego i powodzenia, toteż jego decyzja zaskoczyła przyjaciół i znajomych. Dziś widać, że sam dostrzegał lepiej oznaki zbliżającego się „kryzysu”. Pisał, pisał, a wciąż nie mógł dotknąć dna. Czuł się jak pływak, którego zbyt łatwo niosą naprzód i siłą utrzymują na powierzchni banalności dnia powszedniego: „Nie wyrobiłem sobie jeszcze politycznego, religijnego i filozoficznego światopoglądu, zmieniam go co miesiąc, muszę więc przestać na samych opisach — jak kochają się, żenią, rodzą, umierają, jak mówią moi bohaterowie”. Jest dość prawdopodobne, że na Sachalinie właśnie spodziewał się dotknąć dna ówczesnego życia rosyjskiego i życia ludzkiego w ogóle. Jeśli miał trochę racji wiele lat potem Lew Szestow nazywając jego nowele „twórczością z niczego”, to należało dokopać się korzeni tej nicości. „W katordze — mówił podobno przed wyjazdem na Sachalin — tkwi może jedna z najokropniejszych niedorzeczności, jakie potrafi wymyślić człowiek ze swoim umownym pojęciem o życiu i prawdzie”.

Przygotowywał się do podróży z właściwą sobie sumiennością i skrupulatnością, kokietując nieco swym „skromnym” statusem pisarskim, badawczym i publicznym: „Jadę całkowicie przekonany, że moja wyprawa nie wniesie nic nowego do literatury ani do nauki. Na to brak mi czasu, wiedzy i aspiracji. Należy jedynie żałować że to ja tam pojadę, a nie ktoś inny, bardziej świadomy sprawy i bardziej powołany do poruszenia społeczeństwa”. Ale rozumiał doskonale po co jedzie. W tym samym liście dodawał, że „Sachalin to miejsce największej męki, jaką potrafi

znieść człowiek wolny czy uwięziony” i odpowiedzialnością za „wyspę katorgi” obciążał „nas wszystkich”. Z okresu przygotowań pochodzi też wyznanie: „Dzięki książkom, które trzeba było prze-wertować (rosyjskie kodeksy karne, wypisy z historii więziennictwa, dokumenty z dziejów kolonizacji na Syberii) dowiedziałem się o tym, o czym każdy pod groźbą czterdziestu kijów wiedzieć powinien, a o czym ja w mojej ignorancji dotychczas nie wiedziałem”.

Wyruszył w drogę 21 kwietnia 1890 roku. 10 lipca dobił do brzegów wyspy.

Spędził tam trzy miesiące. Jest prawie nie do wiary, ile zdążył w ciągu tak krótkiego czasu zrobić. Odwiedził wszystkie więzienia i osiedla, dokonał spisu ludności wyspy, zanotował dziesiątki rozmów, puścił sam w ruch sondy jakimiś operują ekipy uniwersyteckie, złożone z rutynowanych badaczy i specjalistów od ankiet. Zagrozdono mu dostęp tylko do więźniów politycznych. „Widziałem wszystko, prócz kary śmierci. Teraz, gdy to wspominam, Sachalin wydaje mi się istnym piekłem”.

Pracował nad swoją książką cztery lata (z przerwami), traktując ją jak rozprawę spłacającą „dług zaciągnięty wobec medycyny”. „Doktor Czechow” przemawiał jednak takim językiem: „Przed wyjazdem *Sonata Kreutzerowska* Tołstoja była dla mnie wydarzeniem, a teraz śmieszy mnie i wydaje mi się czymś bez sensu. Albo dzięki podróży zmęźniałem, albo straciłem rozum — diabli wiedzą”. W samej rzeczy ta mieszanina raportu eksploratora, protokołu inwentaryzacji, rocznika statystycznego, studium z pogranicza psychologii, socjologii, medycyny i prawa, jaką jest książka o Sachalinie, nie mogła zmylić czytelnika, choć być może myliła cenzora.

„W płacówce Korsakowsk mieszka zesłaniec-katorżnik Ałtuchow, starzec sześćdziesięcioletni, a może jeszcze starszy, który ucieka wciąż w ten sam sposób: zabiera kawał chleba, zamyka swoją chatę i odszedłszy od Korsakowska nie więcej niż pół wiorsty, siada na górze i patrzy na tajgę, na morze, na niebo; posiedzi tak ze trzy dni i wraca do domu, zabiera prowiant i znowu idzie na górę. Dawniej chłostano go, a teraz tylko się śmieją z tych jego ucieczek. Jedni uciekają mając nadzieję, że spędzą na wolności miesiąc, tydzień, innym wystarczy choćby jeden dzień. „Jeden, ale mój!”. Tęsknota za wolnością owłada niektórymi osobnikami periodycznie i pod tym względem przypomina pijaństwo czy też padaczkę. Opowiadają, że zjawia się ona w określonych porach roku czy miesiącach, tak że lojalni katorżnicy, czując zbliżający się atak, za każdym razem uprzedzają zwierzchność o swej ucieczce. Zwykle wszystkich zbiegów bez wyjątku karzą wymierneniem batów czy też kijów. Ale już sam fakt, że często ucieczki od początku do końca uderzają swą niedorzecznością, bezmyślnością, że często ludzie całkiem rozsądni, skromni, mający rodziny, uciekają bez ubrania, bez chleba, bez celu, bez planu, z przekonaniem że ich na pewno schwytają, ryzykując

utrata zdrowia, zaufania zwierzchnictwa, swej względnej wolności, a czasem nawet pensji, ryzykując że gdzieś zamarną albo zostaną zastrzeleni — już sama ta bezsensowność powinna była podpowiedzieć sachalińskim lekarzom, od których zależy czy zbiegowie będą ukarani, że w wielu wypadkach mają do czynienia nie z przestępstwem lecz z chorobą”.

Ale „choroba wolności” nie obejmowała wszystkich więźniów sachalińskich. Jeden jedyny rozdział książki jest zatytułowany, co oznacza że autor pragnął jakoś podkreślić jego wagę. Nosi nazwę *Opowiadanie Jegora*.

Katorżnika imieniem Jegor spotkał Czechow w domu pewnego urzędnika, u którego wkrótce po przyjeździe na wyspę wynajął pokój. Był to czterdziestoletni chłop „o twarzy prostodusznej, na pozór głupekowatej”. Do domu urzędnika przychodził nie z obowiązku, lecz „z uszanowania”, do pomocy staruszce służącej. Wiecznie czymś zaprzątnięty, zręczny w zmajstrowaniu każdej rzeczy, wszędzie szukający pracy, spisał zaledwie parę godzin na dobę. Tylko w dniu świątecznym widywało go się na rozstaju dróg w kurtce narzuconej na czerwoną rubaszkę, z wypiętym brzuchem, z szeroko rozstawionymi nogami. Nazywał to swoim „spacerem”.

Na Sachalin zesłano go za „zabójstwo”. Z jego naiwnego i dość zawiłego opowiadania wynika, że oskarżono go bezpodstawnie i zasądzono niewinnie, z braku świadków. W sądzie powiedziano mu po prostu: „Tu każdy tak mówi i krzyżem świętym się żegna, a wszystko nieprawda”. Na Sachalinie jest prawie zadowolony ze swego losu. Zapytany czy tęskni za domem, odpowiada że nie: „Jedno mi tylko doskwiera — żal dzieci”. O czym myślał, kiedy go w Odessie prowadzono na statek katorżniczy? „Prosiłem Boga, żeby dzieciom rozum a mądrość zesłał”. Dlaczego nie zabrał ze sobą na Sachalin żony i dzieci? „Bo i w domu im dobrze”.

Natalia Modzelewska bardzo słusznie pisze w postłowie: „Najtragiczniejszą postacią katorgi spotykamy w pozornie beznamiętnie zanotowanym *Opowiadaniu Jegora*. Jegor to jakby syntetyczny obraz tych najuboższych duchem, którzy już nie odróżniają sprawiedliwości od krzywdy, zatracili wrażliwość na cierpienia własne i cudze, w których nie tli się choćby iskierka protestu. Przyjmują swój los z niewyczerpaną pokorą i nawet potrafią być zadowoleni. Ta straszliwa siła inercji i pokory, jak to pokazuje Czechow, stanowi jeden z filarów, na których opiera się katorga”.

Dla autora *Zapisków z martwego domu* męka potępionych na katordze miała charakter niczym niewytłumaczony, była jakby skrótem wiekuiestej doli człowieczej; katorżnicy polscy — jak trafnie zauważył Hostowiec — drażnili Dostojewskiego próbami jej racjonalnego czy mistycznego wytłumaczenia. Dla Czechowa pokorna męka Jegora była oskarżeniem społeczeństwa; autor książki o Sachalinie miał prawo położyć na jej karcie tytu-

łowej okrzyk Marksa: „Jakże nędzne jest społeczeństwo, które dla swej obrony musi się odwoływać do kata!”.



W sześćdziesiąt lat później oglądamy na katordze wnuka czy prawnuka Jegora, Iwana Denisowicza Szuchowa. Zesłał mu Bóg „rozum a mądrość”? Dopomogła mu rewolucja w rozeznaniu własnego losu? Wykrzesał w nim nowy ustrój „choćby iskierkę protestu”? Zwróciła mu nowa władza „wrażliwość na cierpienia własne i cudze”, wyposażyła go w zdolność „odróżniania sprawiedliwości od krzywdy”?

Czytając opowieść Aleksandra Sołżenicyna, można o tym wątpić. Nie to jest najstraszniejsze że w porównaniu z łagrem sowieckim z roku 1941, opisanym w moim *Innym Świecie*, warunki w łagrze Iwana Denisowicza z roku 1951 uległy znacznemu pogorszeniu; że *izdiewatielstwo*, okrutne i nieludzkie znęcanie się nad więźniami, weszło bez obstrukcji w skład systemu. Najstraszniejsze są krótkie zdania, równie beznamiętnie zanotowane i mimochodem rozsiewane w tekście Sołżenicyna, jak *Opowiadanie Jegora* w książce Czechowa. „Ile razy Szuchow zauważał: dnie w łagrze płyną, ani się obejrzyysz. A sam wyrok nie posuwa się ani trochę, nic zeń nie ubywa”. „Poczekaj kapitanie, osiem lat posiedzisz a i ty będziesz niedopałki zbierał. Dumniejszy od ciebie przychodzili do obozu”. „Fala była przedtem pomyślna: wszystkim pod sznurek dziesięć lat dawali. A od roku 1949 taka poszła fala, że wszystkim po dwadzieścia pięć lat, nie patrząc. Dziesięć lat można jeszcze jako tako przeżyć, ale dwadzieścia pięć trudno”. I zdanie zamykające opowieść: „Przeszedł dzień, niczym nie zmącony, prawie szczęśliwy”. Niczym nie zmącony, po opisie dziewięciu minut z których każda wypełniona jest męką i poniżeniem! Prawie szczęśliwy! Nie słycać tu echa głosu Jegora? Pod jednym względem jego wnuk czy prawnuk nauczył się wreszcie „odróżnić sprawiedliwość od krzywdy”: „A pomyśleć — dla kogo te wszystkie procenty? Dla obozu. Obóz przez to z budowy wygrzebuje dodatkowe tysiące, swojemu naczałstwu premie wystawia. A tobie — dodatkowych dwieście gramów chleba wieczorem. Dwieście gramów rządzi życiem”. Jegor nie miał jednak potrzeby oddawać swego życia w pacht dwustu gramów chleba: w wolnych chwilach stawał na rozstaju dróg z wypiętym brzuchem...

Iwan Denisowicz „już sam nie wiedział, czy chciał na wolność czy nie. Z początku bardzo chciał i codziennie wieczorem liczył, ile dni wyroku ubyło a ile jeszcze zostało. Potem mu się znudziło. Potem zaczęło się wyjaśniać że do domów takich nie puszczają, że pędzą na zesłanie. A gdzie mu będzie lepiej, tu czy tam, nie wiadomo. Tylko jedno ciągnęło na wolność — dom. A do domu nie puszczają”. „A dlaczego, Jegorze, żony i dzieci nie zabrałeś ze sobą na zesłanie?”. „Bo i w domu im dobrze”. „Aliosza — powiada Iwan Denisowicz do młodego „baptysty” z są-

siedniej przycy, — ja nic przeciw Bogu nie mam. W Boga chętnie wierzę. Tylko nie wierzę w raj i w piekło". Drażnił go trochę ten Aliosza, jak katorżnicy polscy drażnili Dostojewskiego: „Widzisz, Aliosza, u ciebie się to wszystko cudnie składa: Chrystus ci kazał sięść, za Chrystusa cię posadzili. A ja za co tu siedzę?". Za nic. Zrzędzeniem wiekuistej męki potępionych.

W opowieści *Sołżenicyna* wspomina się tylko raz o rewolucji. Jeden z więźniów, operator filmowy Cezar, rozmawia z towarzyszem niedoli, kapitanem marynarki Bujnowskim, o filmie Eisensteina *Pancernik Patiomkin*. Chodzi o słynną scenę, w której „czarnomorcy” na widok robaków w mięsie podnoszą zaciśnięte buntowniczo pięści: scenę pomyślaną oczywiście przez Eisensteina jako wielka metafora zgnilizny caratu. Bujnowski powiada: „Myśle że gdyby nam to mięso teraz przywieźli do łagru, wrzucilibyśmy je do kotła nie myjąc go i nie oskrobując”. Przysłuchujący się rozmowie inni więźniowie potakują: „A-a-a! U-u-u!”. Tak w roku 1951 brzmi komentarz nowych „przeklętych i uciśnionych” do wypadków, które w piętnaście lat po podróży Czechowa na Sachalin zachwiały caratem.

Jakże nędzny jest ustrój, który dla swej obrony musi się odwoływać do kata!



Lektura książki Czechowa o Sachalinie budzi obecnie dodatkowe refleksje. Dziwne czasy, w których sławnemu i chorowitemu pisarzowi chciało się trzy miesiące przedzierać do zapomnianej przez Boga i ludzi wyspy katorżników! „Od Krasnojarska do Irkucka — pisać z drogi — potworny upał i kurz. Proszę dodać do tego głód, kurz w nosie, oczy klejące się ze stałego niewyspania, ustawiczny lęk że powóz się złamie. A jednak, mimo wszystko, jestem zadowolony i dziękuję Bogu, że dał mi siły odbyć tę podróż. Wiele widziałem i wiele przeżyłem, a wszystko to jest niezwykle interesujące i nowe dla mnie nie tylko jako dla literata, lecz po prostu jako dla człowieka”. Jeszcze więcej zobaczył i przeżył, „nie tylko jako literat, lecz po prostu jako człowiek”, na Sachalinie.

W naszych czasach zdobywanie informacji nie wymaga takiego wysiłku, ale nie jest przez to bynajmniej dla „współczesnego literata i człowieka” prostsze i łatwiejsze. Dziesięć lat temu, w głośniejszej polemice z Camusem na łamach *Les Temps Modernes*, Sartre pisał: „I ja uważam obozy sowieckie za niedopuszczalne; niedopuszczalny jednak jest dla mnie także użytek, jaki robi z nich codziennie prasa burżuazyjna”. Dokładnie to samo powiedział mi trzy lata temu Broniewski. Oznaczało to w praktyce że „niedopuszczalne” jest w równej mierze istnienie obozów co pisanie o nich, skoro prasa nie „burżuazyjna” albo otaczała je z reguły zmnową milczenia, albo widziała w nich wymysł orędow-

ników „zimnej wojny”. Iwan Denisowicz winien był zatem czekać cierpliwie, aż jego los powołany zostanie przed czystszy trybunał.

Mamy dziś, dzięki opowiadaniu *Sołżenicyna*, taki trybunał: przewodniczy mu sam Chruszczew. Nareszcie „właściwa” prasa zrobiła z obozów „właściwy” użytek. Ale choć przyglądamy się z satysfakcją obradom „czystego (nie to że spóźnionego o ćwierć wieku!) trybunału”, nie jesteśmy w stanie odpędzić sprzed oczu starej fotografii z roku 1935, którą Borys Lewickij włączył do swojej świetnej książki *Vom roten Terror zur sozialistischen Gesetzlichkeit*. Przedstawia ona inspekcję obozów *Bietomorkanału* (według przybliżonego szacunku pochłonęły one trzysta tysięcy ofiar w katorżnikach). Na pierwszy planie para mistrzów: Jagoda i Kaganowicz. Trochę z boku, w cyklistówce na bakier i rubaszce wyrzuconej na spodnie, z twarzą prostoduszną i na pozór głupkowatą, z założonymi w tył rękami i wypiętym brzuchem, terminator: Nikita Sergiejewicz. Może także wnuk czy prawnuk Jegora.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Poprawki

Charakteryzujemy człowieka przez przeciwieństwo! Przeciwnieństwem polityczno-osobistych wspomnień p. Kajetana Morawskiego, byłego ambasadora rządu emigracyjnego w Paryżu, będą „Z moich przeżyć politycznych i walk” Władysława Studnickiego, największego polskiego publicysty końca XIX i początków XX wieku. Studnicki był człowieczkiem małego, prawie dzieciennego wzrostu. Sienkiewicz przyrównał go kiedyś do swego Podbipięty, nie jako do olbrzyma fizycznego, lecz jako do olbrzyma charakteru w służbie idei. Studnicki chodził zawsze w potarganym ubraniu, zawsze źle włożonym krawacie; zawsze znosił pod swoje nogi wszystkie kamienie i kłody; zasadniczo obrażał wszystkich, którzy w jego mniemaniu prowadzili szkodliwą dla Polski politykę. Kiedyś miał odczyt w Grodnie. Któryś z jego słuchaczy zabrał głos i wygłosił zdanie następujące: — „A ja, proszę pana profesora, uważam, że Polska bardzo źle zrobiła odrzucając linię Curzona, bo gdyby ją przyjęła, to by nie miała żadnych tarć z Rosją”. Studnicki spokojnie i zupełnie grzecznie zapytał go w odpowiedzi: — „A cóż pan robi w Grodnie?”. — „Jestem dyrektorem miejscowego gimnazjum”, brzmiała odpowiedź. Wtedy Studnicki wyciągnął swe drobne piąstki do audytoria i wykrzyknął swym rosyjskim akcentem: — „Panowie, jak możecie się zgodzić, aby taki dureń uczył dzieci wasze”.

Oczywiście nie będę Studnickiego stawiał p. Kajetanowi Morawskiemu jak wzór do naśladowania w dyplomacji. Studnicki dyplomata nie był, jego publicystyka opierała się na szczerości uczuć, na ofiarności osobistej zupełnie bezprzykładnej — Studnicki w każdej okazji gotów był płacić całą swoją osobą, całym swoim życiem — p. Kajetan Morawski jest natomiast dyplomata, będąc jednocześnie bardzo średniego wymiaru publicystą. Prawdziwe walory p. Morawskiego polegają na zupełnie czym innym, mianowicie jest to człowiek prawdziwie gołębiego serca, on wszystkich kocha, wszystkich chwali, wszyscy mu się podobają. W swoich dwóch wydanych na emigracji książkach: „Tamten brzeg” i „Wspólna droga” chwali i pochwała Piłsudskiego i Korfanteo, Sikorskiego i Dmowskiego, Rydza, Mikołajczyka i Raczyńskich, Andersa i Zaleskiego, Jerzego Giedroycia i Stanisława Stomę, Bohdana Wasiułyńskiego i Ksawerego Pruszyńskiego, Wacława Zbyszewskiego i Banaczyka, czyli chwali i pochwała ludzi reprezentujących nie tylko wręcz sprzeczne tendencje, ale częstokroć reprezentujących niezgodne z sobą pojęcia o moralności politycznej, o zasadach politycznych w ogóle. Odpowiednikiem tego gołębiego serca w pismach p. Kajetana Morawskiego jest jego przebieg kariery politycznej. Był to wiceminister i członek rządu Witosa w chwili zamachu majowego, był to wiceminister i członek rządu Sławoja Składkowskiego, zajmował wreszcie równorzędne do stanowiska wiceministra stanowisko w rządzie Sikorskiego. Tego nikt inny w Polsce nie dokonał. Nie jest notowany w naszych dziejach inny człowiek, który by był politycznym współpracownikiem Witosa i Chienio-Piasta, Sławoja Składkowskiego i Rydza i Sikorskiego z Mikołajczykiem. Nie tylko nikt tego nie dokonał, ale ośmielam się twierdzić, że nikt nawet nie usiłował dokonać, nie zamierzał dokonać.

Czasami ten prawdziwie gołębi stosunek do spraw politycznych wywołuje wręcz żenujące — bo trudno mi znaleźć wyraz bardziej odpowiedni — sądy historyczne. Na str. 48 „Wspólnej Drogi” wypowiada się p. ambasador Morawski o Naczelniku Państwa, Józefie Piłsudskim w zdaniu następującym: „Zachowałem głęboki szacunek dla pierwszego Naczelnika Państwa, na którego tylekroć patrzyłem w Belwederze, jako na szachetne wcielenie odradzającej się Rzeczypospolitej”. Epistolarnie piękne stylu p. Morawskiego nabiera w tym zdaniu rumieńców entuzjazmu... „szlachetne wcielenie odradzającej się...”. Ale czytamy wręcz niespodziane zdanie następujące: „Nie mogłem jednak ludziom, na których się oparł, wybaczyć zdeptania konstytucji i wywołania bratobójczej walki...”.

Wynika z powyższego, że idealista p. Morawski tak daleko idzie w idealizowaniu Marszałka iż zdejmuje z niego odpowiedzialność za zamach majowy, że powiada: to nie on, to niedobrzy ludzie, którzy go obałamucili. Chyba nie potrzebuję argumentować, iż to jedno zdanie wystarczy, aby z miejsca przestać uważać pracę p. Morawskiego za jakikolwiek dokument historyczny.

Bo przecież niewątpliwie jest dla każdego, że całkowitą odpowiedzialność za zamach majowy ponoszą nie żadni niedobrzy ludzie, lecz sam Marszałek osobiście. Nigdy się tej odpowiedzialności nie wypierał i wielokrotnie ją publicznie w swych przemówieniach i pismach podkreślał. Może tylko zdumiewać fakt, że znalazł się ktoś, kto by poddawał w wątpliwość fakt, iż tak oczywisty i tak wszystkim znany.

W podobnym charakterze zbyt uprzejmego komplemencisty występuje p. Morawski w stosunku do wszystkich osób o których sądzi, że ich nazwisko, czy też wspomnienie ich nazwiska, jest, czy też może być u kogokolwiek popularne. Pisze komplementy nawet Rydzowi. W czasie przygotowań Polski do wojny z Hitlerem był p. Morawski wiceministrem skarbu, a więc możemy od niego wymagać, by znał elementy finansów. Sam jest niewątpliwie człowiekiem bardzo inteligentnym. Jakże więc jako ekonomista może bronić Rydza, który finansowe przygotowanie do wojny widział w zbiórkach publicznych. Pamiętam, jak pisałem artykuł pt. „Dziewczynki, które nie zjadły bułeczek” o dzieciach ze szkółki w Nowogrodzkiem, które odmówiły sobie śniadań przeznaczając te biedne groszaki na przygotowanie wojny, być może na zakupienie pancerników. Tym biednym dzieciom wolno jest wybaczyć ich wzniosłą naiwność, ale nie wiceministrowi skarbu. Idealizacja tego rodzaju finansowego przygotowania wojny graniczy z idealizacją poczucia nieodpowiedzialności za losy państwa w ogóle.

Pisząc o konsekwencjach zamachu majowego p. Morawski oświadcza: „Postanowiliśmy tedy wystąpić z własną listą skupiającą ludzi mniej uległych od Bloku Współpracy z Rządem”. Jest tu mowa o liście nr 30 którą organizował p. Morawski w Poznaniu zacierając w ten sposób swój udział w rządzie Witosa bronionym przez Andersa, ostrzeliwanym przez wojska Piłsudskiego. Lista ta nie mogła być bardziej, czy mniej uległa od Bloku Bezpartyjnego, bo Bloku Bezpartyjnego wtedy jeszcze nie było; — rzecz polegała na tym, że w Poznańskim wówczas lista nr 1 z której powstał Blok Bezpartyjny była bardzo niepopularna i że dla efektu wyborczego należało ją jakoś zakamufłować. Zadania tego podjął się właśnie p. Morawski. Nigdy nie zauważyłem, aby posłowie, którzy wyszli z tej listy byli w czymkolwiek bardziej niezależni od przeciętnego członka tego klubu.

Na str. 137 książki „Wspólna droga” wspomina p. Morawski Komisję Badawczą powołaną przez rząd gen. Sikorskiego w Angers, która miała się zająć wykrywaniem zbrodni sanacyjnych w Polsce, a zwłaszcza zbrodni rządu Sławoja. Dowiaduję się teraz z ulgą, że p. Morawski były wiceminister ostatniego rządu, nie był jednak stroną oskarżającą w tej komisji, jak mnie o tym wówczas dochodziły słuchy. P. Morawski pisze, że „zawezwano mnie do spisania mych uwag o systemie i toku prac rządowych w ostatnich latach przed wojną” po czym nieco liryzując sytuację, pisze dalej: „W mieszkaniu nad Sek-

waną, które z podświadomą nadzieją na przyjazd mych dzieci wynajętem do spółki z Michałem Wierusz-Kowalskim, siadłem więc przy oknie i patrząc na już wówczas bliską mi nie tylko topograficznie Bibliotekę Polską zacząłem pisać o tym, jak Eugeniusz Kwiatkowski starał się Polskę zagospodarować w myśl kazimierzowskiej tradycji — od środka. Rękopisu nigdy nie wręczę żadnej Komisji Badawczej”.

A więc wynika z tego, że krytyka rządu, którego sam p. Morawski był członkiem, była u niego obstalowana, ale do biur Komisji Badawczej nie dotarła, a tylko pisana była przed oknem.

Co nas godzi z p. Morawskim, to jego sentymentalny stosunek do wielu osób wypowiediany z serdecznym entuzjazmem. Dziwi to trochę w człowieku, który tyle przeszedł i musiał być z natury rzeczy często karmiony sceptycyzmem. Z jakimże dziecinnym uniesieniem pisze o Korfantom i kardynale Hlondzie. Jakichże wzniosłych przy tej sposobności dobiera wyrazów! Zapomina kardynałowi, że ten wyfrunął z Polski natychmiast jak się wojna zaczęła, co było przekroczeniem wskazówek wydanych swego czasu przez Benedykta XV. Ale kardynałem Hlondem rządziła wyższa konieczność, chciał być na jakiejś konferencji o teologicznym charakterze. Pisze p. Morawski z rozczuleniem: „Augustyn Hlond urodził się tak jak Wojciech Korfanty na Śląsku, w ciasnej izbie robotniczej”. Wyraz „ciasna” przeznaczony jest oczywiście, aby tworzyć nastrój. A dalej znów czytamy: „wrodzone, atawistyczne, nie zawsze dostosowane do współczesnej rzeczywistości piastowskie poczucie polskości przepajało do cna jego śląską duszę”.

Ta duża ilość przymiotników wskazywałaby, że p. Morawski widzi jakąś spójnię pomiędzy bankami, a Piastami, zwłaszcza, że sam przytacza wyrok sejmowego sądu honorowego w sprawie posła Korfantego. Zbytne idealizowanie człowieka niezawsze przynosi mu korzyść, bo wywołuje odruchowe sprzeciw.

O mnie pisze p. Morawski wyjątkowo nieżyczliwie i w sposób uprawniający do dania odpowiedzi. Wspomina, że przeszedłem „incydentalnie przez Berezę”. Nie bardzo rozumiem, jak można było być w Berezie nie incydentalnie, to jednak wiem na pewno, że tego rodzaju incydent nigdy by się p. ambasadorowi Morawskiemu nie wydarzył w żadnej okoliczności. Potem wymieniacząc ludzi, którzy znaleźli się w Loures Barousse wspomina, że był tam „Stanisław Mackiewicz z sekretarką”. Ta ścisłość biograficzna nie odpowiada tekstowi podawania informacji o innych osobach, ale oczywiście nie mogę się o nią gniewać, ani nawet dziwić, bo p. ambasador Morawski w swoich wspomnieniach stale umieszcza różne informacje osobiste, nie dając im dalszego ciągu, co jest jego dobrym prawem jako pamiętnikarza i autora. Tak na przykład wspomina o rezolutnej postawie swego starszego syna, który uciekając wraz z nim Warszawy, w rozmowie z porucznikiem ułanów, który mówił

mu o przeprawie w Garwolinie: „Nie jedźcie tam, tam jest piekło, piekło, piekło” zajął stanowisko bohaterskie... „Aż mój syn — pisze p. ambasador — nieobeznany jeszcze z wojną podchorąży, wyprężył się, zsalutował i na pochybel dyscyplinie rzucił: Dziękuję za wskazówki Panie Poruczniku. To właśnie tam-tydy się przeprawię”.

Użycie wyrazu „na pochybel” wprowadza nas w jakąś sienkiewiczowską atmosferę. Toteż żałujemy, iż nie wiemy czy pp. Morawscy przejechali „na pochybel” ten Garwolin czy też nie. Ale zdaje się że nie.

Wobec mojej osoby stosuje p. Morawski pewne dziennikarskie chwytaki mające mnie ośmieszyć. Pisze mianowicie, że w towarzystwie trzech innych polityków wyjechał był z Loures Barousse na „zwiady” do Tuluzy, po czym dodaje: „Wyjazd nasz zaniepokoił żywo innego polityka. Stanisław Mackiewicz łączył zawsze bujną imaginację z litewską podejrzliwością. Już nazajutrz spotkaliśmy go na ulicach Tuluzy. Zafrasowany naszą nieobecnością i węsząc podstęp pogonił za nami. Z trudem zdołaliśmy go przekonać, że nie zamierzamy opuszczać w tajemnicy przed nim Francji ani też układać się na własną rękę z Pétainem lub nawet z okupantami. Zwłaszcza ta druga ewentualność zdawała się ku naszemu zdziwieniu zaprzętać jego umysł. Tym natarczywiej skłanialiśmy go do powrotu do Loures Barousse”.

Nie umiem posługiwać się bronią aluzji lub dziennikarskiej sugestii w sposób tak finezyjny i mistrzowski, jak to czyni p. Morawski w swych publicystycznych arcydziełach. Czuję się zupełnie bezbronny wobec jego wspaniałej szermierki. Mogę tylko powiedzieć w formie odpowiedzi, że do Tuluzy przyjechałem dla uzyskania francuskiej wizy wyjazdowej i, nie pamiętając nawet, że wtedy widziałem p. Morawskiego, wyjechałem przez Perpignan, Madryt i Lizbonę do Londynu wraz z towarzyszącym mi wtedy Ksawerym Pruszyńskim. W rok zdaje się po mnie, przyjechał do Londynu p. Morawski i jego równie inteligentna jak piękna i miła córka, zaprosiła mnie w jego imieniu na śniadanie na którym p. Morawski był dla mnie wprost uroczy. Dopiero dzisiaj, czytając jego wspomnienia, zrozumiałem powody tej uprzejmości. Chodziło widać o sprawdzenie, czy czegoś nie wypląłem.

O nic p. Morawskiego „podejrzewać” nie mogłem, bo dokładnie wiedziałem o co chodzi, chociaż nie dotyczyło to Pétaina, ani okupanta. Moja postawa w Libourne jest dostatecznie znana i jej przypominać tutaj nie warto. Natomiast w Loures Barousse zostałem zaskoczony pewnymi planami, które wówczas żywił p. Morawski i jeszcze innych kilka osób. Odmówiłem z miejsca mego w tych planach udziału, uznając je przede wszystkim za nierealne, a dopiero później za niewłaściwe. Nigdy jednak nikomu o tych planach p. Morawskiego w Loures Barousse nie powiedziałem ani słowa, ponieważ rzecz mi była powiedziana w poufności i nie nadawała się do rozgłosu ani wtedy, ani póź-

niej. Nie mogę zupełnie pojąć dlaczego p. Morawski do tej sprawy najniepotrzebniej wraca.

W dalszym ciągu swych opowiadań wspomina p. Morawski, że „postanowił ustąpić wraz z Edziem” znowu nieścisłość liryczna. Chodzi tu o zmianę gabinetu po śmierci gen. Sikorskiego, kiedy urząd ministra po Edwardzie Raczyńskim objął p. Tadeusz Romer. Pan Morawski ustąpił wtedy z ministerstwa w Londynie, aby objąć stanowisko ambasadora przy de Gaulle'u w Algierii, co nie było z jego strony żadną demonstracją za Edziem, a przeciwko Tadziowi, bo obu tych panów p. Morawski uważa za swoich przyjaciół, a nowym awansem p. Morawskiego, ponieważ ambasada we Francji miała wówczas dla nas znaczenie zupełnie pierwszorzędne i z osobą p. Morawskiego łącznie zaszczytne dla niego nadzieje, które się zresztą nie sprawdziły.

Ostatnio spotkałem się z p. Morawskim wśród bardzo dziwnych okoliczności. Wyjechałem w 1955 r. do Ameryki w sprawie finansowania rządu Prezydenta Zaleskiego w Londynie. Powróciwszy chciałem się zabrać do tak zwanej sprawy p. Kamińskiego, który bezprawnie obracał pewnymi pieniędzmi. Rozmawiałem z p. Morawskim telefonicznie z Londynu. Powiedział mi, że są dwa majątki, czy też mająteczki, których obecnie sprzedać nie można. Oświadczyłem, że przyjadę w tej sprawie do Paryża i przyjechałem w towarzystwie p. Zygmunta Rusinka, który się w uprzednim rządzie emigracyjnym zajmował sprawą p. Kamińskiego i w towarzystwie p. Rusinka rozmawiałem z p. Morawskim, od którego ze zdumieniem usłyszałem, że majątki o których mi powiedział, że są niemożliwe do sprzedania, właśnie zostały sprzedane na tydzień przed moim przyjazdem. Zdziwiło to mnie wtedy omal tak samo, jak dzisiaj, kiedy czytam u p. Morawskiego, że zamach majowy był dokonany nie przez samego Marszałka a tylko przez niedobrych ludzi działających w jego imieniu.

Natomiast solidaryzuję się z p. Morawskim, gdy pisze pochwały o Rogerze i Edwardzie Raczyńskich. Jeden imponował mi zawsze swoją niezrównaną wiedzą i inteligencją drugi swoją prawością osobistą i patriotyzmem. Do ludzi bliskich p. Kajetanowi Morawskiemu, o których wyrażam się zawsze z entuzjazmem, należy także jego brat, Tadeusz, poseł na Sejm, przez wszystkich szanowany za wielki autorytet moralny. Tak to czasami bywa.

Stanisław MACKIEWICZ

Autoreferat o „Literaturze”

Słowo autoreferat widziałem po raz ostatni wiele, bardzo wiele lat temu, w tytule czy podtytule jakiejś pracy Karola Irzykowskiego. W dziedzinie literackiej używa się go niezmiernie rzadko. Dlatego zabierając się do pisania niniejszych uwag, nałogowym zwyczajem zająłem do słowników. „Słownik wyrazów obcych” (Warszawa 1958) tłumaczy wyraz „autoreferat” jako „sprawozdanie autora z własnej pracy publicystycznej albo naukowej”. Nowy „Słownik języka polskiego”, który zapewne będzie się w skrócie nazywał „słownikiem Doroszewskiego”, ujmuje znaczenie wyrazu podobnie, choć odrobinę szerzej: „sprawozdanie autora z własnych prac”.

Jest to forma dosyć pojętna, lecz i trochę niebezpieczna. Dotyczy tego co piszący zna najlepiej, co go zaprzęta lub do niedawna zaprzętało, co osiągnął lub zdaje mu się, że osiągnął. Ale „autoreferat” w obu słowozbiorach sąsiaduje łokciem w łokieć z — „autoreklamą”. Kryje niebezpieczeństwo nadmiernego upodobania w sobie, grozi brakiem dystansu, brakiem umiaru. Pisząc autoreferat nie można unikać słowa „ja”. Pocieszam się, że w danym przypadku nie będzie ono zbyt natrętne, bo jest częścią słowa „my” i to „my” nie w znaczeniu *pluralis majestaticus*, ale w znaczeniu zespołu czy grupy. „Literatura polska na obczyźnie 1940-1960” jest bowiem pracą zbiorową, pracą dwudziestu współautorów. Są to (w porządku alfabetycznym): Anna Bogusławska, Józef Bujnowski, Lidia Ciołkoszowa, Maria Danilewiczowa, Mieczysław Giergielewicz, Jan Kowalik, Zofia Kozarynowa, Marian Kukiel, Stefan Legeżyński, Zygmunt Markiewicz, Jan Ostrowski, Stanisław J. Paprocki, Mieczysław Paszkiewicz, Michał Sambor, Stanisław Sopicki, Tymon Terlecki, Wojciech Wasiutyński, Wiktor Weintraub, Ignacy Wieniewski i Janina Zabielska. Piszę w ich imieniu tylko z tego powodu, że jestem inicjatorem i redaktorem przedsięwzięcia.

Dwa członki tytułu: „Literatura” itd. — „1940” itd., zdawałyby się, jasno tłumaczyć jego zawartość i zasięg, a właściwie tylko jedno określenie „na obczyźnie” nie wymaga objaśnień, jest jednoznaczne, choć też niezupełnie. Książka obejmuje to co napisano po polsku poza Polską. Ale nie tylko. Usiłuje ogarnąć również to co Polacy napisali w językach cudzoziemskich, czym „reprezentują kulturę polską wobec obcych”, jak mówił statut nagrody Stowarzyszenia Polskich Kombatantów, którą pogrzebano bez oficjalnego stwierdzenia zgonu, nawet bez nekrologu.

W zasięgu czasowym książka daje trochę więcej niż zapowiada jej tytuł. Większość składających się na nią prac jest dołączona do wiosny 1962 r., do chwili zamknięcia książki. Po-

chodzi to stąd, że rodziła się ona kilka razy, jakby na kilka zawodów. Wpierw miała objąć piętnastolecie 1940-1955. Potem przesunięto jej granicę końcową o trzy, jeszcze później — o dalsze dwa lata. Gdy i ta granica: koniec 1960 r. pozostała poza nami, gdy czas okazał się szybszy od porządkującej go myśli, podjęliśmy z nim jeszcze jeden wyścig i doprowadziliśmy rzecz do „ostatniej chwili”.

Najwięcej objaśnień i usprawiedliwień wymaga pierwsze słowo, główne hasło książki: „literatura”. Jest to nie tylko literatura, jest to więcej niż literatura w potocznym czy ściślejszym znaczeniu słowa. Właściwie ta książka powinna by nosić tytuł: „piśmiennictwo”, gdyby ten wyraz (zresztą nienotowany przez Lindego) — nie wydawał się dzisiaj nieco przyciężki i zbyt osędziały. Używając terminu „literatura”, uwzględniono w tej książce nie tylko literaturę tzw. piękną (poezję, prozę opowiadającą, dramaty, esej i krytykę, choć co do tej ostatniej może zachodzić wątpliwość gdzie jest jej właściwe miejsce). Włączono w obręb książki również literaturę usługową, służebną, a więc: religijną i wojskową, encyklopedie i słowniki, książki dla dzieci, książki-świadectwa, tzn. literaturę świadczącą o przeżytych doświadczeniach w imię prawdy a nie z myślą o kształceniu artystycznym, literaturę publicystyczną zmagającą się z zagadnieniami nasuwanymi przez współczesną epokę, usiłującą je rozwiązywać i w ten sposób wpływać na rzeczywistość.

Takie ujęcie zakresu może wzbudzić i zapewne wzbudzi sprzeciw purystów, wyznawców absolutnie „czystej” literatury, aseptycznie „czystego” teatru, chemicznie „czystej” polszczyzny. Ponieważ jest to moja osobista decyzja i odpowiedzialność, korzystam z okazji, żeby ją uzasadnić.

Mógłbym się powołać na Andrzeja Stawara, który niedawno argumentował na rzecz takiego szerokiego pojmowania literatury (szkic „Literatura piękna a piśmiennictwo” w „Twórczości”, nr 10/11 z 1957 r.). Wolę się jednak odwołać do praktycznego doświadczenia. Podczas wojny i długo po niej nie było „czystej” literatury i „czystych” pisarzy. Ten czas pokazał jak w pewnych sytuacjach mozolnie rafinowany rozczyń zanieczyszcza się na nowo, padają wszystkie podziały, kultura, literatura przedstawia się na stopę wojenną. Poza może tylko jednym Stanisławem Balińskim nie było wówczas poety, który by nie uprawiał publicystyki. Wszyscy pisarze bez sprzeciwu zaprzęgli się do rozmaitych prac użytkowych. Nie istniały pisma literackie (do dzisiaj zresztą ani „Kultura”, ani „Wiadomości”, ani nawet „Kontynenty” nie są pismami wyłącznie literackimi). Nastąpiło zatarcie granic rodzajów: np. do liryki przeniknęły w większym niż kiedykolwiek stopniu elementy publicystyczne, powstał obszar, który Kazimierz Wyka nazwał „pograniczem powieści”, obszar przemieszania prozy beletrystycznej z prozą dokumentarną itd.

W tym stanie rzeczy ograniczenie się do sztucznie wysublimowanej literatury pięknej wprowadziłoby uproszczenie i zredukowało zadanie, ale byłoby oczywistym sfałszowaniem obrazu.

Wydało się słuszniejsze podjąć trud i ryzyko, niż w punkcie wyjścia, w samym założeniu rozminąć się z prawdą faktyczną.

To założenie, jak wszystkie założenia otwarte, niedogmatyczne, kryje w sobie niebezpieczeństwo dowolności, nieokreśloności. Gdzie się zatrzymać? „Literatura na obczyźnie” świadomie pozostaje w granicach humanistyki (przekracza je tylko w jednym opracowaniu szkicując ogólnie obcojęzyczny wkład Polaków także do dziedziny nauk ścisłych). Hamująco działały w tym względzie także okoliczności zewnętrzne. Mimo starań i daleko posuniętych prac nie udało się do książki włączyć naukowej literatury humanistycznej. Ten osobny, rozległy i złożony problem powinien być podjęty przez jakąś kompetentną instytucję np. Polskie Towarzystwo Naukowe na Obczyźnie.

Szerokie pojmowanie terminu literatura nie jest jedyną nieortodoksyjną cechą „Literatury na obczyźnie”. Ten sam empiryczny sprawdzian kazał nie ograniczać się do druków zwartych, książki i broszur, ale objąć przegłędem przynajmniej wybrane pozycje z czasopism. Zazwyczaj w pracach tego rodzaju nie miesza się pozycji książkowych z czasopiśmienniczymi, bo nie narzuca się to jako konieczność; ograniczenie się do książek stwarza obraz dostatecznie pełny i wycieniony. Dla dwudziestolecia objętego pracą, o której mowa, narzuciło się to właśnie jako konieczność. Były w tym dwudziestolecie całe okresy, w których książki się nie ukazywały albo ukazywały się w stosunku nieproporcjonalnym do produkcji literackiej. Kiedyś Miśchał Sambor nazwał ją na tym miejscu „literaturą bez książek”, literaturą znajdującą upust w niebywale rozmnożonym czasopiśmiennictwie. Przemian myśli publicystycznej nie podobna odtworzyć bez sięgnięcia do periodyków. Kryje się w nich twórczość niejednego prozatora np. cała świetna beletrystyka Andrzeja Bobkowskiego czy spora część tego co napisał (a nawet zdołał ogłosić w przekładzie niemieckim) Tadeusz Nowakowski. Eseje zaczęto gromadzić w zbiory dopiero pod koniec okresu objętego „Literaturą” dzięki własnej inicjatywie pisarzy („Losy i ludzie” Aleksandra Janty), dzięki inicjatywie wydawców: Bolesława Świderskiego, a przede wszystkim Instytutu Literackiego (wielkie tomy Pawła Hostowca, Czesława Miłosza i Józefa Wittlina). Znowu należy powtórzyć: byłoby łatwiej i prościej nie zapuszczać się w dżunglę czasopiśmienniczą, lecz to na pewno zubożyłoby krajobraz literatury powstającej poza krajem.

Prace tego typu, pomyślane bardziej czy mniej konwencjonalnie, wymagają spełnienia trzech warunków: 1) dostatecznej ilości ludzi, 2) przygotowania gruntu, 3) podstawy organizacyjnej. W danym przypadku żaden z tych warunków nie był spełniony.

Samo wstępne obsadzenie dwudziestu kilku działów książek nasuwało poważne trudności. Nie było to czerpanie z pełnego zasobu, lecz z niedomiaru. Tym mozolniejsze, że współpracownicy powinni byli spełniać wymagania kompetencji fachowej i — osobistej bezinteresowności. Pewnych działów, zresztą mniej

ważnych, jak np. literatura popularyzatorska mimo wysiłków nie udało się obsadzić. Z trudem sklecona obsada nie miała znamion trwałości. Kilka razy trzeba ją było łątać już w toku pracy. Ostatecznie dwadzieścia trzy opracowania, składające się na książkę, powstały na dwóch kontynentach, w trzech krajach.

Całe przedsięwzięcie podjęto w terenie zupełnie pierwotnym. W chwili zaczącia w r. 1955 nie było nawet spisu książek wydanych poza krajem od wybuchu drugiej wojny światowej; istniały tylko zestawienia cząstkowe jak cenna, pionierska „Bibliografia druków polskich we Włoszech” Jana Bielatowicza (Rzym 1946). „Emigracyjny Estreicher”, bibliografia wszystkich druków polskich i dotyczących Polski, opracowana przez śp. Janinę Zabielską powstawała jednocześnie z „Literaturą”. Ukazały się dotąd dwa powielane tomy tej bibliografii (Londyn 1953, 1959); trzeci, jak i całość w ostatecznym kształcie typograficznym jest jeszcze daleka końca. Tym bardziej nie było i nie ma mowy o bibliografii zawartości czasopism emigracyjnych, która jest zadaniem na miarę gigantyczną. Częściowo i doraźnie zastępują ją: skrowidz do pierwszych dziesięciu roczników „Kultury”, zestawiony pracowicie przez Jana Kowalika (Paryż 1959), pedantyczne spisy roczne treści „Wiadomości Polskich” i „Wiadomości”; w innych pismach, nawet długowiecznych, wygląda to inaczej i gorzej.

„Literatura” będzie liczyła ponad półtora tysiąca stron druku, ale jej montaż odbył się właściwie w powietrzu, bez podstawy organizacyjnej, bez jakiegokolwiek aparatu pomocniczego. Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie, w którego łonie idea „Literatury” się narodziła, mógł jej udzielić moralnej opieki, nie był w stanie stworzyć dla niej warsztatu technicznego. W pewnej mierze zastępczo spełniała tę rolę Biblioteka Polska w Londynie. Ale wspomniane już rozproszenie współpracowników i brak bazy operacyjnej sprawiły, że opracowania składające się na książkę zdradzają nieuchronne różnice ujęcia. Tę niejednorodność wynagradza całkowita swoboda, która była naszym udziałem. Książka nie wyraża żadnej doktryny, uprzywilejowania jednej metody. Każdy z jej współautorów miał nieograniczoną wolność wyboru i sądu.

Można by powiedzieć, że „Literatura polska na obczyźnie”, jak wiele rzeczy tego świata, narodziła się z niewiedzy, więcej: z niewydolności wyobraźni, z pomyłki perspektywicznej. Ani ja sam, ani nikt ze współpracowników przedsięwzięcia nie zdawał sobie sprawy z rozmiarów obszaru, ze złożoności, z bogactwa tego co go zapełnia. Przebywamy w jego granicach, uczestniczymy w procesach, które w nim przebiegają, opieraliśmy się na zawodnym zapisie pamięci notującej przepływ zjawisk od wewnątrz, nie z zewnątrz. Próba wyjścia poza ich obręb dla ściślejszych pomiarów i obliczeń niespodzianie zmieniła proporcje wszystkiego. Szczerze wyznaję, że z pełną świadomością tego co mnie czeka, nigdy bym nie podjął tej pracy. W ciągu minionych lat niejednym raz powtarzałem okrzyk pewnej damy w połogu: „Na

co mi było to!”. Podobny, choć nie tak sformułowany wyrzut kierowali w moją stronę towarzysze przygody.

Jeśli już weszliśmy w strefę ginekologiczną (a koniec końców redagowanie przypomina zabieg akuszerski), opowieść przypowieść, którą słyszałem z ust innej bardzo mądrej pani: „Gdyby kobieta i mężczyzna — zwykła ona mawiać w nieco galicyjskiej polszczyźnie — rodziła na zmianę, żadne czwarte dziecko nie przyszyłoby na świat. Dlaczego? Bo do urodzenia pierwszego dziecka mężczyzna oczywiście wypchnąłby kobietę. Drugie dla przyzwyczajenia urodziłby sam. Trzecie — kobieta, bo jej kolejka. Ale czwarte — żadne czwarte — już by się nie urodziło...”

Ta książka nie byłaby się urodziła, nie doszłaby do skutku przynajmniej w obecnych warunkach i okolicznościach, gdyby z góry było wiadomo, że jej poród będzie tak przewlekły, trudny i bolesny. Ale wyniki tego lekkomyślnego, ryzykanckiego przedsięwzięcia są godne uwagi, może nawet zaskakujące. We wczesnej fazie pracy Mieczysław Giergielewicz doliczył się przeszło 300 zbiorów poetyckich i mógł tę liczbę przeciwstawić Julianowi Przybosiowi, który sądził poezję emigracyjną i wyrokował o niej na podstawie niezbyt fortunnej antologii pięciu poetów. W końcowej fazie historii poezji emigracyjnej doszedł do bez mała 400 tomów. Oczywiście nikt nie twierdzi, że każdy z nich to „Ballady i romanse”, „Wiosna i wino” czy też „Trzy zimy”, ale każdy z osobna i wszystkie razem coś znaczą, coś wyrażają, są dokumentem literackim i socjologicznym. Podobnie Jan Kowalik, zdumiewający człowiek, który mieszka w kalifornijskim mieście Mountain View, ciężko choruje i pracuje przeważnie w łóżku, zdołał na tym odludziu zgromadzić prawie 1.500 tytułów czasopism, wpisać każde z nich w kontekst historyczny, umiejscowić w czasie i przestrzeni, określić jego charakter, zasięg, kształt materialny. Jest to zjawisko jedyne w swoim rodzaju, na pewno zasługujące na utrwalenie i rozważenie. Mieczysław Paszkiewicz stwierdził, że w dwudziestoleciu objętym książką, Polacy wydali ok. 100 słowników w blisko 20 językach z perskim i arabskim włącznie. Zdawało by się, że teoretyczne myślenie o literaturze nie istnieje na emigracji, tymczasem Józef Bujnowski potrafił wyróżnić całą gamę odmiennych jej wyobrażeń, całą gamę postaw krytycznych. Przykłady można by mnożyć długo, prawie bez końca.

Jak dowodzi przypadek z Przybosiem (był to miodowy okres, kiedy dialogowaliśmy przez eter o takich sprawach jak poezja) Kraj nic nie wie o tym wysiłku w słowie pisanym. Nie jest to teraz ignorancja mimowolna, lecz chciana, programowa, systematyczna. Po „Październiku” pisarze emigracyjni otrzymali kwestionariusze gromadzące dane do tzw. „kontynuacji Korbuta”, dalszego ciągu podstawowej książki o charakterze bio-bibliograficznym, ale od lat o kwestionariuszach słych zaginał i nic nie wiadomo o tej „kontynuacji”. Wiem konkretnie, że ktoś inny zamierzał opracować słownik współczesnych pisarzy polskich, ale zarzucił tę myśl, gdy stało się jasne, iż ramy słownika nie

mogłyby objąć pisarzy przebywających poza krajem. Wznowiony „Rocznik Literacki” zrazu zaczął rejestrować produkcję zagraniczną w języku polskim, potem któregoś roku został zdjęty z warsztatu redakcyjnego czy podobno nawet z maszyny drukarskiej właśnie z tego powodu i odtąd traktuje to co się pisze po polsku poza Polską *per non est*. Wzmianki o książkach i pisa-rzach emigracyjnych należą do takich rzadkości jak uriańska perła; z reguły zasługuje się na taką wzmiankę dopiero po śmierci, choć i to nie zawsze. Przy jakiejś okazji wskazałem na tych łamach inną praktykę cenzorską: pedantyczną, mozolną zapobiegliwość, żeby nie strefnić książki drukowanej w kraju odesłaniem do pozycji bibliograficznej ogłoszonej na emigracji, co jest już szczytem barbarzyństwa i prawie gogolowskiej śmieszności.

Przytoczone fakty zdają się dowodzić, że dwadzieścia lat słowa pisanego po polsku, rodzącego się w najdziwniejszych miejscach i okolicznościach — odpisano na straty, skazano na zapomnienie. To przydaje „Literaturze na obczyźnie” dodatkowego sensu, choć nie jest ona książką polemiczną, książką napisaną „przeciw”. Ma dostateczną rację istnienia w sobie, w materiale, na którym się opiera, który próbuje ogarnąć. Jest to po prostu — książka czy księga inwentarzowa.

Od razu trzeba dodać, że jest to pierwszy inwentarz, wstępny obrachunek. Mimo chwalebnej *understatement* język angielski chętnie używa takich terminów jak *a definitive biography*, *a definitive history* itp. „Literatura polska na obczyźnie” nie jest nawet w tym przybliżonym, przenośnym sensie „definitywna”. Choć rozrosła się do olbrzymich rozmiarów, zapewne nie zdołała objąć wszystkiego. W pewnych przypadkach z całą świadomością decydowała się na wybór. Np. opracowanie „Literatura dokumentarna w czasopiśmie” ma charakter próbny, przykładowy, orientacyjny, obejmuje kilka wybranych periodyków, co prawda najbardziej reprezentatywnych. Gdyby się chciało w ten sposób opracować owe półtora tysiąca czasopism uchwyconych przez Kowalika, trzeba by na to książki jeszcze większej niż ta, o której mowa.

Nie przesądzając niczego w jej ocenie, która należy do kogo innego, wolno może stwierdzić, że jak mapa dziewiczego terenu wytacza ona jego linie graniczne, rozpoznaje jego ukształtowanie poziome i pionowe, ustala punkty orientacyjne. Będzie się można do niej odwołać w każdym konkretnym przypadku dotyczącym literatury polskiej tworzonej poza Polską w ostatnim ćwierćwieczu. Będzie można na jej podstawie podejmować studia bardziej szczegółowe, pogłębione, wyspecjalizowane. Jakaś miara duchowego trudu nie przepadnie dla świadomości zbiorowej.

Praca nad „Literaturą polską na obczyźnie” trwała pełnych siedem lat. Pochłonęła niewymierną ilość „pracogodzin” i jakichś innych jednostek, którymi należałoby mierzyć wyładowania energii nerwowej. Okresy gorączkowego napięcia wymijały się w niej z okresami złowrogiej ciszy morskiej. Rafy i mielizny wy-

rasały w niespodzianych miejscach. Kilka razy wydawało się, że nie uda się osiągnąć portu przeznaczenia. Tych wszystkich perypetii nawigacyjnych nie warto opisywać; byłaby to opowieść zbyt osobista i nie we wszystkim przyjemna, a zatem mało interesująca.

Zamiast tego bardziej istotne jest stwierdzić, że przedsięwzięcie tak niewspółmierne z realnymi możliwościami nie dałoby się urzeczywistnić bez współdziałania wielu ludzi dobrej woli. Wstęp do książki nie wszystkim odda sprawiedliwość, bo wyrazili życzenie, by ich udział pozostał bezimienny. Wolno jednak wspomnieć i robię to tutaj z wdzięcznością, że pracę nad „Literaturą polską na obczyźnie” można było przed laty zacząć dzięki szczodrej pomocy udzielonej przez Polskie Oddziały Wartownicze, że pierwsze tak obszerne powiadomienie o jej ukończeniu i oddaniu do druku mogło się ukazać dzięki życzliwości „Kultury”.

Tymon TERLECKI

Nadesłane nowości wydawnicze

CIOLKOSZ (Adam). *Od Marksa do Chruszczowa*. Str. 68. (Wyd. „Dokumenty Chwili”, Londyn, 1962, cena 5 sh. 6 d.).

Samuel Tyszkiewicz *artysta-typograf*. Str. 121 i 3 nlb. Książka zawiera opracowania Bronisława PRZYŁUSKIEGO, Kazimierza SMOGORZEWSKIEGO, Józefa Andrzeja TESLARA, Aleksandra JANTY, Tymona TERLECKIEGO oraz Stanisława GLIWY. Spis prac Samuela Tyszkiewicza oraz streszczenia w jęz. angielskim, francuskim i włoskim. W tekście fotografie, drzeworyty i przerywniki. Układ graficzny Stanisława GLIWY. (Nakład i druk Oficyny Stanisława Gliwy, Essex, 1962).

Piosenki harcerskie, zebrał Hm. Marian RÓŻEWICZ. Str. 264. Powielacz. Nakładem Hufca Harcerzy „Orleń” w Montrealu. (Montreal, 1961).

GAWROŃSKI (Andrzej). *Z kangurem pod rękę*. Str. 123 i 3 nlb. Satyry i skecze. (Nakł. Kabaretu Satyrycznego „Perskie Oko”, Melbourne, Australia).

MICHALSKI (Stanisław). *Garbus i garby*. Satyry szydercze i poezje liryczne. Str. 52. (Nakł. Zrzeszenia Poetów Prześladowanych im. Borysa Pasternaka, Montreal, 1962).

Józef Piłsudski *o powstaniu 1863 roku*. Wstęp Wincentego Kowalskiego, przedmowa Michała Sokolnickiego. Str. 276. (Wydawnictwo Instytutu Józefa Piłsudskiego, Nowy Jork — Londyn, Nakł. „Gryf Publications, Ltd, Londyn, 1963).

POGGIOLI (Renato) „*Staroświeccy ziemianie*” *Gogola czy ekloga „odwrócona”*. Przełożył z włoskiego Franciszek Jarzyna. Str. 137-155. (Nadbitka z t. IV, z. 2 (7) „Zagadnień Rodzajów Literackich”).

- L'Espagne et la Primauté du Droit*. Str. 152. (Wyd. Commission Internationale de Juristes, Genève, 1962, cena 4,50 f.s.)
- KANFER (Irma). *Le sablier endormi. Poèmes*. Str. 34 i 2 nlb. (Ed. Jean Germain, Collection Médianes, Paris, 1962).
- STAWAR (André). *Libres Essais Marxistes*. Traduit du polonais par Jerzy Warszawski. Str. 284 i 4 nlb. (Ed. du Seuil, Paris, février 1963).
- HLASKO (Marek). *Nel Giorno della sua Morte*. Tradotto dall'originale in lingua polacca de Halina de Galleani. Rysunki Bruno Caruso. Str. 104 i 2 nlb. (Joseph Fryd Editore, Roma, 1963).
- POGGIOLI (Renato). *Lev Tolstoy as Man and Artist*. Str. 25-37. (Odbitka z T. X, 1962 Oxford Slavonic Papers).
- TATARKIEWICZ (Władysław). *Abstract art and Philosophy*. Tłum. Adam Czarniawski. Str. 227-238. (Odbitka z „The British Journal od Aesthetics, Lipiec, 1962).
- Contemporary Authors (Emigre and Living outside Poland) Literatura*. Str. 491-526. By Maria Danilewicz. (Odbitka z „The Year's Work in Modern Language Studies, Vol. XXIII (1961), 1962).
- WASILEWSKI (Zygmunt). *Pokolenia w służbie narodu*. Str. 230 i 10 nlb. (Nakł. Kat. Ośr. Wyd. „Veritas”, Londyn, grudzień 1962. Cena 22 sh. 6 d.).
- DANILEWICZ (Maria L.). *Chamier's Anecdotes of Russia 1829-30*. Str. 85-98. (Odbitka z T. XL. N° „The Slavonic and East European Review, grudzień, 1961).
- RUDNYCKYJ (J.P.). *Geographical Names of Boikovia*. Second Revised Edition. (Nazwy geograficzne Bojkowszczyzny z r. 1939). (W jęz. polskim). Str. 246. (Wyd. UVAN, Seria Onomastica, N° 23-24, 1962).
- KYSILEWSKYJ (K.). *Ivan Zilymskij* (w jęz. ukraińskim). Str. 48. (Wyd. UVAN, Seria: „Ukrainian Scholars, N° 10, Winnipeg, 1962).
- RUDNYCKYJ (J.B.). *Shevchenkiana in the West*. The first edition of Shevchenko in Leipzig (Germany) 1859. (W jęz. ukraińskim). Str. 80. (Wyd. UVAN, Seria: „Ukrainica Occidentalia, Vol. VI (4), Winnipeg, 1959).
- SKOK (P.). *Sur quelques noms de lieu d'origine ukrainienne en Roumanie*. (W jęz. francuskim). Str. 16. (Wyd. UVAN, seria „Onomastica”, N° 13, Winnipeg, 1957).
- Slavica Canadiana A.D.* 1960. Compiled by Jaroslav B. Rudnyckij in co-operation with I. Avakumovic, J. Kirschbaum, D. Sokulsky and V. Turek. (Str. 32). (Wyd. UVAN, Winnipeg, 1961).
- RUDNYCKYJ (J.B.). *The Origin of the Name „Slav”*. (W jęz. angielskim). Str. 24. (Wyd. UVAN, Seria: „Onomastica, N° 21), Winnipeg, 1961).
- RUDNYCKYJ (J. B.). *Shevchenkiana Helvetica*. Second edition. (W jęz. ukraińskim). Str. 12. (Wyd. UVAN, Seria UVAN Chronicle, N° 20, Winnipeg, 1962).
- MANDRYKA (M.I.). *Bio-bibliography of J.B. Rudnyckij*. Str. 72. (Wyd. UVAN, Seria: Literature N° 7, Winnipeg, 1961).
- SLAVUTYCH (Yar). *Shevchenko's Greatness*. (W jęz. ukraińskim). Str. 30. (Wyd. UVAN, Seria: Literature N° 7, Winnipeg, 1961).
- WOYCENKO (Olha). *Frankiana in Canada*. A Selective Annotated Bibliography 1910-1956. (W jęz. ukraińskim). Str. 64. (Wyd. UVAN — Shevchenko Foundation. Seria: „Ukrainica Occidentalia).
- KANFER (Irma). *Le Sablier Endormi. Poèmes*. Str. 34 et 2 nlb. (Wyd. Jean Germain Editeur, Bordeaux, 1962).

Listy do Redakcji

Monachium, 20 stycznia 1963 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

W swych „Notatkach z Czasów Wojny” w listopadowym numerze „Kultury” (który niestety dotarł do mnie z dużym opóźnieniem — stąd zwłoka w odpowiedzi) p. Zbigniew Grabowski pisze m.in. również o moim ojcu i to w sposób, który moim zdaniem rzuca fałszywe i krzywdzące światło na poglądy mojego ojca, a nawet na jego kwalifikacje dziennikarskie.

Niefortunny i niecisły zwrot p. Grabowskiego o pracy mojego ojca „dla agencji Kęplicza z Warszawy” został już sprostowany przez p. Włodzimierza Popławskiego, za co jestem mu wdzięczny. Tutaj chciałbym stwierdzić, że ojciec mój nie był „zaslepiiony potęgą Anglii”, jak twierdzi p. Grabowski. Przeciwnie, bołał nad osłabieniem pozycji Anglii w latach międzywojennych, nad jej brakiem przygotowania militarnego i był często wysoce krytyczny w stosunku do polityki angielskiej, szczególnie w latach bezpośrednio poprzedzających wybuch wojny.

Nie mogę, oczywiście, polemizować z p. Grabowskim na temat rozmowy w czasie kolacji u ambasadora Raczynskiego w sierpniu 1939 roku, i nie wiem czy przy tej okazji ojciec mój zbagatelizował znaczenie wizyty Ribbentropa w Moskwie, rzekomo informując Vernona Bartletta, „że to wszystko to tylko bluff”. Nie sądzę jednak aby ojciec mój pozyskał sobie dziennikarskie zaufanie Bartletta (z którym łączyła go długoletnia zażyłość) gdyby był tak naiwny politycznie jak p. Grabowski sugeruje. Na kolacji owej nie byłem, ale pamiętam, że ojciec mój przyjął wiadomości o zbliżeniu i pakcie sowiecko-niemieckim z wielką troską i niepokojem.

Ojciec mój był dziennikarzem, roli politycznej nie odgrywał i uwagi dotyczące jego stanowia jedynie drobna część „Notatek” p. Grabowskiego. Natomiast p. Grabowski poświęca wiele miejsca krytyce i to bardzo ostrej, prawie wszystkich polskich przywódców politycznych z okresu wojny. Ale w jakim stopniu jest to krytyka uzasadniona i jaka jest obiektywna wartość tych „Notatek”?

P. Grabowski jest zbyt doświadczonym dziennikarzem aby nie wiedzieć, że jego „Notatki” w roku 1962 nie właściwie nowego nie wnoszą do naszej wiedzy o okresie, którego dotyczą. Słyszeliśmy już bardzo wiele o „egzotyczności” sojuszu z Anglią i o próżności generała Sikorskiego, o „chorobie woli” generała Sosnkowskiego i o tym, że Retinger był w służbie wywiadu angielskiego itp. Niewątpliwie „Notatki” mają swą skromną wartość kronikarską — jako „corroborative evidence” — i informacja o tym, że gen. Sikorski wezwał pannę Hankę Duszyńską do raportu karnego jest zapewne jakimś „przychynkiem” do czegoś. Ale jedyną rewelacją — dla tych, co poglądów p. Grabowskiego w owym czasie nie znali — jest imponująca trafność z jaką on ocenił i przewidział rozwój wypadków historycznych. I trudno się oprzeć wrażeniu że wykazanie własnej mądrości

politycznej — której przykładów w swych „Notatkach” p. Grabowski niewspółmiernie wiele przytacza — jest istotnym celem publikacji tych wyselekcjonowanych zapisków.

W „Notatkach” p. Grabowskiego jest następujący, wydaje mi się, że dość znamienity ustęp: „Istotnie, zyskałem sobie miano najgorszego pesymisty, człowieka, którego należy unikać. Taki jest u nas los tych, co chcą wyjść poza banał, co odważają się spojrzeć w przyszłość, co widzą rzeczy jasno... Trzeba ich przemilczać, trzeba ich zapoznawać, trzeba im odbierać także i możliwość wypowiedzenia się. Aby nie było dowodów na piśmie, że jednak byli tacy, co przewidywali...”. Nie wchodząc w słuszność pochylnego sądu p. Grabowskiego o samym sobie wydaje mi się, że „Notatki” są próbą pewnego osobistego rozrachunku z przeszłością, próbą kompensaty, i że p. Grabowski nosi w sobie poczucie krzywdy. Ale krzywdy tej — rzeczywistej czy urojonej — nie wyrówna publikacja, z dwudziestoletnim opóźnieniem, tych prywatnych zapisków.

Forma, którą p. Grabowski wybrał dla ogłoszenia swych uwag o okresie Drugiej Wojny wydaje mi się niefortunna i trochę... żenująca dla czytelnika. Nikt nie wątpi, oczywiście, że p. Grabowski przytacza swe „Notatki” dokładnie w tym brzmieniu w jakim były napisane dwadzieścia lat temu (choć z nieuniknionym skrzywieniem spowodowanym selekcją, do której autor się przyznaje we wstępie). Ale ogłoszenie tych „Notatek” teraz jako autentycznych dokumentów czasu zawiera element *special pleading*. A biorąc pod uwagę kontrowersyjność wielu poglądów i ostrość sądów p. Grabowskiego, należy żałować, że wybrał on formę wypowiedzi, która wymaga od czytelnika stosowania jak gdyby „taryfy ulgowej”.

I jest to forma krzywdząca wobec tych, których p. Grabowski krytykuje. Gdyby p. Grabowski publicznie krytykował gen. Sikorskiego gdy ten był u władzy, wzbudziłby nasz szacunek śmiałością z jaką stosuje swą dziennikarską prerogatywę. Ewentualne błędy oceny i zbytnią ostrość sądów można by zapisać na karb braku perspektywy czasu i namiętności chwili — *the heat of the moment*. Natomiast dzisiaj te okoliczności łagodzące działać już nie mogą, i trudno zrozumieć dlaczego p. Grabowski uważa za stosowne przytaczać teraz swe nieraz niesłuszne i krzywdzące sądy z okresu ostatniej wojny, nie uwzględniając zupełnie tych wszystkich faktów, ocen i materiałów, które w międzyczasie zostały ujawnione.

Pozwolę sobie przytoczyć jeden przykład. Pod datą 7 sierpnia 1940 r. p. Grabowski pisze: „...Powtórzył się odwrót naszego rządu i armii... wódz naczelny i tym razem nie był z armią, zgubił się... Ci co krytykowali tak zajadle Rydza, Mościckiego powtórzyli wcale wiernie wzór sprzed niespełna roku...”. Falszywość tej analogii jest dzisiaj chyba oczywista (a Bogiem i prawdą była dość oczywista już i wtedy). W 1940 r. Sikorski dowodził rozczelnkowanymi siłami polskimi we Francji tylko formalnie, zaś faktyczne i taktyczne dowodzenie należało do sztabów francuskich. W tym czasie Sikorski nie mógł odgrywać istotnej roli wojskowej i jego decyzją w momencie klęski Francji, aby nawiązać bliższe kontakty z przywódcami wciąż walczącej Anglii, starać się osobiście o ewakuację swych wojsk itp. była chyba słuszną.

Wobec innych p. Grabowski jest sędzią surowym, nawet bezlitosnym, chociaż nie zawsze sprawiedliwym. Natomiast w stosunku do siebie jego zmysł krytyczny jest mniej wyczułony. Chociaż w swych „Notatkach” p. Grabowski występuje przeważnie w roli wnikliwego i krytycznego obserwatora, cytuje też ciekawy przykład swojego bezpośredniego udziału — co prawda tylko w charakterze doradczym — w wypadkach bieżących. Mianowicie, na wieść o wybuchu Powstania Warszawskiego radzi Prezydentowi Raczkiewiczowi: „...trzeba odwołać powstanie w Warszawie...”; Istnieje różnica zdań co do tego czy można było zapobiec wybuchowi

Powstania, ale o ile wiem jedynie p. Grabowski wystąpił z teorią, że Powstanie można było odwołać już po jego wybuchu. No cóż, dziennikarz mógł się nie znać na operacjach wojskowych i warunkach walki konspiracyjnej, nawet po pięciu latach wojny. Niemniej, wydaje mi się, że opublikowanie tej wypowiedzi przez p. Grabowskiego w roku 1962 rzuca wymowne światło nie tylko na wartość sądu p. Grabowskiego w r. 1944-ym, ale i na jego samokrytycyzm i umiejętność rewidowania swych poglądów.

Nieco dalej p. Grabowski opisuje jak na prośbę ambasadora Raczynskiego, by pomógł w rozgłoszeniu Powstania w prasie angielskiej, odpowiedział: „...sam nie przyłożę ręki do rozgłoszenia czegoś, co powinno być odwołane”. Nie cytuję tego ustępu po to, by wyciągać łatwe, a na pewno krzywdzące wnioski co do patriotyzmu p. Grabowskiego, czy też jego sposobu pojmowania obowiązków polskiego dziennikarza. Wydaje mi się jednak, że ten ustęp w „Notatkach” p. Grabowskiego świadczy o niesłychanym subiektywizmie z jakim podchodzi on do wypadków — nawet do kataklizmów narodowych. Myślę, że i ta jego cecha powinna być uwzględniona w ocenie wartości „Notatek”.

Polemikę z „Notatkami” p. Grabowskiego można by kontynuować dłużej — prowokują one do tego pontyfikalnym namaszczaniem z jakim przytacza on własne opinie, oraz dziennikarską płytkością, złośliwością i brakiem wyrozumiałości z jakimi krytykuje on ludzi, którzy chociaż na pewno niedoskonali, musieli pobierać ciężkie i odpowiedzialne decyzje w czasach niezwykle trudnych.

„Notatki” p. Grabowskiego rzucają pewne światło na czasy, które opisuje, ale jest to światło przepuszczone przez bardzo swoisty pryzmat jego własnych uprzedzeń.

Wydaje mi się, że do roli rzetelnego kronikarza i poważnego komentatora wypadków brakuje p. Grabowskiemu jeszcze jednej nieodzownej kwalifikacji: skromności, bez której dosyć nieistotne poczynania i refleksje samego autora urastają do roli pierwszoplanowej, wypaczając proporcje całego obrazu.

Łącząc wyrazy poważania.

K. BAUER-CZARNOMSKI

Szanowny Panie Redaktorze!

W ciekawym swym artykule p. Witold Jedlicki (*Kultura* nr 12/182) kilka razy cytuje moje poglądy na wypadki w Polsce w latach ostatnich, ściślej mówiąc, polemizuje z moimi poglądami.

Przed wszystkim zarzuca mi, że pisząc o wydarzeniach w r. 1956 w *Le Monde*, nazywałem tzw. grupę pułaską *les liberaux*, a Natolin — *les durs*, co, jak dowodzi, było niezbyt ściśle. Według niego jedni i drudzy byli stalinowcami (uważa nawet, że Puławianie byli bardziej stalinowscy niż Natolin) i o żadnym liberalizmie mowy być nie może. Otóż przede wszystkim w owym czasie często pisałem, że wielu spośród tych, którzy w r. 1956 byli za przemianami, miało czarną, stalinowską przeszłość, i że to ich nawrócenie się datowało się albo od 1954 (po rewelacjach Świątły), albo od tajnego przemówienia Chruszczowa o Stalinie. Używałem terminu *les liberaux* przede wszystkim dlatego, że dla czytelnika francuskiego, który nie był zorientowany w sytuacji, to uproszczenie było pomocą w rozumieniu wydarzeń. Co ważniejsze — w danym kontekście ludzie tej grupy niewątpliwie działali w kierunku liberalizacji. Czy było to u nich szczere — to inna rzecz. Pragnę nadmienić, że często pisałem *les liberaux* i *les durs* w cudzysłowie.

Następnie pisze p. Jedlicki, że byłem „niejednokrotnie, jeszcze w r. 1956, inspirowany przez Puławian”. Myślę, że genezą tego zarzutu jest, że autor, który jest człowiekiem młodym, przez całe życie widział tylko prasę ustrojów totalitarnych i dziennikarzy totalitarnych i nie rozumie, że poważna i niezależna prasa krajów wolnych ma korespondentów, których nie tak łatwo inspirować i którzy starają się zasięgać informacji w różnych kołach. Prawda, że w Polsce r. 1956, gdzie informacji było masa, prawdziwych i nie prawdziwych, sprawa ich selekcji była niezwykle trudna, a czasami wręcz niemożliwa. Nie sztuka być mądrym kilka lat później i znać prawdziwy przebieg wydarzeń (jeżeli p. Jedlicki rzeczywiście go zna). O wiele trudniej w trakcie wydarzeń telefonować do Paryża, czasami kilka razy dziennie, i donosić co się w tej Warszawie właściwie dzieje. Prawda również, że niektórzy moi informatorzy mogli być zaliczani do Puławian. Oceniając dziś informacje, które mi przynosiły muszę stwierdzić, że większość ich relacji była mniej więcej ścisła (myślę o relacjach co do poszczególnych wypadków, bo to głównie wykorzystywałem: ich oceny polityczne mnie interesowały, orientowałem się, że mają swe indywidualne interesy w ich kolportowaniu). Prawda również, że Natolin informacji mi nie dostarczał, ale to wynikało z charakteru tej grupy. Ale ogromna większość mych wiadomości pochodziła od ludzi, którzy nic wspólnego nie mieli ani z jedną, ani z drugą grupą, ani w ogóle z jakąś kliką. Od nich zawsze dowiadywałem się rzeczy najważniejszych, przy czym informacje były zwykle b. ścisłe. To byli różni ludzie, różnych zawodów, w różnych miastach, różnego pochodzenia, niektórzy partyjni, inni bezpartyjni. Dotarłem do nich, ponieważ znałem kraj i język i dzięki temu mogłem na ogół opisywać trafnie wydarzenia w latach 56/57. Tak pracuje poważny dziennikarz, reprezentujący gazetę, która mu nie daje żadnych instrukcji, prócz tej, aby zdobywać najbardziej autentyczne wiadomości i to jak najprędzej.

Rozumiem, że p. Jedlicki może nie pamiętać dokładnie co pisałem 5 czy 6 lat temu. Gorzej, że przeinacza to, co pisałem dopiero kilka miesięcy temu. Twierdzi on, że pisząc o sytuacji w Polsce obecnej, „chwalilem Gomulkę”. Otóż kto czytał serię moich artykułów z Czerwonej Riwiery, w Bułgarii (*A batons rompus derrière le rideau de fer*, „Le Monde”, 18 września i nast.) wie, że Gomulkę b. ostro krytykowałem. A jeżeli napisałem, że nie jest on antysemitą (w odróżnieniu od grupy partyzantów) to chyba nie znaczy jeszcze, że go chwaliłem. Czy p. Jedlicki wie, że Gomulka jest antysemitą?

Wreszcie zarzuca mi p. Jedlicki naiwność, a to zdaje się dlatego, że pisałem że problem żydowski znów odgrywa, i poprzednio odegrał, wielką rolę w walkach klik wewnątrz PZPR. Otóż prawda jest, jak pisze p. Jedlicki, że różni aferzyści, wszczęli gwałt, że to jest antysemityzm. Ale od czasu kiedy Żdanow, na polecenie Stalina, przeprowadził czystkę sowieckiego aparatu partyjnego z Żydów i od kiedy Żydzi w Sowietach są uznani za „ryzyko” w pojęciu bezpieczeństwa, kwestia żydowska istnieje w wielu partiach komunistycznych, a szczególnie w Polsce, gdzie jakkolwiek jest znikoma liczba Żydów, wśród góry partyjnej jest ich jeszcze sporo. Kwestia ta istnieje i pochodzenie żydowskie danych przywódców jest atutem jakim się posługują ich konkurenci. Czy to ma oddźwięk w społeczeństwie czy też nie, jak to utrzymuje p. Jedlicki, to już inna sprawa. Faktem jest, że sprawa Monata, była wykorzystana do czystki antyżydowskiej w aparacie. I że takich spraw było więcej. Co do Zambrowskiego, to oczywiście, że Partyzanci mają z nim porachunki z różnych powodów. Ale nie zapominają przy tym o jego pochodzeniu.

Nie mam możliwości omówić innych tez p. Jedlickiego. Wiele z nich jest dyskusyjnych. Niektóre twierdzenia są b. trafne, może wręcz rewelacyjne, z innymi trudno się zgodzić. Kto np. podziela pogląd, że celem Chrusz-

czowa w Warszawie, w marcu 1956, było nie dopuścić do wyboru stalinowca na następcę Bieruta. A czy byli jacyś nie-stalinowcy, którzy wchodzili w rachubę? Czy nie lepiej wytłumaczyć jego zachowanie się tym, że od r. 1954 w polskim Politbiurze byli ludzie, którzy chcieli zważyć na karb Moskwy winę za wszystkie bankructwa komunizmu w Polsce i byli inni, którzy chcieli Moskwie pozostać bezwzględnie wierni. Chruszczow chciał, aby następcą Bieruta został człowiek tej drugiej grupy. Omylił się jednak przypuszczając, iż Ochab takim będzie. Myślę również, iż mało kto podzieli tezę p. Jedlickiego, że w październiku 1956 r. Chruszczow i Gomulka prędko się na osobności dogadali. W ogóle wydaje mi się absolutnie nieprawdopodobne, iż rozmawiali ze sobą na osobności, jak to przedstawia autor. A miałem o tej nocy b. szczegółowe i natychmiastowe relacje.

Myślę również, że p. Jedlicki myli się przedstawiając sprawę Hollanda jako początek ostatecznej klęski grupy puławskiej. Według informacji z Warszawy Partyzantom to również nie wyszło na dobre. Ponadto, p. Jedlicki pisze o Hollandzie, jak gdyby to był jeden z kilku najważniejszych polskich przywódców, co również dalekie jest od prawdy.

Wydaje mi się, że głównym błędem p. Jedlickiego jest to, iż ma wielkie żale do ludzi grupy puławskiej, i ten żal jest jego inspiratorem.

Z szacunkiem.

Philippe BEN

Scranton, 1 lutego 1963 roku

Szanowny Panie Redaktorze!

W numerze „Kultury” nr 1/183-2/184, 1963, w artykule pt. „Nowe wydawnictwa bibliograficzne” autor Jan Kowalik napisał m.in. co następuje:

„Czy słuszne jest pomijanie w spisach polskiej prasy zagranicznej pism lewicowych czy wręcz komunistycznych, o długoletniej tradycji polonijnej” wychodzących np. w Kanadzie („Kronika Tygodniowa”) w Stanach Zjednoczonych („Głos Ludowy”, „Polish-American Journal”), czy w Szwecji (Nasz Znak)?

W powyższym twierdzeniu p. Kowalik popełnił nieścisłość i paszkwil.

Po pierwsze *Polish American Journal* nie był pominięty w „Directory of Polish newspapers and periodicals in the free world”.

Po drugie połączenie *Polish American Journal* z komunistycznym Głosem Ludowym jest paszkwilem, gdy *Polish American Journal* jest pismem jak najbardziej zwalczającym komunizm, co chyba powinno być znane redakcji „Kultury”, która *Polish American Journal* stale otrzymuje.

Dla ścisłości stwierdzamy, że *Polish American Journal* jest oficjalnym organem dwu rzymsko-katolickich organizacji bratniej pomocy, a mianowicie Unii Polskiej w St. Zjed. P.A. i Kasy Pomocy św. Jana Kantego, oraz jednym z dwu pism polsko-amerykańskich należących do Stow. Prasy Katolickiej (drugim jest Dziennik Chicagowski).

Celem naprawienia krzywdy wyrządzonej naszemu piśmie, żądamy zażyczenia tak ze strony niefortunnego autora p. Kowalika, jak też i redakcji „Kultury”, a dla lepszej orientacji zwracamy uwagę na załączony artykuł redakcyjny z okazji złotego jubileuszu naszego wydawnictwa, zawierający nasze „credo”.

Z poważaniem.

Henryk J. DENDE, redaktor

Mountain View, 12.2.63.

Szanowny Panie Redaktorze!

W związku z pismem pana Henryka Dende donoszę co następuje:

- 1) W swoim artykule recenzyjnym nigdzie nie napisałem, że „Polish-American Journal” został w „Directory of Polish newspapers...” pominięty.
- 2) Nie nazwałem „Polish-American Journal” pismem komunistycznym, sugerowałem natomiast czytelnikom, że jest to pismo lewicowe, co stanie się zrozumiałe, jeśli dodam następujące okoliczności.
- 3) Przed dwoma laty Polish Emigree Press Archive w Mountain View, Calif. zwróciło się do pana redaktora Dende z prośbą o nadesłanie do mej pracowni bibliograficznej orientacyjnych egzemplarzy Jego pisma, oraz o wypełnienie załączonego kwestionariusza prasoznawczego. Pan redaktor Dende ani jednego egzemplarza pisma nie nadesłał, a na kwestionariusz, zapytujący o charakter i cele wydawnictwa odpowiedział dosłownie: „Non-partisan, general news”. Nie wiedziałem jeszcze wtedy, że w polskim języku brzmi to „Polish-American Journal jest pismem jak najbardziej zwalczającym komunizm”.
- 4) Ponieważ Hoover Library — najpoważniejszy zbiór polskiej prasy w USA — także ani jednego rocznika tego pisma nie posiada, więc nie miałem przyjemności poznać je z autopsji. Znalazłem natomiast krótkie omówienie „Polish-American Journal” wraz z faksymilią winiety, w pracy Jana Fiebiga, noszącej tytuł „Lewicowa prasa polonijna w Ameryce”, i opublikowanej w czasopiśmie Krakowskiego Ośrodka Badań Prasoznawczych, które nosi tytuł „Zeszyty Prasoznawcze” (1:1960) nr 4, str. 40-55). Załączam odnośną fotokopię Panu Redaktorowi do wglądu, z prośbą o jej zwrot.
- 5) Jeśli chodzi o twierdzenie pana Dende, że popełniłem paszkwil, to jestem raczej przekonania, że pan Dende albo przesadza, albo znaczenia tego słowa nie rozumie — rzecz, która się często redaktorom polskich pism w Ameryce zdarza.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku!

Jan KOWALIK

Toronto, dnia 5 lutego 1963 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Swego czasu Oficyna Poetów i Malarzy zaprosiła mnie do współpracy nad wydaniem antologii poezji emigracyjnej, na co zgodziłem się, uważając że tego rodzaju wydawnictwo jest dziś bardzo potrzebne. Wobec jednak niedostatecznej ilości nadesłanych materiałów biograficzno-bibliograficznych i małego zainteresowania, zdecydowałem się przerwać rozpoczętą już pracę, a nadesłane materiały zwrócić autorom.

Uprzejmie proszę Pana Redaktora o zamieszczenie niniejszego listu, by autorów, którzy mieli zamiar nadesłać swoje prace, powstrzymać od niepotrzebnych kosztów.

Dziękując, łączę wyrazy szacunku i poważania.

Wacław IWANIUK

Welland, Ont. Kanada, 25.1.63 r.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Przesyłam na Fundusz śp. Wł. Pobóg-Malinowskiego czek na dol. 10.- (drugie dol. 10.- na zapoczątkowanie myśli wyrażonej poniżej) — wiem, że jest to suma niewielka, ale może to ziarno do ziarnka da rezultat oczekiwany przez Panów.

Natomiast nieoczekiwane są rewelacje odsłonięte przed czytelnikami o trudnościach jakie towarzyszyły śp. Pobóg-Malinowskiemu, podane niestety zbyt późno w krótkiej notatce p. Aleksandra Kawałkowskiego w numerze „Kultury” styczeń-luty 1963 r.

Niestety, społeczeństwo polskie bardzo często spotyka się na przestrzeni ostatnich dwóch wieków z faktem, że jednostki o wysokiej wartości intelektualnej cierpią nędzę, nękają ich choroby itp. dolegliwości, które usunięte w odpowiednim czasie mogłyby zapobiec tym kłopotom i przedłużyć życie człowieka, którego praca byłaby jeszcze owocna dla wspólnego dobra narodowego.

Wielce i chwała pośmiertna są miłym objawem wdzięczności za trudy i cierpienia — lecz biorąc rzecz po ludzku, dowiadujemy się często za późno, że straciliśmy talent.

Doświadczenia te powinny wreszcie ruszyć tzw. naszych liderów społecznych, że złu temu wreszcie by trzeba jakoś zaradzić. Jesteśmy świadkami jak olbrzymie sumy przesuwały się w organizacjach społecznych, jak wielkie inwestycje budowlane, często połączone z luksusem zbytecznym, wznoszą się po polskich parafiach na emigracji, a nawet i źródła prywatne mogłyby dać duże sumy na tego rodzaju cele.

Sądzę, że przy takim ośrodku jak „Kultura”, która zdobyła zaufanie społeczeństwa, winna powstać instytucja rozpatrująca sprawę potrzeb ludzi na miarę śp. Pobóg-Malinowskiego i apelując do organizacji i społeczeństwa — a przez Ks. Arcybiskupa Gawlinę do przebogaty parafii emigracyjnych — powinna stworzyć fundusz zapomogowo-pożyczkowy, który, w odpowiednim czasie dany, mógłby oddać wprost zawrotne korzyści a także być po pewnym czasie nawet zwrócony, aby służyć dalszym dobrem celom.

Trzeba — by zacząć — zgromadzić ludzi wpływowych, a ofiarnych — a głos Panów jest ważki w społeczeństwie i dlatego podsuwam tę myśl. Trudno bowiem opierać się na tej cieniutkiej warstewce stale ofiarnych i stale tych samych, jak się widzi w prasie, a trzeba by sięgnąć szerzej i głębiej, aby potrzebom w odpowiednim czasie zaradzić.

Z poważaniem.

W. KINASTOWSKI

Zamieszczając — jakże słuszny — apel p. W. Kinastowskiego przypominamy że od paru lat stworzyliśmy „Fundusz Kultury”, który w pierwszym rzędzie służy dla udzielania pomocy czy drobnych stypendiów. Fundusz ten istnieje głównie dzięki ofiarności szeregu naszych czytelników, z których wielu zasila go systematycznie. Niestety zainteresowanie Funduszem jest zbyt małe, byśmy mogli choć w części zaspokoić potrzeby. Chcemy wierzyć, że dramatyczny wypadek Wł. Pobóg-Malinowskiego zaalarmuje emigrację. Redakcja „Kultury”.

Penrhos Home, dn. 14 stycznia, 1963 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

W Polsce przedwojennej przeciętny inteligent znał dwa lub trzy obce języki żywe, a rzadko kto — cztery. W Kongresówce przeważnie znane były trzy języki: rosyjski francuski i niemiecki, a w Małopolsce przeważnie jeden tylko — niemiecki, rzadziej dwa. Po wojnie, na skutek rozproszenia się emigracji po całym niemal świecie, Polacy poznali języki kraju ich osiedlenia, a więc przeważnie do znanych już języków doszedł jeszcze jeden, ale — znów przeważnie — ze szkodą dla znanych nawet poprzednio, gdyż skoro się danego języka nie ma w użyciu, to go się zapomina i to kto wie czy nie szybciej niż algebrę i trygonometrię. Natomiast Pan Redaktor widocznie uważa, iż każdy z czytelników „Kultury” jest poliglotą i zna wszystkie niemal języki świata i widąc na skutek tego drukuje w artykułach słowa i nawet całe zdania w językach: angielskim, francuskim, włoskim, hiszpańskim, portugalskim, niemieckim — bez podania bodaj w nawiasach znaczenia polskiego (a jedynie słowa w języku rosyjskim są często tłumaczone), a to bardzo często utrudnia zrozumienie treści, lub też jakichś subtelności, na które autor, najwidoczniej, chciał zwrócić uwagę czytelnika.

Zgadzam się, iż czasem w językach obcych zdarzają się wyrazy nieomal nieprzetłumaczalne na nasz język, ale aby zrozumieć te subtelności, trzeba już bardzo biegle władać danym językiem, co dla większości czytelników jest prawie nieosiągalne, a po to aby zadowolić drobną bardzo część czytelników, znających doskonale ten język, naraża się przytłaczającą większość na to... iż w ogóle słów tych nie zrozumie zupełnie.

Czy nie uważałby Pan Redaktor za właściwe i celowe — a mam wrażenie iż zabieram głos w imieniu wielkich rzesz czytelników „Kultury” — aby skoro już autorzy artykułów nie mogą, czy też nie chcą, zastępować wyrazów w językach obcych, wyrażeniami w naszym języku, gdyż przecież język polski jest dość bogaty, aby oddać we właściwy sposób i w odpowiednim sensie, prawie wszystkie wyrażenia w językach obcych, to w takim razie umieszczać w nawiasach tłumaczenia tych słów, zwrotów czy zdań w języku polskim? Wydaje mi się, że taka inowacja byłaby przyjęta entuzjastycznie przez większość czytelników Pańskiego poczytnego i doskonałego redagowanego wydawnictwa.

Uwagi powyższe odnoszą się jednak nie tylko do „Kultury”, lecz byłoby bardzo wskazane, gdyby zostały przyjęte i uwzględnione i przez inne nasze emigracyjne pisma, jak np. przez „Wiadomości”.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku.

Henryk Zygmunt KOMAR

Paryż, dnia 24 stycznia 1963 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

W numerze 854/855 „Wiadomości” ukazały się listy śp. Andrzeja Bobkowskiego. W numerze grudniowym „Kultury” (str. 125 i 126) znalazłem w krótkim artykule p. Czesława Miłosza, pt. „Uwagi do uwag Gombrowicza”, cały ustęp poświęcony uwagom, nie nad uwagami Gombrowicza, lecz o Andrzeju Bobkowskim. Pisze w nim Autor o „intelektualnych kontorsjach” i o „drętwoć”, ale dla mnie cały ten ustęp jest kontorsyjny i drętwy.

„Czytałem go ze zgrozą”. Miał oberwać Gombrowicz, dostało się Bobkowskiemu i jego „złe wybranym przyjaciółom”.

Zacznijmy od tych przyjaciół i ich winy. Wydawało im się zapewne, że każde słowo pozostawione przez wybitnego pisarza zasługuje na lepszy los niż, spalonych kiedyś przez rodzinę, listów Adama Mickiewicza. Można takie listy palić. Papier pali się łatwo. Życzę Miłoszowi aby jego dobrze wybrani przyjaciele nie spalili jego wypowiedzi nieogłoszonych drukiem.

A teraz treść tych antybobkowskich zarzutów. Z wypowiedzi Miłosza zdaje się wynikać że w Bobkowskim istniały te same cechy, które ludzi „w dekle i z laską w rękę” zmuszały do „cięcia żyłką żydowskiego studenta-garbuska”. Nie sądzę aby było rzeczą godziwą, nawet tak zwanym rikoszetem, przypisywać Bobkowskiemu tendencje, którym wypowiedział wojnę już od młodych lat. Zwalczał metody „deklowe” równie gorąco i zajadle (właśnie zajadle), zarówno u Polaków, Niemców, Rosjan, stalinowców, jak i u ich następców z odwilżowo-gomułkowskich czasów. Miłosz, o ile go, z trudem zresztą, zrozumiałem, widzi w Bobkowskim potencjalny, hreczkosiejski faszyzm. Dla nas wszystkich, którzy znaliśmy Bobkowskiego od wielu lat i dobrze, łącznie go z tego rodzaju ludźmi jest nie tylko bolesną krzywdą wyrządzaną jego pamięci, ale trudną do wytłumaczenia omyłką w ocenie zmarłego pisarza.

Łączę wyrazy szacunku.

Szymon KONARSKI

Cooma North (Australia), 9 stycznia 1963 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Ponieważ „Kultura” dociera do Australii ze znacznym opóźnieniem, więc dopiero w styczniu mogłem przeczytać listopadową (i częściową) odpowiedź Andrzeja Chciuka na mój lipcowy artykuł.

Mógłbym, ale nie zamierzam tu polemizować z Chciukiem, szczególnie na tematy entuzjazmu czytelniczego tutejszej młodzieży oraz tych stu i iluś tam tysięcy rodaków w Australii. Mikołaj Rej ongiś napisał, że „Polacy nie gęsi”; tu można by dodać, że także nie króliki i że nie rozmnażają się tak błyskawicznie — ani fizjologicznie, ani przez upartą długowieczność, ani przez papierowo-immigracyjno-prestiżową żonglerkę statystyczną na antypodach.

En passant powiem tylko, że moim zdaniem wywody Chciuka (Nr 11/181, „Jak jest z tą świecą?”) są nasycone może szczerym optymizmem, chwalebna zresztą dumą lokalną oraz dużą dozą kto wie czy nie świadomego *wishful thinking*. Optymizm jest niekiedy koniecznością psychologiczną. Cóż bowiem innego niż powiedzenie sobie *contra spem spero* pozostaje pisarzowi pokroju Andrzeja Chciuka, który w pełni rozwoju artystycznego znalazł się zrzędzeniem losu na obcojęzycznym terenie i muszącemu pisać sobie, muzom i tym pięciu tysiącom mieszanego kalibru czytelników tego, co się tu u nas nazywa rodzimą prasą. Nie będę wchodził w szczegóły — to byłoby zbyt bolesne.

Wydaje mi się, że omawiana przez nas obu przyszłość prasy emigracyjnej polskiej w Australii nie jest znów aż tak różowa. Ale kto z nas ma rację — tylko czas pokaże.

Niniejszy list ma jednak w pierwszym rzędzie na celu skorygowanie pewnej nieścisłości, dotyczącej mojej osoby. Mianowicie, nie byłem — jak napisał Chciuk — stypendystą Fundacji Kościuszkowskiej. Do Ameryki

przyjechałem jako dziennikarz, pisarz i turysta, za własne fundusze. Ponieważ jednak zamierzałem tam także studiować, więc dla uzyskania długopobytowej wizy, za poradą konsulatu wystarałem się o coś w rodzaju listu zapraszającego od ówczesnego prezesa (czy dyrektora) Fundacji. Na podstawie tego pisma otrzymałem wizę długoterminową, która przede wszystkim pozwoliła mi na wydarcie większej kwoty własnych pieniędzy od naszej „kochanej” Komisji Dewizowej, a potem na uzupełnienie moich studiów kryminologicznych kursem socjologii na Uniwersytecie Columbia i cyklem wysłuchanych wykładów w Los Angeles.

Przekonany jestem, że nazwanie mnie przez Chciuka stypendystą polega na zupełnie niewinnym i częściowo upodstawionym nieporozumieniu, które uważam jednak za stosowne sprostować.

Łączę najlepsze pozdrowienia.

Adam NASIELSKI

Berkeley, 2 stycznia 1963 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Londyńczyk złożył piękną wiązanekę na grobie śp. Sławoja Składkowskiego, chwalać jego gawędy pisane „świeżą” polszczyzną („Kultura” nr 12/182). Niedobrze jednak, że przy tej okazji podsunął szpileczkę Józefowi Mackiewiczowi zarzucając mu używanie rusycyzmów. Nazwał przy tym Mackiewicza — największego z żyjących pisarzy polskich! — „luminarzem”, co zapewne miało kryć jakąś bardzo subtelną ironię, nikt bowiem w dzisiejszej polszczyźnie — ani „zachodniej” ani „wschodniej” nie używa wyrazu „luminarz” poważnie.

Wracam jednak do rusycyzmów. Czy przypadkiem Londyńczyk, admirał „świeżej” i „zachodniej” polszczyzny, nie uznał za rusycyzmy wyrazów czy zwrotów gwarowych, prowincjonalnych, a ściśle — wyrazów i zwrotów gwary wileńskiej? Bo jeżeli Mackiewicz umieszcza tu i ówdzie w swych utworach w całości słowa lub powiedzenia rosyjskie, rzecz jasna nie są to żadne rusycyzmy, rusycyzmami bowiem nazywamy nie oddzielne wyrazy czy nawet całe zdania, lecz zwroty, których składnia jest naśladownictwem składni rosyjskiej i obca składni polskiej (jak np. tak pospolity w „Kulturze” rusycyzm „tym niemniej” zamiast polskiego „niemniej”) lub po prostu „niemniej”).

Gwara — wileńska, podhalańska, kaszubska, mazurska, czy jakakolwiek inna — ma pełne prawo obywatelstwa w literaturze pięknej, i nie tylko w dialogach, ale i w narracji autorskiej — dla oddania szczególnego kolorytu lokalnego. O ile mnie pamięć nie myli śp. Składkowski, piszący zdaniem Londyńczyka „zachodnią” polszczyzną, też używał w swych gawędach gwary (mazurskiej), gdy przytaczał słowa ofiar swych inspekcji ministerialnych.

Co to jednak jest „gwara”? co to są „rusycyzmy”? Gdyby nasi pp. publicyści mieli czas zaglądać nie tylko do „Słownika poprawnej polszczyzny” Szobera, ale również do Słownika warszawskiego, zdziwiliby się zapewne jak dużo wyrazów, które dziś brzmią w naszych uszach „podejrzanie”, miały 35-50 lat temu pełne prawo obywatelstwa i najwyższej oznaczone były bądź krzyżkiem jako wyrazy „staro polskie” lub „mało używane”, bądź ujęte w klamry jako wyrazy „gwarowe”.

Wyrazy gwary wileńskiej są zresztą najczęściej „biało-rutenizmami” lub lituanizmami, a nie żadnymi rusycyzmami! Te rzeczy należy odróżniać, skoro jeszcze Białorusi i Litwy nie „podarowaliśmy” Rosji. Wyrazy te

brzmiać może w uchu zachodniego Galicjanina dziwnie i obco. Równie jednak dziwnie i obco zabrzmiały dla mnie napisy „wchód” i „wychód”, które w latach dwudziestych oglądałem na dworcu krakowskim. — Skąd te rusycyzmy w „polskich Atenach”? — pomyślałem wtedy. Dopiero później osoby wtajemniczone wyjaśniły mi, że nie są to rusycyzmy, ale galicyjskie prowincjonalizmy. Zresztą te z rosyjską brzmiające „wchód” i „wychód” znikły później zastąpione wyrazami „świeżej” polszczyzny: „wejście” i „wyjście”.

Chwalać dbałość Londyńczyka o „rdzenną, zachodnią” polszczyznę mam nadzieję, że nie jest ona równoznaczna z poprawnym dziennikarsko-urzędowym językiem polskim, od którego wieje nie „świeżością” lecz nudą, drętwotą i śtechlizną.

Na zakończenie wyrażam pewną obawę że broniąc swej opinii o rusycyzmach Mackiewicza Londyńczyk znajdzie sojusznika w... Mackiewiczu. Chodzi o to, że Józef Mackiewicz w artykule „Błędy których się nie widzi” („Wiadomości” nr 512 z 1956) rzucił mimochodem zdanie, że „80% gwary kresowej to są pospolite rusycyzmy”. Na szczęście wielki pisarz niekoniecznie musi być językoznawcą i w tym wypadku grubo się omylił. Zapomniał, albo nie czytał wspaniałej pracy naukowej o gwarze wileńskiej w tomie I pomnikowego dzieła „Wilno i Ziemia Wileńska” (1929?). Praca ta pióra, jeśli się nie mylę, pani Ehrenkreutz-Jędrzejewiczowej (z domu Baudouin de Courtenay) przeprowadziła głęboką analizę porównawczą gwary wileńskiej wykazując m.in., że gwara ta jest prawie zupełnie wolna od wpływu języka rosyjskiego (wielkoruskiego).

Łączę wyrazy szacunku.

Michał K. PAWLIKOWSKI

Londyn, 13 stycznia, 1963 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Przed wszystkim — gratuluję Hłaski. Jego ostatnie opowiadania drukowane w Pańskim miesięczniku, a już w szczególności „Stacja” i „Amor 43”, to zupełne rewelacje pisarskie. Przeczą tym wszystkim, którzy bajdurzą, że twórczość pisarza jest pełnowartościowa tylko wtedy, gdy tworzy on na ziemi ojczystej. Józef Mackiewicz, Miłosz, Rostworowski, Gombrowicz, Hłasko... Pisarstwo tego ostatniego, właśnie to „emigracyjne”, mnie — zwykłemu czytelnikowi nieodparcie nasuwa porównanie z malarstwem Goi. Jeszcze raz jak najszczerze gratulacje.

A teraz — *pro domo sua*.

Nie jest mym zamiarem zaprzętać uwagę Pana i czytelników „Kultury” pogardą p. Zbigniewa Grabowskiego dla mych „insynuacji” ani — tym bardziej — mym nieklamany podziwem dla znakomitego autora „Ciszy lasu i Twojej ciszy” (kto na ciebie kamieniem...).

Myślę wszakże, że mi Pan Redaktor nie odmówi prawa odpowiedzi na list p. Grabowskiego ogłoszony w nrze 183/184 „Kultury”. Przy czym obiecuję jak najsołenniej, że już więcej nie będę... Chociażby mnie p. Grabowski obarczył podwójną porcją pogardy.

Więc po kolei.

Agencja Telegraficzna Express (ATE) nie, była takim znowu „nowym tworem”, jak to p. Grabowski tłumaczy. Jeśli dobrze pamiętam, gdy ją zakładano p. Grabowskiego albo jeszcze w ogóle w dziennikarstwie nie było, albo dopiero zaczynał terminować.

Nie bardzo pojmuję czemu p. Grabowski kolegę z IKC p. Dunin-Kęplicza i kolegę z PAT p. Litauera nazywa urzędnikami? Ani jednego ani drugiego, zarówno w Polsce niepodległej, jak i potem nie nosilem w sercu, ale — przy najgłębszej niechęci — trudno by mi przyszło nie uznać ich za dziennikarzy. Co najmniej tak doskonałych jak p. Grabowski.

W dalszym ciągu swego listu p. Grabowski karci mnie szczególnie surowo. Bo i „insynuacja” i „wylawianie” i „wygrzebywanie”, a wszystko dlatego, że p o p r o s t u i przypadkiem (czasu nie starcza) przeczytałem w kwartalniku warszawskim i miesięczniku paryskim zbieżne oceny Ksawerego Pruszyńskiego. Na szczęście, p. Grabowski nie kwestionuje mego prawa do wzruszania się tym faktem.

Posługując się zmarłym Pruszyńskim (którego jako pisarza cenię na pewno nie mniej jak p. Grabowski) jako puklerzem, autor „Anny” dość nie po rycersku — w moim mniemaniu — usiłuje wmówić we mnie, że stwarzam „swoimi insynuacjami jakieś *unctim*” między nim, a p. Kowalskim. Nawet nie próbuje oponować, bo jakież może być, poza przypadkową wspólną poglądów na tego samego człowieka, *unctim* między urzędnikiem królewskiego radia brytyjskiego, a b. funkcjonariuszem Kominternu i dzisiejszym dygnitarzem komunistycznym?

Jest, przynajmniej dla mnie, całkowicie zrozumiałe, że radiostacja kominternowska ok. 20 lat temu mogła mieć swe powody, aby atakować p. Grabowskiego, wówczas urzędnika Radia Polskiego w Londynie czy attaché prasowego na londyńskim „Zamku”. Także w pełni rozumiałe jest, że ani Radio-Moskwa ani Radio-Warszawa nie mają absolutnie żadnych powodów aby d z i s i a j atakować tegoż p. Grabowskiego, urzędnika sekcji polskiej B.B.C.

P. Grabowski chyba świadomie mija się z prawdą pisząc, że w 1947 r. zaatakowałem na łamach londyńskiego „Dziennika Polskiego” — „pisarzy polskich w kraju za ich rzekomo służalczą postawę”. Nie odpowiadają prawdzie ani data, ani generalizacja, ani atak, ani warunkowość. W notatce z 31 grudnia 1945 r. wymieniałem z nazwiska 4 pisarzy: Nałkowską, Kruczkowskiego, Iwazkiewicza i Wiktora (poza nimi było wówczas w Polsce jeszcze trochę innych pisarzy), podając n i e „rzekome”, a jak najkonkretniejsze fakty wysługiwania się wymienionych reżymowi Bieruta. P. Grabowski istotnie wówczas replikował. Niestety, podanych przeze mnie faktów ani on ani nikt inny n i e zdementował, a lata dzielące nas od tej — dla mnie osobiście bardzo przykłej notatki — w pełni ją potwierdzały i potwierdzają (Wiktor swą służalczość wobec komunistów zademonstrował na łamach warszawskiej „Nowej Kultury” całkiem niedawno, bo pod koniec ub. roku).

Wymieniłem wówczas osobno (nie wśród wspomnianej 4-ki) również Ksawerego Pruszyńskiego. Jasny dla p. Grabowskiego, dla mnie powrót Pruszyńskiego do Polski, był przecież nie całkiem zrozumiały. Nie miałem zbyt wiele sposobności, aby, w czasie mych nielicznych spotkań z Pruszyńskim, czy w okresie wojny domowej w Hiszpanii, czy w dobie kryzysu Sudeckiego w Czechosłowacji, czy wreszcie w dniach ostatniej wojny we Francji, poznać go lepiej. Mimo to, na podstawie kilkunastu rozmów czy we dwójkę czy razem z naszymi przyjaciółmi i znajomymi, nie mogłem go sobie wyobrazić w Polsce Bieruta, Bermiana i Radkiewicza. A jednak...

P. Grabowski stwierdza, że w swej decyzji (powrotu do Polski), Pruszyński nie miał na względzie rozbicia kariery. To pewne, że jej n i e zrobił. Ani jako pisarz, ani jako dyplomata. W kraju nic nie napisał, a podczas gdy znacznie odeń niżsi rangą Putrament czy Przyboś brylowali na pierwszorzędnym z punktu widzenia Warszawy placówkach w Paryżu czy Bernie, Pruszyńskiemu Bierut pozwolił się reprezentować (nb. po bardzo długich wahaniach) zaledwie w Hadze. Dla kombinacji komunistów war-

szawskich była ona wówczas całkowicie bocznym torem. Dla ambitnego Pruszyńskiego, chyba również.

Zechce Pan przyjąć, Szanowny Panie Redaktorze, życzliwe pozdrowienia.

Włodzimierz POPLAWSKI

Szanowny Panie Redaktorze!

W grudniowym numerze „Kultury” p. Stanisław Vincenz, omawiając pracę B. Rogowskiego o marszałku Rydzu-Śmigłym, wypowiada szereg twierdzeń o stosunkach polsko-ukraińskich na terenie Galicji wschodniej. Omawianej książki nie znam, o jej autorze nigdy nie słyszałam, ale poglądy p. Vincenza na sprawę ukraińską zasługują na odpowiedź. Sądzę, że są one dalekie zarówno od prawdy historycznej, jak i od realizmu politycznego.

Wojnę polsko-ukraińską w Galicji 1918/1919 r. p. Vincenz nazywa „wojną domową” i twierdzi, że tak oceniał wówczas ten konflikt ogół Polaków i Ukraińców. W innym miejscu wyraża się, że był to „konflikt pochopny, w zasadzie szkodliwy dla obu stron, dla polskiej i dla ukraińskiej”. Nie podobał się p. Vincenzowi — jak pisze — „fakt dokonany” zajęcia Lwowa przez wojska ukraińskie 1 listopada 1918 r., nie podobał mi się tym bardziej, że te wojska „były wylonione z pułków austriackich”. W określeniu „fakt dokonany” wyczuwam zarzut, że Ukraińcy w nieojalnym sposób zaskoczyli Polaków. Jak p. Vincenz wyobrażał sobie rozwiązanie sprawy Galicji wschodniej po upadku Austrii, o tym konkretnie nie mówi. Prawdopodobnie uważał za rzecz naturalną, że cała Galicja miała przejść w posiadanie 2-giej Rzeczypospolitej, która właśnie powstawała. Oczarowana legendą mocarstwa wielonarodowego, jakim była 1-sza Rzeczpospolita, Polska odrodzona rościła sobie prawo nie tylko do ziem etnograficznie polskich, ale i do ziem „mieszanych”, tj. do takich, na których Polacy stanowili mniejszość, często nieznaczną. „Krajem mieszanym” nazywa p. Vincenz kilkakrotnie Galicję wschodnią, pragnąc prawdopodobnie w ten sposób uzasadnić, jakim tytułem miała ona być wcielona do Polski. I temu chcieli przeszkodzić Ukraińcy, wyprzedzając Polaków zajęciem Lwowa i wszczynając z nimi „wojnę domową”...

Młodsze pokolenia, które nie znają tego okresu z własnych przeżyć, mogłyby dojść do szeregu fałszywych wniosków. Nieuświadomiony czytelnik mógłby przede wszystkim myśleć, że do końca pierwszej wojny światowej stosunki polsko-ukraińskie na terenie Galicji były idealne czy co najmniej poprawne. Nic podobnego. Prawdą natomiast jest, że już za Austrii panowały na tym terenie stosunki niemal kolonialne: kraj z przeważającą większością ukraińską był administrowany przez polskich urzędników; sejm galicyjski, wybierany na podstawie wyborów kurialnych, przechodził do porządku dziennego nad najbardziej usprawiedliwionymi żądaniem ukraińskiej ludności. Walka polsko-ukraińska toczyła się na terenie parlamentu wiedeńskiego, sejmiku krajowego, w murach uniwersytetu lwowskiego, w całym kraju. Jej przedmiotem były sprawy agrarne, szkolne, językowe, polityczne. Kilkakrotnie podejmowane próby złagodzenia stosunków i doprowadzenia do jakiegoś *modus vivendi* nie dawały rezultatów. Naprężenie polityczne wzmagало się z roku na rok. Czy mam przypominać tak drastyczne fakty jak tzw. krwawe wybory 1895 i 1897 (namiestnik hr. Badieni), krwawe wybory do sejmiku krajowego 1908 r. (namiestnik hr. Potocki), strajki rolne,

zawziętą walkę o zmianę wyborczej ordynacji do sejmku, krwawe boje między studentami polskimi i ukraińskimi na uniwersytecie lwowskim i w końcu atentat Siczynskiego na namiestnika Galicji hr. Potockiego z tragicznym, bo śmiertelnym wynikiem. Bez wątpienia, stosunki polsko-ukraińskie uległy jeszcze radykalnemu pogorszeniu, w okresie 20-lecia 2-giej Rzeczypospolitej, ale i owe dawne austriackie czasy na przełomie 19-go i 20-go stulecia dalekie były od bratniej zgody i współżycia pokojowego. Kto twierdzi, że Ukraińcy zamęcili w 1918 r. dobrosąsiedzkie stosunki, ten mija się z prawdą.

Czy można nazywać zbrojne wystąpienie Ukraińców w dniu 1 listopada 1918 „faktem dokonany” w znaczeniu nielojalnego zaskoczenia Polaków? Otóż należy stwierdzić, że Ukraińcy nie robili tajemnicy z swych postulatów narodowych. Ich polityczną platformą od wiosny ludów 1848 r. był podział Galicji na część zachodnią, polską i na wschodnią, ukraińską. Ten postulat figurował „czarno na białym” w programie „Ukraińskiej Narodowo-Demokratycznej Partii”, założonej we Lwowie w 1899 r.: „Ostatecznym celem naszych dążeń jest polityczna niepodległość całego narodu ukraińskiego i zjednoczenie we wspólnym organizmie państwowym. W granicach Austrii dążymy do podziału Galicji na dwie części oraz do utworzenia z ukraińskiej części Galicji i Bukowiny oddzielnej prowincji z jak najszerszą autonomią”. Postulat podziału Galicji nie schodzi ze szpalt reprezentacyjnego organu ukraińskiego, lwowskiego „Diła”. Kiedy druga wojna światowa zbliżała się do końca, powtarzano go coraz częściej i coraz dobitniej. W lutym 1918 r. formułuje go na posiedzeniu parlamentu wiedeńskiego ówczesny prezes Klubu Ukraińskiego Kost Lewicki, w Izbie Panów składa odpowiednią deklarację metropolita Szeptycki. W październiku 1918 r. odbywa się we Lwowie ukraińska konstytuanta. Biorą w niej udział wszyscy ukraińcy, galicyjscy i bukowińscy, posłowie do austriackiego parlamentu i do sejmów krajowych, przedstawiciele wszystkich ukraińskich partii politycznych oraz ukraińscy biskupi z metropolitą na czele. Powołując się na prawo samostanowienia narodów to autorytatywne gremium przyjmuje uchwały o utworzeniu państwa ukraińskiego z ziem etnograficznie ukraińskich, przynależnych do tego czasu do Austro-węgierskiej monarchii. I właśnie w myśl tych uchwał tymczasowy rząd ukraiński przejął w swe ręce władzę w Galicji wschodniej 1 listopada 1918 r. Dłużej zwlekać było nie podobna. Tak zwana Likwidacyjna Komisja miała następnego dnia zjechać z Krakowa do Lwowa i przejąć władzę w imieniu Rzeczypospolitej Polskiej z rąk namiestnika Galicji. — Jak w świetle tych faktów wygląda zarzut „faktu dokonanego”? Kto z Polaków ludził się teżą o pocziwym ludku ruskim, zadowolonym z swego losu, i o garstce butowniczych ukraińskich prowodyrów, ten mógł być zaskoczony wydarzeniami listopada 1918. Ale kto czytał gazety ukraińskie, kto orientował się w narodowym życiu ukraińskim i rozumiał jego tendencje rozwojowe, ten nie mógł mieć wątpliwości, co uczynią Ukraińcy w chwili, kiedy Austria rozleci się.

Przenieśmy się na chwilę myślą w owe czasy. Jesień 1918 r. Wojna światowa dobiega do końca. Europa środkowa ma być przebudowana na podstawie zasady samostanowienia narodów. Na gruzach Austro-węgierskiej monarchii powstaje szereg państw narodowych. Ludy pozbawione od wieków suwerenności politycznej zgłaszają swe prawa do życia państwowego. Europa przeżywa moment nasilenia idei państwa narodowego. Dzisiaj ludzkość szuka rozwiązania politycznych problemów w koncepcjach kontynentalnych, nawet globalnych, ale w jesieni 1918 r. szczytem mądrości politycznej i szczytem marzeń każdego narodu było własne państwo narodowe. Nad Dnieprem rozgorzała ukraińska rewolucja narodowa. Zarówno hasło samostanowienia narodów, jak i hasło niepodległości i zjednoczenia (*samotijnist i sobornist*) wywierało na Ukraińców galicyjskich wpływ

magiczny. Czy nie mieli oni prawa sądzić, że dziejowy proces politycznej emancypacji narodu ukraińskiego zbliża się do realizacji? A etapem w tym procesie było usamodzielnienie Galicji wschodniej. Byłam wówczas studentką uniwersytetu lwowskiego i pamiętam, jaki entuzjazm ogarnął w listopadzie 1918 nie tylko młodzież akademicką, nie tylko inteligencję, ale najszerze warstwy narodu. Dlaczego p. Vincenz gniewa się na galicyjskich Ukraińców (jeszcze nawet dzisiaj, z perspektywy 45 lat!) za to, że pragnęli być wolni?

P. Vincenz robi Ukraińcom zarzut, że wojska, które zajęły Lwów, „były wyłonione z pułków austriackich”. Trudno, wszystkie armie wyzwolenicze tworzyły się z żołnierzy wojsk państw zaborczych. Nie inaczej powstała armia 2-giej Rzeczypospolitej. O stosunku ludności ukraińskiej do swojego wojska, świadczą następujące cyfry. W nocy z 31 października na 1 listopada 1918 w koszarach lwowskich było 1.500 austriackich żołnierzy i 60 oficerów narodowości ukraińskiej. W ciągu kilku miesięcy Ukraińska Hałycka Armia — taka była oficjalna nazwa sił zbrojnych Zachodnio-Ukraińskiej Republiki — urosła do stanu liczbowego 100.000. Dziesiątkowana tyfusem, bez lekarstw, bez butów, odcięta od świata, dokazywała cudów waleczności. O wyniku polsko-ukraińskiej wojny zdecydowała dopiero armia Hallera, która miała być użyta przeciw bolszewikom, a którą Polacy, wbrew zobowiązaniom międzynarodowym, rzucili na front galicyjski. Nie na polu walki, a na zielonym stole Rady Najwyższej w Wersalu zapadły wyroki o losie Galicji wschodniej. Bo graczy tej miary co Roman Dmowski i Paderewski Ukraińcy nie mieli.

„Wojna domowa”? Określenie zupełnie niewłaściwe. Przecież wojną domową nazywamy konflikt zbrojny między obywatelami jednego i tego samego państwa. Jakiegoż to państwa obywatelami byli mieszkańcy wschodniej Galicji w jesieni 1918, kiedy rozpadła się Austria? Nie, Drogi Panie Vincenz. Dla Ukraińców wojna polsko-ukraińska 1918/1919 była nie wojną domową, a wojną wyzwoleniczą. I pod tą nazwą przeszła ona do ukraińskiej historii. Można to stwierdzić w dość licznej literaturze tego okresu. Dzień 1 listopada Ukraińcy galicyjscy obchodzili w okresie międzywojennego 20-lecia jako święto narodowe. W cerkwiach ukraińskich w całym kraju — bo w inny sposób nie można było manifestować swoich uczuć — odbywały się w ten dzień uroczyste nabożeństwa dziękczynne (nie żałobne, a dziękczynne!). W katedrze św. Jura we Lwowie, na Mszy pontyfikalnej, zbierała się cała elita narodu. Pogrzeb wodza naczelnego Halickiej Armii, Myrona Tarnawskiego, w 1938 r. we Lwowie przemienił się w imponującą manifestację ukraińską. Czy te szczegóły i dziesiątki innych, świadczące o stanowisku Ukraińców do wojny 1918/1919 r., były Panu niezbrane, chociaż Pan żył w owym okresie wśród narodu ukraińskiego na ziemi halickiej? Czy nie zauważył Pan nigdy w gronie swych znajomych Ukraińców skromnego krzyżyka w klapie surduta, odznaki pamiątkowej byłych uczestników walk wyzwoleniczych?

Może p. Vincenz powie: Wojnę przegraliście, więc był to konflikt pochopny i dla was szkodliwy. Odpowiem: Wartość zdarzeń historycznych nie mierzy się ich sukcesem. Istnieje pewna analogia między tragicznymi przejściami w życiu osobistym a klęskami wojennymi. Jedne i drugie mogą mieć jak najbardziej pozytywną moralną wartość dla dojrzałości danego osobnika wzgl. narodu. Pamiętam, czego mnie uczono w gimnazjum polskim o wartości powstań polskich 1830 i 1863 r. Nie znam drugiej wojny przegranej, która by przyniosła tak bogate żniwo dla politycznego uświadomienia narodu, jak żniwo które dała wojna wyzwolenicza 1918/19 Galicji wschodniej Ukraińcom tego terenu.

P. Vincenz nazywa siebie „zdecydowanym ukrainofilem”. I ma niezaprzeczalne prawo do tego tytułu. Kto tak zna Huculszczyznę, kto tak ją

kocha i za nią tęskni (nawet w Neapolu słyszy szept z Huculszczyzny!...), kto z takim mistrzostwem ją odtworzył i uwiecznił, ten na pewno jest przyjaciele narodu ukraińskiego. Za jego zasługi dla tego uroczego zakątka ziemi ukraińskiej Ukraińcy odplacają mu uczuciami szacunku i wdzięczności. Taka wzajemna przyjaźń zobowiązuje: trzeba znać i respektować dążenia narodu ukraińskiego i uważać go za równorzędnego partnera.

Choć fakty omawiane należą do historii, ale rzetelna i realistyczna ocena faktów historycznych jest warunkiem dobrosąsiedzkich stosunków w przyszłości.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku.

Milena RUDNICKA

Winnipeg, 22.1.1963 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Z wielkim zainteresowaniem przeczytałem artykuł p. Gustawa Herling-Grudzińskiego, pt. „Od Burgos do Barcelony” (*Kultura* nr 1/183-2/184). Niestety, nie byłem nim (artykułem) zachwycony: spostrzeżenia i refleksje powierzchowne, charakterystyczne dla „śpiesznego przechodnia”, nie sięgającego w głąb... Oprócz katedry i więzienia w Burgos Hiszpania ma takie np. instytucje jak w Uniwersytecie w Salamance, Bibliotekę Narodową w Madrycie, Operę w teatrze w Barcelonie, i dużo innych rzeczy, które warto oglądać. Nie mając zamiaru polemizować z Szanownym Autorem (swoje poglądy na Hiszpanię wyraziłem w książce *From My European Diary* 1955, Winnipeg 1955, str. 11-29), chciałbym zwrócić uwagę na jeden z faktycznych błędów w artykule p. Herling-Grudzińskiego, będącym bez wątpienia wynikiem wspomnianej powierzchowności.

W artykule na str. 20 czytamy: „Uczestnicy wycieczki do Toledo, organizowanej przez madryckie biuro podróży, mają w itinerarium obowiązkową godzinę historii współczesnej: Alcazar. Oglądając tam pamiątki oblężenia, podobizny najemniejszych obrońców, hołdy nadesłane z zagranicy (m.in. ukraińskie *Słowo o złotym pułku* Antonicza, ogłoszone we Lwowie w 39 roku)... „Bohdan Ihor Antonicz, wybitny poeta ukraiński, umarł we Lwowie w roku 1937. Wspomniany wiersz *Słowo pro złoty pułk* (składający się z dwóch części: *Zaspiw* — prolog i *Słowo pro Alkazar*) był „ogłoszony” (wydrukowany) w książce *Knyha lewa* wydanej we Lwowie przed śmiercią poety, w roku 1936, str. 56-57. Pod wierszem widnieje data: Październik 1936, z czego wniosek, że był on napisany i „ogłoszony” trzy lata wcześniej, przed 1939 rokiem. Nieścisłe jest także wyrażenie o „hołdzie nadesłanym z zagranicy”. Wiersz Antonicza z fotokopią oryginału i tłumaczeniem hiszpańskim pióra dra D. Buczyńskiego z Madrytu był osobiście wręczony Muzeum w Alcazarze przez specjalną delegację ukraińską, biorącą udział w międzynarodowym kongresie naukowym w Salamance, dnia 22 kwietnia 1955 roku nie tyle ze względów „hołdowych” ile ze względów prestiżowych: uciskana i ciemiona literatura ukraińska służyła nie tylko obronie interesów własnego narodu, ale w miarę możliwości i tematyką i stylem szła krok w krok z ogólnymi interesami świata, dając tym „jeszcze jedno świadectwo tęsknocie ludzkości za wielkim” (końcowe słowa Antonicza we wspomnianym poemacie o Alcazarze).

Z wyrazami szacunku.

J. B. RUDNYCKYJ

Buenos Aires, 27 grudnia 1962 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

W związku z „Notatkami z czasów wojny” p. Zbigniewa Grabowskiego (nr 11/181), który doskonale kreśli sylwetki niektórych ludzi z minionej epoki, pozwalam sobie napisać parę słów, które Pan Redaktor zechce ewentualnie wykorzystać.

Po ukończeniu rozmów z Anglikami z początkiem kwietnia 1939 r., minister Beck, któremu w podróży do Londynu towarzyszyli Józef Potocki, Doman Rogoyski i niżej podpisany, (a nie Łubieński i Bodeński, jak to pod datą 6 maja 1939 wspomina p. Grabowski), zwołał w przeddzień wyjazdu w godzinach wieczornych zebranie urzędników ambasady i konsulatu, na które byli też zaproszeni przedstawiciele prasy polskiej w Londynie. Franciszek Bauer Czarnomski, korespondent „Kuriera Warszawskiego”, gorący patriota o wielkich upodobaniach literackich, przysłuchiwał się w skupieniu wywodom ministra. W pewnej chwili nachylił się ku mnie i szepnął: „Niech na całym świecie wojna, byle polska wieś spokojna”.

Beck był tego wieczora niewątpliwie w doskonałym nastroju, odczuł wielką ulgę po krytycznych dniach marca i rozmawiał z nami z wielkim ożywieniem i jak zawsze w bardzo gładki sposób. Po równi z Anglikami uważał że zbliżenie polsko-angielskie może spowodować zahamowanie dążeń wojennych Hitlera. Wydarzenia następnych tygodni, nikłe rezultaty pobytu gen. Ironside'a w Warszawie, rozwały potem dużo złudzeń wynikłych z oceniania Anglii kategoriami sprzed 1914 roku.

Pod datą 2 lutego 1941 pisze p. Grabowski, że Wacław Zbyszewski został „posłany w soldaty”. Czy nie chodzi tu przypadkiem o jego brata, którego pamiętam we Forfar (Szkocja), w ponury deszczowy dzień, ubranego w mundur po jakimś konflikcie cywilno-wojskowym? Spędziliśmy wieczór w kantine, nastroje się poprawiły i pobyt jego w szeregach bodaj nie trwał długo.

Łączę wyrazy prawdziwego poważania.

Paweł STARZEŃSKI

Paryż, dn. 15.2.1963 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Pozwoli Pan, że nawięzę na łamach „Kultury” do spraw poruszonych przez Michała Borwicza w jego interesującym studium o pisarzach polskich pod okupacją sowiecką we Lwowie w latach 1939-1941, ogłoszonym przez Pana w najnowszym numerze *Zeszytów Historycznych*.

Borwicz przeciwstawia się kategorycznie opinii o rzekomym zaangażowaniu się Boja Zeleńskiego po stronie komunistycznej. „Boj Zeleński — pisze Borwicz — przedrukowywał swoje studia i wygłaszał odczyty o społecznych aspektach twórczości Balzaka. Bezpośrednio po wojnie wypisano w Polsce szereg artykułów o jego „zbliżeniu” się do komunizmu. Nic bardziej wątpliwego. Uczestnicząc w (...) życiu literackim, Boj starał się unikać wypowiedzi politycznych. ...Niektórzy upatrywali jego skłonność do aktywnej współpracy w fakcie, że zgodził się zostać na miej-

scowym uniwersytecie profesorem literatury francuskiej, mimo że przed wojną odmówił przyjęcia analogicznej nominacji, ofiarowanej mu przez uniwersytet w Poznaniu. W rzeczywistości „dialektyka” tej sprawy była wręcz odwrotną. Przed wojną odmówił katedry, by móc najaktywniej kontynuować swoją działalność literacką. Tutaj przyjął katedrę, by móc swoją literacką działalność zredukować. (...) Nawet w prywatnych rozmowach trudno było skłonić Boya do wyrażenia własnej opinii o bieżących sprawach”...

Niestety teza o rzekomym zbliżeniu się Boya do komunizmu znalazła wyraz nie tylko w artykułach drukowanych po wojnie w Polsce, ale i w niektórych publikacjach na emigracji. Pobóg Malinowski w swym III tomie Najnowszej Historii Politycznej Polski, na str. 157 pisze:

„Znany pisarz T. Boy Żeleński nie tylko nie uchylił się od przyjęcia zaofiarowanej mu przez najeźdźców katedry literatury na uniwersytecie we Lwowie. Nie odmówił także — choć podkreślał, że nie pójdzie na żadną współpracę polityczną z Rosją — podpisu swego pod rezolucję, w której przebywający we Lwowie pisarze i plastycy polscy aprobowali fakt sowieckiego najazdu i zaboru i określili swój „pozytywny stosunek” do władzy sowieckiej. Przykry cień pada również na sylwetkę prof. K. Bartla, kilkakrotnego polskiego premiera; nie ma żadnych dowodów jego współpracy z okupantem sowieckim, sam też się przeciw temu zastrzegając, w postawie swej jednak zszedł na poziom znacznie niższy od tego, jakiego wymagała jego przeszłość. Obaj — Boy Żeleński i Bartel — zostaną w grupie profesorów lwowskich zamordowani przez Niemców w lipcu 1941”.

Otóż w związku z tą oceną pragnę przytoczyć fakt następujący.

Na początku r. 1962, daty dokładnej nie pamiętam, lecz było to w każdym razie w jakiś czas po ukazaniu się pierwszego tomu Zeszytów Historycznych z indeksem nazwisk do „Najnowszej Historii” Pobóg-Malinowskiego — który to indeks pozwolił mi właśnie natrafić na wspomniany ustęp w III tomie — miałem rozmowę telefoniczną z Pobóg-Malinowskim. (Szczególnie w latach 1960-1961 prowadziliśmy długie rozmowy telefoniczne na tematy związane z jego publikacjami). Nawiązując przy jakiejś okazji do sprawy Boya, powiedziałem mu wręcz, że moim zdaniem bardzo niesprawiedliwie i krzywdząco osądził postawę Boya i Bartla pod okupacją sowiecką we Lwowie. Ku mojemu wielkiemu zdziwieniu, odpowiedź którą usłyszałem, brzmiała tak: (cytuję z pamięci ale za sens ręczę).

— Tak jest, ma Pan rację. Dziś już wiem dobrze, że w tym co wówczas napisałem, zachowanie się Boya i Bartla ocenilem fałszywie. Byłem wprowadzony w błąd wiadomościami i naświetleniami, którymi wówczas rozporządzałem. Dziś znam te rzeczy znacznie lepiej i może Pan być pewny, że w następnym wydaniu krzywdę tę postaram się naprawić przedstawiając sprawę w właściwym świetle.

Była to moja ostatnia rozmowa z Pobóg-Malinowskim. Nie wiem czy w jego papierach znaleziono zapiski bądź opracowania odnoszące się do poruszanej sprawy i czy jest tam choć szkiełko nowej, zmienionej redakcji. Już samą jednak zapowiedź, wyrażoną w rozmowie dobitnie i niedwuznacznie, uważam za obowiązek podać do wiadomości jako potwierdzenie tezy Borwicza, a zarazem świadectwo uczciwości badacza-historyka.

Należy się to pamięci wszystkich trzech: Boya, Bartla i Poboga.

Łączę wyrazy prawdziwego poważania.

Władysław ŻELEŃSKI

SPROSTOWANIE

W eseju G. Gömöri pt.: „Węgierska i polska poezja w dobie Zdanowa” zamieszczonym w nrze 1/183-2/184 nastąpiła przykra pomyłka: na str. 42-ej, 10 w. od dołu, Zdanie: „zawiera czternaście nazwisk poetów polskich, wśród nich najpopularniejszych jak Tuwim, Jastrun, Przybós” powinno brzmieć: „zawiera czternaście nazwisk poetów polskich wśród najpopularniejszych — z wyjątkiem właśnie Tuwima, Jastruna i Przybosia”. Za tę pomyłkę, spowodowaną względami technicznymi, przepraszamy autora eseju i zainteresowanych.

WIELKA ENCYKLOPEDIA POWSZECHNA

Pierwsza polska encyklopedia o niezmiernie szerokim zakresie. Ponad 1.000 czołowych specjalistów z różnych dziedzin bierze udział w jej przygotowaniu. W skład rady naukowej Encyklopedii wchodzi 70 polskich autorytetów naukowych z prezesem Polskiej Akademii Nauk, prof. dr. Tadeuszem Kotarbińskim jako przewodniczącym.

WIELKA ENCYKLOPEDIA POWSZECHNA daje wyczerpuje, na najnowszym stanie wiedzy oparte informacje o świecie w którym żyjemy. Specjalny nacisk został położony na nauki ścisłe i techniczne, ponieważ odgrywają one tak wielką rolę we współczesnym życiu. Nie mniej uwagi poświęcono naukom społecznym i humanistycznym.

WIELKA ENCYKLOPEDIA POWSZECHNA jest także doskonałym źródłem wiadomości o Polsce. Uwzględnia bowiem wszystkie ważne problemy, wydarzenia, osobistości, instytucje i miejscowości w Polsce — zarówno w przeszłości jak i teraźniejszości.

WIELKA ENCYKLOPEDIA POWSZECHNA będzie wydana w 12 tomach plus indeks i zawierać będzie 12.000 stron, 82.000 haseł, 8.000 ilustracji, rysunków i fotografii, 2.000 portretów, 720 całostronicowych reprodukcji w tym 160 wielobarwnych, ponadto 145 map. Poszczególne tomy wychodzić będą w okresach kilku-miesięcznych. Tom pierwszy już się ukazał i jest w sprzedaży. Cena poszczególnego tomu dol. 7,50. Przesyłka za tom dol. 0,50.

Cracovia Book Company

58 PEMBROKE ROAD, LONDON W. 8.

Każdy kto wysyła leki do Polski powinien przestudiować nasze katalogi

KATALOG MEDYCZNY TAZABA

zawiera

- 1) Wszystkie najnowsze leki przodujących światowych producentów, ze specjalnym uwzględnieniem najbardziej poszukiwanych i potrzebnych w kraju.
- 2) Przepisy celne, oraz podaje dokładną wagę każdego leku, co umożliwia wysyłkę **WOLNĄ OD CŁA**
- 3) TAZAB jest jedyną światową firmą posiadającą poza Anglią własne biura i przedstawicielstwa w Ameryce, Francji, Niemczech i Szwajcarii i dzięki temu może wysłać natychmiast i z pierwszej ręki tamtejsze leki
- 4) Recepty są wykonane przez doświadczonych farmaceutów.
- 5) Klienci nasi są obsługiwani **NATYCHMIAST**, bez oczekiwania na nadejście należności

Największy Polski Dom Wysyłkowy

TAZAB OF LONDON

Taxab House

LONDON, S.W.7.
22, Roland Gdns.,
Tel. FRE 3175-6

TAZAB & Co. Ltd

100 East, 10-th St.
NEW YORK, 3 N.Y., (USA)
ALgenquin 4-4161

JÓZEF WITTLIN

ORFEUSZ W PIEKLE XX WIEKU

JUŻ JEST W SPRZEDAŻY

Str. 656

cena 34 F (50/-; 7,00 dol.)

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CHIswick 1860

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE,

91, avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)

Directeur-gérant: Jerzy Giedroyc.

Dépôt légal: 1^{er} trimestre 1963

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)

Telefon: 962 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA: Janusz Kruszynski, 54, 15th St., Parkhurst, Johannesburg	55 cent. (5 sh. 6 d.)	3,10 rand (31 sh.)	6 rand (60 sh.)
ARGENTYNA: Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires	5 sh. 6 d.	(31 sh.)	60 sh.
AUSTRALIA: « Vistula » (Australia) PTY Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	7 sh. (a)	£.A.2.0.0.	£.A.3.15.0
BELGIA: Janina Korab Brzozowska-Csaky, 116, rue Joseph-II, Bruxelles 4, Nr konta pocztowego 7315.20	45 fr. b.	240 fr. b.	450 fr. b.
BRAZYLIA: Julia Barcinska, rua Maria Angelica 367, ap. 301 (Jardim Botanico), Rio de Janeiro; Seweryn A. Hartman, rua Barao de Itapetininga 221, s. 1203, Cxa Post. 6335, Sao Paulo, J. Orciuch; Moveis Cimo S/A, Departamento de Vendas, Caixa Postal 13, Curitiba, Parana		5 dol. am.	9 dol. am.
FRANCJA: do nabycia w redakcji « KULTURY » i w Księgarniach polskich w Paryżu	3,50 F	19 F	37 F
HOLANDIA: T. Szpilczyński, Ruysdaelkade 5 Amsterdam-Z, Tel.: 716080. Nr konta pocz. 13500 — t.b.v.S. 6538	3 fl. hol.	18 fl. hol.	34 fl. hol.
IZRAEL: « Sifri-Holon », Stanislaw Wytrzyz, Holon, Sokolow Nr. 40	3,85 F	21 F	41 F
KANADA: M. Jaxa-Debicka, 221 Howard Park Av., Toronto 3, Ont. lub c/o Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto Ont., K. Krakowska, 2318 Hingston Ave. N.D. de G., Montreal/Queb., Tél.: HU 8-5224; H.R. Radomski, 55 Ridge Drive, Toronto 7, Ont. Tél.: HU 9-0829; M. Król, 1042 Manhattan Av. Winnipeg, Man.; « Zwiakowicz », 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tél.: LE 1-2491; W.T. Drymmer, 31 Argyle Ave., Ottawa, Ont., Tél.: LE 33407	1 dol.	5 dol.	9 dol.
NIEMCY: St. M. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1	4.- DM	22 DM	40 DM
NORWEGIA: Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss.	5 sh. 6 d.	31 sh.	60 sh.
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. Tél.: 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	3,50 fr. s.	22 fr. s.	40 fr. szw.
SZWECJA: Red Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV Stockholm	5 kor.	25 kor.	45 kor.
US.A.: S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y.; L. Dudarew Ossetynski, 143, 16-th street, Brooklyn 15, N.Y.; S. Dziarczykowski, 2402 Cheremoya Ave., Hollywood 28, Cal.; M.K. Dziewanowski, 41, Katherine Rd., Watertown, Mass.; T. Konopacki, 1253 Hathaway Av., Cleveland 7, Ohio. Tel. LA-1.2305; Ch. M. Kretowicz, 6947 Oregon Ave., La Mesa-San Diego, Cal.; V.B. Kwast, 376 Wallingford Terrace, Union, N.J.; Polish Amer, Book Co, 1136 Milwaukee Av., Chicago 22, Ill.; E. Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo 12, N.Y.; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia 25, Pa.; The Polish Book Importing Co, Inc., 156 Fifth Ave., New York 10, N.Y.; R.J. Sas-Babczynski, 14141 Deanann Place, Garden Grove, Cal.; Jan Wojcik, 24 Doris Street, New Britain, Conn.; A. Wisniewski, 1029 Cuba St., Toledo 17, Ohio, Jan Zych, 6428 Morse, Detroit 10, Mich. Tél. TA-5-6740	1 dol.	5 dol.	9 dol.
W. BRYTANIA: « Gryf » Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11	5 sh 6 d.	31 sh.	60 sh.
WLOCHY: Prosimy o przekazywanie prenumerat czekiem lub przekazem pocztowym	500 lires	2.800 lires	5.000 lires

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 2 F półrocznie i 4 F rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,35 F. Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi,
par MAISONS-LAFFITTE (S.-et-O.) — C.C.P. PARIS 18.228-56

BIBLIOTEKI « KULTURY »

TOM LXXXIII

SERIA „DOKUMENTY” NR 11

6 LAT TEMU...

(KULISY POLSKIEGO PAŹDZIERNIKA)

Stron 200

Cena egz. 10 F (15/-; dol. 2,25)



TOM LXXXIV

SERIA „ZESZYTY HISTORYCZNE”

ZESZYT TRZECI

z a w i e r a

Relacje i wspomnienia z okresu Niepodległości i z czasów wojny, pióra: Tadeusza Święcickiego, Wiktora Sukiennickiego, Jerzego Grobickiego, Waleriana Mercika, Leona Orłowskiego, Michała Borwicza, Leona Mitkiewicza i Tadeusza Katelbacha oraz opracowania: Pawła Wandycza, Franciszka Kalinowskiego, Tadeusza Nowackiego, Adama Uziembło, Jakuba Hoffmana i Stanisława Bóbr-Tylingo.

Str. 240

Cena egz. 15 F (22/-; dol. 3,00)

UWAGA: Prenumeratorzy „Kultury” korzystają ze specjalnej 50% zniżki. Opłacając z góry prenumeratę ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH otrzymują dwa ZESZYTY w cenie jednego.



TOM LXXXV

JÓZEF WITTLIN

ORFEUSZ W PIEKLE XX WIEKU

Str. 658

Cena egz. 34 F (50/-; dol. 7,00)